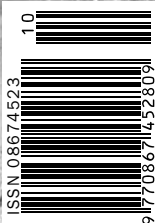


Polska Zbrojna

NR 10 (370) PAŹDZIERNIK 2018

INDKS 337 374 ISSN 0867-4523

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



INVICTUS
GAMES

Oni już wygrali

PO RAZ PIERWSZY
W MIĘDZYNARODOWYCH
IGRZYSKACH DLA
WETERANÓW BIORĄ
UDZIAŁ TAKŻE **POLACY**

KAMPANIA HONOROWEGO KRWIODAWSTWA
Z OKAZJI 100-LECIA ODZYSKANIA NEPODLEGŁOŚCI

Więcej informacji: polska-zbrojna.pl



**NIEPODLEGŁA
MAMY WE KRWI**

Oddaj krew dla Niepodległej!

Weź udział w wyjątkowym konkursie, zdobądź okazjonalną monetę i wiele ciekawych nagród.

Oddaj krew i załóż profil krwiodawcy na Portalu Legion – dodaj donację kampanii!

Konkurs będzie trwać od 11.10 do 11.11.2018 r.

legionhdk.pl

PATRONAT HONOROWY

Mariusz Błaszczak
Minister Obrony Narodowej



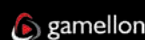
ORGANIZATORZY



PARTNERZY KAMPANII



WSPARCIE





Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

” BYLI I SĄ WOJOWNIKAMI. MIMO
ODNIESIONYCH RAN
UDOWADNIAJĄ, ŻE CHCIEĆ TO MÓC,
ŻE MOŻNA ODMIENIĆ SWOJE ŻYCIE
NA PRZEKÓR PRZECIWNOCIOM LOSU.

Polscy weterani po raz pierwszy wezmą udział w międzynarodowych zawodach Invictus Games. Jednak nie walczą tylko o medale. Co więcej, nie są one dla nich najważniejsze. Dla nich sport i rywalizacja to droga do odzyskania równowagi i wiary we własne siły. Nam z kolei swoją postawą pokazują, że dzięki determinacji i uporowi można pokonać własne słabości i ograniczenia. Weterani podkreślają, że sport to nie tylko pasja, lecz także najlepszy sposób na powrót do sprawności i zdrowia, czasem wbrew medycznemu diagnozom. Ich historie są różne, jednak wspólnym mianownikiem jest pomoc, którą zapewniają im ich rodziny, trenerzy, lekarze. W Australii będą razem niezwykliczeni, zdeterminowani, wspierający się nawzajem – sportowa rodzina weteranów z całego świata. Redakcja „Polski Zbrojnej” będzie im towarzyszyć, a relacje z zawodów mogą Państwo śledzić na portalu polska-zbrojna.pl.

Wiceadmiral Józef Unrug wrócił z francuskiej ziemi do ojczyzny – wybranej, ukochanej, za którą oddał życie. Legendarny dowódca obrony Wybrzeża z 1939 roku spoczął wraz z małżonką w Kwaterze Pamięci na Cmentarzu Wojskowym Marynarki Wojennej RP. Po 45 latach od jego śmierci udało się wypełnić ostatnią wolę wiceadmirala. O niezwykłym oficerze opowiada Władysław Szarski, dyrektor Muzeum Obrony Wybrzeża w Helu. Gorąco zachęcamy do lektury.

Z okazji zbliżającej się 100. rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości redakcja „Polski Zbrojnej” wraz ze Stowarzyszeniem HDK Legion organizuje kampanię na rzecz krwiodawstwa pod hasłem „Niepodległą mamy we krwi”. Zachęcamy do oddawania krwi i zakładania profili krwiodawcy na stronie Klubu HDK Legion. Na uczestników czekają atrakcyjne nagrody. Oddajmy krew dla Niepodległej. Szczegółowe informacje na portalach legionhdk.pl i polska-zbrojna.pl ■



TEMAT NUMERU

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER

10 Duch walki

Aktywność fizyczna weteranów

PAULINA GLIŃSKA

17 Sięgać po więcej

Rozmowa z Jaśkiem Melą

MAŁGORZATA
SCHWARZGRUBER,
ANNA DĄBROWSKA

20 Oni już wygrali

MICHAŁ ZIELIŃSKI

36 Nie wolno odpuszczać

Rozmowa z Rhondą Lee Crew



ARMIA

PAULINA GLIŃSKA

40 Dęblin stawia na naukę

Szkoła Orłąt stała się akademią

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

46 Rejs niepodległości

MAGDALENA MIERNICKA,
TADEUSZ WRÓBEL

51 Żelazna Dywizja

Rozmowa z Jarosławem
Gromadzińskim

PIOTR RASZEWSKI

54 Razem dla pokoju

MAGDALENA MIERNICKA

59 Zdaliśmy egzamin

MAGDALENA MIERNICKA

62 Nic nie powstrzyma naszych czołgów!

Rozmowa z żołnierzami
PKW Łotwa

MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

64 Oko na wojsko

PIOTR RASZEWSKI

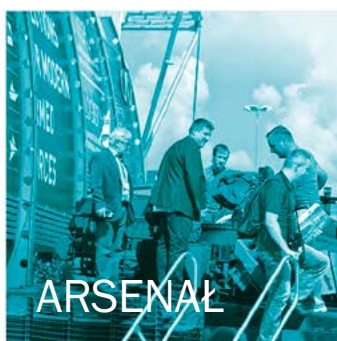
71 Lądowanie na bojowo

MICHAŁ ZIELIŃSKI

74 Respekt do wody

BOGUSŁAW POLITOWSKI

78 Szkolenie wysokiego ryzyka



ARSENAL

KRZYSZTOF WILEWSKI,

TADEUSZ WRÓBEL

86 Targowisko różności

Nowinki zbrojeniowe z Kielc

RAFAŁ CIASTOŃ

94 Tarcza kontra miecz

KRZYSZTOF WILEWSKI

98 Robotyzacja po rosyjsku

TADEUSZ WRÓBEL

100 Dwa tory, jeden kierunek

RAFAŁ CIASTOŃ

103 Władca karabinów



STRATEGIE

ANDRZEJ WILK

104 Pokaz sztuczek wojennych

Kulisy ćwiczeń „Wostok '18”

TADEUSZ WRÓBEL

110 Stan upadku

ROBERT SENDEK

113 Krojenie granic na nowo

TOMASZ OTŁOWSKI

116 Poszarpane sztandary dżihadu

MICHAŁ ZIELIŃSKI

120 Nigdy im nie wybaczę

TOMASZ OTŁOWSKI

123 Zbrojeniowy sponsoring

MARCIN RZEPKA

125 Obnażanie słabości



Zdjęcie na okładce:
Arkadiusz Dwulątek/
Combat Camera DORSZ

Znajdziesz nas tutaj:





HISTORIA

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

126 Polak z wyboru

Rozmowa z Władysławem Szarskim

PIOTR KORCZYŃSKI

132 Bibuła w warkoczach

ROBERT SENDEK

134 Gdybyśmy wiedzieli, że to legionery...

PIOTR KORCZYŃSKI

138 Wreszcie jestem wśród swoich

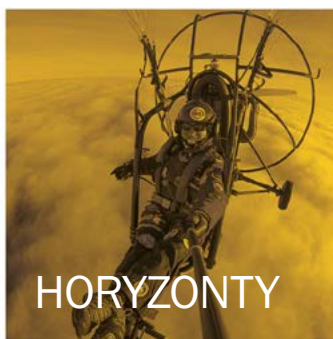
Rozmowa z Brunonem Jankowskim

TADEUSZ WRÓBEL

144 Bojowe monitory

KRZYSZTOF KUBIAK

147 Podwójna blokada



HORYZONTY

EWA KORSAK

148 Lotnictwo albo nic

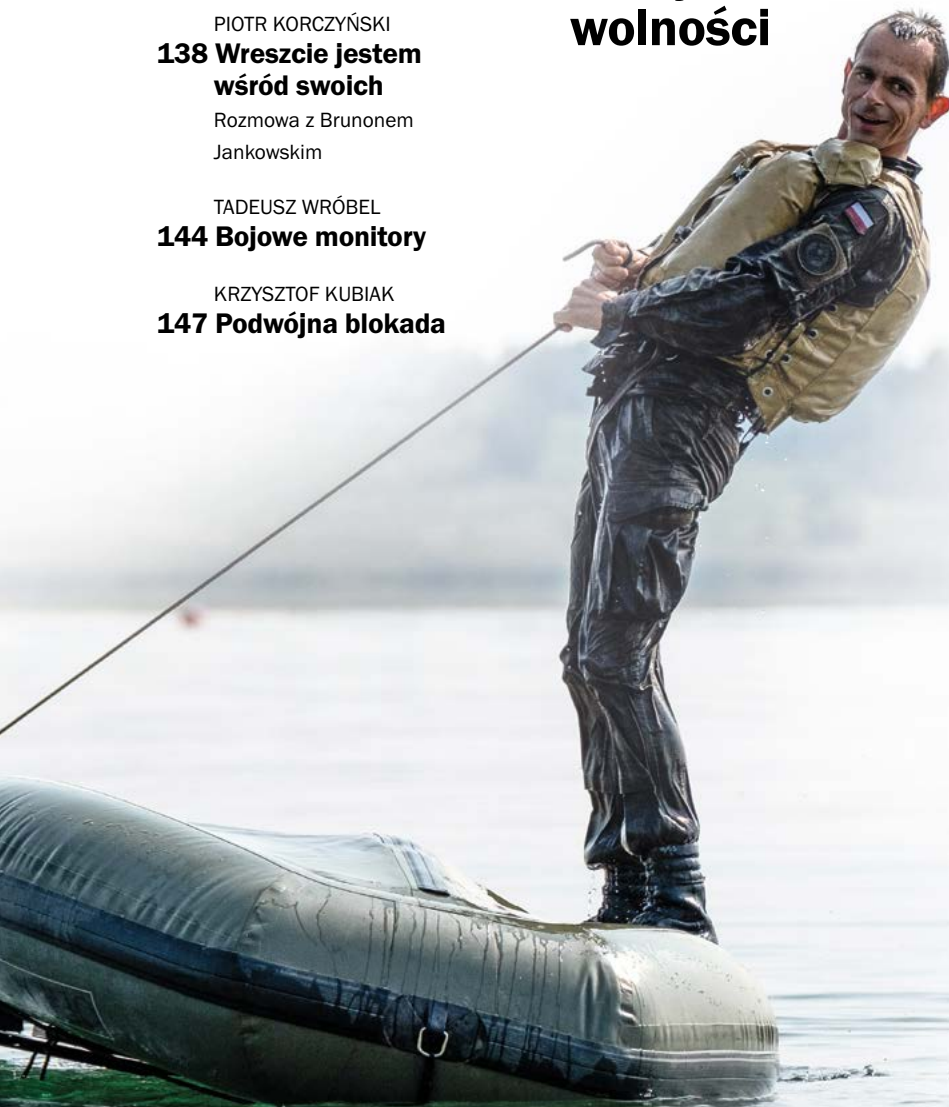
Rozmowa z Wojciechem Panasem

ANNA DĄBROWSKA

154 Na włoskiej ziemi

ANDRZEJ FAJARA

162 Halny wolności



DYREKTOR WOJSKOWEGO

INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,

sekretariat@zbrojni.pl;

tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;

Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ

Izabela Borańska-Chmielewska,

tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO

Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213

Zastępcy sekretarza redakcji

Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;

Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;

polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,

Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendek,

Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata

Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,

Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Rafał Ciasłoń, Andrzej Fajara,

Krzysztof Kubiak, Tomasz Otłowski, Piotr Raszewski,

Marcin Rzepka, Andrzej Wilk, Łukasz Zalesiński,

Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka, Monika

Siemaszko, tel.: 261 845 170; Andrzej Witkowski

(fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;

Renata Gromska, January Szustakowski

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Agnieszka Karaczun,

Anita Kwaterowska (tłumacz), Radosław Lechowicz,

Marta Szulc, Małgorzata Szustkowska, tel. 261 845 387,

261 845 180, faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

KOLPORTAŻ I REKLAMACJE

Poczta Polska Usługi Cyfrowe Sp. z o.o.

ul. Duninowska 9a, 87-823 Włocławek

tel: 542 315 201, 502 012 187

elzbieta.kurlapska@poczta-polska.pl

Numer zamknięto: 26.09.2018 r.

DRUK

ARTDRUK ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,

www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych

„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

– www.polska-zbrojna.pl

– www.prenumerata.ruch.com.pl

– www.garmondpress.pl/prenumerata

– www.kolporter.com.pl/prenumerata

Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”, dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

Narodowe Archiwum Cyfrowe.

220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl





Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.

Exemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400. Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje regulamin dostępny na stronie głównej portalu polska-zbrojna.pl.

KADR

Strzelanie do celów powietrznych z użyciem rakiet SM-1 na fregacie ORP „Gen. K. Pułaski”.

FOT. PIOTR LEONIAK

KADR

Strzelanie do celów powietrznych z użyciem rakiet SM-1 na fregacie ORP „Gen. K. Pułaski”.

FOT. PIOTR LEONIAK

KADR

Strzelanie do celów powietrznych z użyciem rakiet SM-1 na fregacie ORP „Gen. K. Pułaski”.

FOT. PIOTR LEONIAK





KPRP/JAKUB SZYM CZYK

Amerykanie w Polsce

Prezydenci Polski i USA podpisali deklarację o partnerstwie strategicznym.

Bezpieczeństwo militarne było jednym z ważniejszych tematów spotkania prezydentów Andrzeja Dudy i Donalda Trumpa. Najwięcej czasu poświęcili kwestii zwiększenia stałej obecności USA w tej części Europy, w tym budowie w Polsce stałej bazy wojsk amerykańskich. „Cieszę się z obecności w Polsce armii Stanów Zjednoczonych, która zapewnia bezpieczeństwo w naszym regionie. Jednocześnie zapraszam pana prezydenta, aby skierować do nas więcej od-

ziałów amerykańskich. Mam nadzieję, że razem zbudujemy Fort Trump w Polsce”, mówił Duda.

Amerykański prezydent zadeklarował znaczące zwiększenie militarnej współpracy z naszym krajem. „Poprawimy kooperację w dziedzinach wojskowych, wywiadu, obrony rakietowej, technologii i szkolenia”, wyliczał na konferencji po spotkaniu. Trump dodał, że USA są zainteresowane udzieleniem pomocy w dziedzinie obronności tym krajom, które

podejmują wielki wysiłek, by zwiększyć własny potencjał. Pozytywnie odniósł się do pomysłu utworzenia stałych baz USA w Polsce, ale zwrócił uwagę na jeden aspekt: „Kosztowałoby to około 2 mld dolarów”.

Spotkanie zakończyło podpisanie deklaracji o partnerstwie strategicznym pomiędzy USA a Polską, także w sferze militarnej. Przewiduje się m.in. intensyfikację wspólnych szkoleń i ćwiczeń, wymianę personelu wojskowego w strukturach dowódczych, ośrodkach edukacyjnych oraz placówkach szkoleniowych. Polska i USA będą też koordynować działania przeciw projektom energetycznym zagrażającym wspólnemu bezpieczeństwu, w tym Nord Stream 2.

Prezydentowi Dudzie towarzyszył minister Mariusz Błaszczak, który rozmawiał m.in. z senatorem Jimem Inhofem, p.o. przewodniczącym Komisji Sił Zbrojnych Senatu, Williamem Thornberrym, przewodniczącym Komisji Sił Zbrojnych Izby Reprezentantów, oraz Christopherem Smithem, jednym z sygnatariuszy listu kongresmenów do sekretarza obrony USA Jamesa Mattisa w sprawie poparcia polskich propozycji stałej obecności wojskowej USA w Polsce. Wszyscy politycy zgodzili się, że obecność żołnierzy amerykańskich na wschodniej flance to zwiększenie poziomu bezpieczeństwa nie tylko w naszym kraju, lecz także w całym regionie. PZ, KW

Zmiany dla misjonarzy

Obowiązująca ustawa o weteranach działań poza granicami państwa zakłada, że status weterana mogą otrzymać ci, którzy służyli na misjach zagranicznych nieprzerwanie

60 dni. Prezydent Andrzej Duda zaproponował, aby uprawnieniem tym objąć także żołnierzy i funkcjonariuszy, którzy w działaniach poza granicami kraju brali udział kilkakrotnie, ale z przerwami, i spędzili na misjach w sumie **co najmniej 90 dni**. Na zmianach skorzystają m.in. żołnierze sił specjalnych, funkcjonariusze dawnego Biura Ochrony Rządu oraz

obecnej Służby Ochrony Państwa, kierowani do krótkich operacji za granicą. Taką zmianę w ustawie o weteranach prezydent skierował do Sejmu w połowie sierpnia. Podczas obrad Komisji Administracji i Spraw Wewnętrznych oraz Komisji Polityki Społecznej i Rodziny nowelizację poparły wszystkie kluby parlamentarne. PZ, MS

Rotacja kadrowa



**GEN. DYW.
TOMASZ
PIOTROWSKI**

jest doświadczonym dowódcą, świetnie przygotowanym do nowej, ważnej z punktu widzenia obronności, funkcji", podkreślił prezydent Andrzej Duda podczas uroczystości mianowania nowego dowódcy operacyjnego.

Gen. dyw. Tomasz Piotrowski został dowódcą operacyjnym rodzajów sił zbrojnych. Zastąpił na tym stanowisku gen. broni Sławomira Wojciechowskiego, który stanął na czele dowództwa Wielonarodowego Korpusu Północno-Wschodniego w Szczecinie.

Minister Mariusz Błaszczak zaznaczył, że nowa funkcja wiąże się z wielką odpowiedzialnością. Gen. Wojciechowski przejął dowódzenie szczecińskim korpusem od odchodzącego niemieckiego gen. broni Manfreda Hofmanna. Generałowie z Niemiec i Polski kierują tą jednostką rotacyjnie, przez trzyletnie kadencje.

„Dowództwo korpusu w Szczecinie to miejsce związane z bezpieczeństwem naszego regionu i jestem przekonany, że gen. Wojciechowski poradzi sobie tam znakomicie”, stwierdził prezydent. PZ, AD, PG

Dłuższa perspektywa

Finansowanie wieloletnich programów modernizacyjnych będzie łatwiejsze.

Rada Ministrów przyjęła opracowaną przez resort Obrony nowelizację ustawy o przebudowie i modernizacji technicznej oraz finansowaniu sił zbrojnych. Na jej mocy szczegółowe kierunki rozwoju armii mają być wytyczane nie, jak do tej pory, na dziesięć lat, lecz na 15 oraz aktualizowane co cztery lata. Jeśli ustawę przyjmie parlament i podpisze prezydent, przepisy mogą zacząć obowiązywać już od 2019 roku. Przedstawiciele Ministerstwa Obrony Narodowej podkreślają, że nowelizacja ustawy pozwoli lepiej unowocześniać rodzimą armię. Jednocześnie jest ona wymuszona naszymi zobowiązaniami sojusznicy. Od 2017 roku planowanie obronne w NATO odbywa się bowiem w cyklu piętnastoletnim. I zobowiązania naszego kraju względem paktu są definiowane właśnie w takiej perspektywie czasowej. PZ, KW

Wyrazy szczerego współczucia

Elżbiecie Toczek

z powodu śmierci **Teściowej**

składają koleżanki i koledzy

z Wojskowego Instytutu Wydawniczego.

START ALBATROSA

Ruszyła budowa drugiego z serii niszczycieli min typu Kormoran II.

Jednostka będzie nosiła nazwę ORP „Albatros” i jest budowana przez konsorcjum polskich firm, na którego czele stoi gdańska stocznia Remontowa Shipbuilding. W projekt są też zaangażowane Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej oraz PGZ Stocznia Wojenna. Jednostka powstanie według tego samego projektu, co pierwszy z serii trzech niszczycieli min – ORP „Kormoran”, który został przekazany marynarce w listopadzie 2017 roku.

Okręt będzie miał 58,5 m długości i 10,3 m szerokości, a jego wyporność wyniesie 850 t.

Kadłub z amagnetycznej stali i cichy napęd ochronią jednostkę przed minami, które reagują na pole magnetyczne bądź odpowiednio wysokie natężenie dźwięku. Zgodnie z umową okręt powinien być gotowy w styczniu 2020 roku. Wiadomo, że na stanowisko dowódcy ORP „Albatros” planowany jest kpt. mar. Piotr Gorycki, który teraz dowodzi niszczycielem min ORP „Czajka”. Prawdopodobnie za dziewięć miesięcy rozpocznie się budowa trzeciego okrętu – ORP „Mewa”. PZ, ŁZ

**OSTATNI
Z KORMORANÓW
MARYNARKA POWINNA
OTRZYMAĆ W LISTOPADZIE
2021 ROKU. DOCELOWO
WSZYSTKIE TRZY NOWE
NISZCZYCIELE MIN
BĘDĄ SŁUŻYŁY
W 13 DYWIZJONIE
TRAŁOWCÓW.**



TEMAT NUMERU

/ WETERANI

PATRYK CIELIŃSKI/COMBAT CAMERA DORSZ

DUCH

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Czasem **motywacja i determinacja**
są dużo ważniejsze niż fizyczne ograniczenia.

A photograph of two men sitting on a basketball court floor. The man on the left is wearing a dark grey t-shirt and black shorts, with his arms raised in a playful gesture. The man on the right is wearing a blue and black t-shirt and black shorts, looking towards the first man. The background shows a basketball court with a blue and red floor, and large windows in the distance.

WALKI



D

aniel Cnossen, sympatyczny mężczyzna z Kansas, pokonał długą drogę od czasu, kiedy w Kandaharze, w 2009 roku, w wyniku wybuchu ajdika stracił obie nogi, do dnia, w którym z sześcioma medalami w ręku opuszczał w 2018 roku Pjongczang, gdzie odbywały się zimowe igrzyska paraolimpijskie. Kiedyś był dowódcą plutonu Navy SEAL, a za swoją służbę został odznaczony Brązową Gwiazdą i Purpurowym Sercem. Teraz trenuje biathlon i narciarstwo biegowe.

W Pjongczangu, w liczącej około 70 paraolimpijczyków amerykańskiej reprezentacji, oprócz Cnossena znalazło się 18 weteranów misji w Iraku czy Afganistanie. Oczywiście Stany Zjednoczone nie są pod tym względem wyjątkowe. Brytyjski oficer Nick Beighton, który w Afganistanie stracił obie nogi, na letnich igrzyskach paraolimpijskich w Rio de Janeiro zdobył brązowy medal w kajakarstwie. Przegrał tam zresztą z innym weteranem, Australijczykiem Curtisem McGrathem, który sięgnął wówczas po złoto. Brytyjski paraolimpijczyk Jon-Allan Butterworth, mimo że stracił lewe ramię w czasie ataku rakietowego w Iraku, osiąga sukcesy jako kolarz.

Takie przykłady można mnożyć bez końca. Sportowcy weterani to integralna część większego zbioru walecznych ludzi, którzy znaleźli w sobie siłę, aby wyjść poza swoją niepełnosprawność. Niektórzy z nich, jak tenisistka stołowa Natalia Partyka, startująca w igrzyskach

w Pekinie czy Londynie, południowoafrykańska pływaczka Natalie du Toit czy czeski kolarz Jiří Ježek, walczą o podium z pełnosprawnymi zawodnikami. Sam fakt, że jedni i drudzy mogą dziś stanąć w jednym szereg, jest triumfalnym zwieńczeniem żmudnego procesu dojrzewania, jaki społeczeństwo musiało przejść od roku 1948 roku, gdy niepełnosprawnemu Jackowi Dearlove'owi, sternikowi brytyjskiej ósemki wioślarskiej, nie pozwolono wziąć udziału w ceremonii rozdania medali.

Aktywność fizyczna w podobny sposób oddziałuje zarówno na osoby zdrowe, jak i niepełnosprawne. Dla tych drugich jednak uprawianie sportu to coś więcej. Oprócz tego, że jest formą rehabilitacji, przywraca wiarę we własne możliwości i daje motywację do osiągania kolejnych celów. Mówią o tym często Jasiak Mela, zdobywca m.in. dwóch biegunów – po amputacji lewego podudzia i prawego przedramienia, a także kierowca rajdowy Bartek Ostrowski, który po amputacji obu rąk nauczył się prowadzić auto za pomocą stóp i zdobył międzynarodową licencję wyścigową FIA (Fédération Internationale de l'Automobile). Determinacją nie ustępują oni najlepszym zawodnikom, chociażby takim jak Robert Kubica, który po ciężkim wypadku wrócił do startów w wyścigach samochodowych.

LICZY SIĘ MOTYWACJA

W muzeum w greckiej Olimpii znajduje się tabliczka upamiętniająca Demokratesa, kalekiego zapaśnika, który w zawodach pokonał



RYSZARD BUKAŃSKI, były mistrz świata w łucznicztwie osób niepełnosprawnych, uważa, że przed zawodnikami należy stawiać małe cele, gdyż zbyt wysokie oczekiwania zniechęcają nawet najsilniejszych psychicznie zawodnika.



PARAOLIMPIJCZYCY TWIERDZĄ, ŻE SPORT ZASTĘPUJE IM REHABILITACJĘ.

AKTYWNOŚĆ OSÓB NIEPEŁNOSPRAWNYCH MUSI BYĆ JEDNAK DOSTOSOWANA DO ICH MOŻLIWOŚCI

wszystkich przeciwników. Dziś już nikt nie stawia paraolimpijczykom marmurowych pomników, mają jednak oni swoje stałe, zasłużone miejsce w historii światowego sportu. W 1904 roku w St. Louis sześć medali, w tym trzy złote, zdobył amerykański gimnastyk George Eyser, startujący z protezą lewej nogi. Złoto zgarnął m.in. w skoku przez kozła. Innym przykładem jest sierż. Károly Tákacs. Po wybuchu granatu stracił prawą dłoń, nauczył się więc strzelać lewą ręką. Został mistrzem olimpijskim w strzelaniu z pistoletu szybkostrzelnego na igrzyskach w 1948 roku i sukces ten powtórzył cztery lata później.

W tym samym roku w szpitalu Stoke Mandeville pod Londynem neurochirurg Ludwig Guttmann zorganizował zawody sportowe dla przebywających tam inwalidów z II wojny światowej. Guttmann leczył setki rannych i sparaliżowanych żołnierzy. Jego idee fixe stała się ich re-

integracja ze społeczeństwem, a środkiem prowadzącym do celu miał być właśnie sport. W rozgrywanym na przyszpitalnym trawniku turnieju łuczniczym wzięło udział 16 weteranów. Na pierwsze paraolimpijskie igrzyska trzeba było poczekać jeszcze kilkanaście lat. Odbyły się one w 1960 roku w Rzymie. Polacy zadebiutowali na tej imprezie 12 lat później. A w 2014 roku książę Harry, w pięknym stylu nawiązując do idei Guttmanna, zainicjował igrzyska niezwycięzonych, Invictus Games, podczas których o medale walczą weterani poszkodowani z całego świata. W tym roku także polscy.

KONDYCJA TO PODSTAWA

Paraolimpijczycy twierdzą, że sport zastępuje im rehabilitację. Aktywność osób niepełnosprawnych musi być jednak dostosowana do ich możliwości. „Muszę wykonywać ćwiczenia tak, żeby nie zrobić sobie krzywdy”,





AKTYWNI NA CO DZIEN

Idea rehabilitacji przez sport jest w USA popularyzowana już od lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia.

W 1967 roku, by pomóc rannym wracającym z Wietnamu, inni niepełnosprawni żołnierze założyli Disabled Sport USA. Dziś to jedna z największych organizacji w Stanach Zjednoczonych, pomagająca rannym mundurowym w poprawie jakości życia dzięki zapewnieniu im możliwości uprawiania sportu i rekreacji.

Osoby po amputacjach kończyn, z urazami mózgu, rdzenia kręgowego, upośledzeniem widzenia, stwardnieniem rozsianym, a także problemami psychicznymi mają do wyboru

blisko 50 sportowych dyscyplin letnich i zimowych. To m.in. narciarstwo alpejskie i snowboard, żeglarstwo, nurkowanie, lekkoatletyka, tucznictwo, bieganie. Poszkodowani biorą też udział w spływach kajakowych, jeżdżą na rowerach, grają w golf, siatkówkę, koszykówkę, uprawiają jeździectwo czy wspinaczkę. Ci z najlepszymi wynikami startują w reprezentacji USA na igrzyskach paraolimpijskich.

Wielu uprawia sport na co dzień. **Matthew White** w maju 2010 roku był na misji w Afganistanie. W wyniku ran odniesionych na skutek wybuchu IED lekarze

FRANCK CAMHI / FOTOLIA

podkreśla Katarzyna Piekart, złota medalistka w rzucie oszczepem z paraolimpiady w 2012 roku w Londynie. Przez lata miała problemy z akceptacją ułomności, ale pomogły jej treningi w gronie niepełnosprawnych zawodników. Urodziła się z niedowładem lewej ręki i przez długi czas ukrywała ją pod rękawem bluzki. Gdy zaczęła trenować rzut oszczepem, wzmacniał ją każdy sukces. Rzut na odległość 41,15 m na paraolimpiadzie w Londynie przyniósł zawodniczce złoty medal.

Niedowidzący mistrz igrzysk paraolimpijskich w biegu na 200 m Mateusz Michalski (jego pole widzenia wynosi około 10%) nazywany jest polskim Usainem Boltem, bo przebiega 100 m w czasie 10,78 s. Gdy miał siedem lat, zdiagnozowano u niego chorobę Stargardta, polegającą m.in. na uszkodzeniu części siatkówki odpowiedzialnej za ostre widzenie. Lekarz zalecił mu wówczas ruch jako formę terapii. Podczas aktywności fizycznej krew szybciej krąży, co prowadzi do lepszego ukrwienia oka. Dziś mężczyzna, oprócz biegania, wyciska także sztangę – na treningach jest w stanie udźwignąć nawet 160 kg.

Również weterani ranni na misjach, czynnie uprawiający sport, rodzaj aktywności muszą dopasować do odniesionych obrażeń. Plut. Włodzimierz Wysocki po ura-

zach doznanych w Iraku nie mógł biegać, przesiadł się więc na rower górski. Sierż. Andrzej Skrajny przeżył wprawdzie wybuch miny pod rosomakiem, gdy był na misji w Afganistanie, ale na nowo musiał nauczyć się chodzić. Zawsze był aktywny, dlatego starał się znaleźć taką dyscyplinę, której uprawiania nie będzie ograniczała jego niepełnosprawność. Przerzucił się więc na ćwiczenia w basenie, odkrył też dla siebie nurkowanie. Szer. rez. Jarosław Kurowski, który w 1996 roku na misji w Bośni stracił nogę, teraz z powodzeniem startuje w maratonach pływackich.

O tym, że żaden lek nie zastąpi ruchu, wiedzą członkowie Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Dlatego organizują spływy kajakowe, rajdy rowerowe, kursy nurkowania. Biorą w nich udział weterani z różnym stopniem uszczerbku na zdrowiu, niektórzy po amputacjach kończyn. Zdobyć szczytu, przepłynięcie kajakiem szlaku wodnego czy uzyskanie patentu pletwonurka wzmacnia ich wiarę we własne siły. Gdy spotykają ludzi z podobnymi problemami, którzy wspinają się po górach, nurkują i pływają, zaczynają się przekonywać, że także oni mogą pokonać własne ograniczenia.

musieli mu amputować nogę powyżej kolana. Pół roku później weteran dołączył do niepełnosprawnych sportowców USA biorących udział w marszu śmierci przez pustynię Nowego Meksyku. Przeszedł wtedy 26,2 mili i od tego zaczęła się jego przygoda z bieganiem. Zaliczył triathlon w Nowym Orleanie oraz kilka maratonów w Chicago, Bostonie i Nowym Jorku. **Matt Staton** z kolei, były kapitan amerykańskiej armii, doznał obrażeń na misji w Iraku w 2004 roku. Miał uszkodzoną nogę i lewe biodro, a wielokrotne narażenie na IED spowodowało u niego urazowe uszkodzenie mózgu (traumatic brain injury – TBI) oraz stres pourazowy (posttraumatic stress disorder – PTSD). Po trzech latach musiał odejść z armii. Dziś jest certyfikowanym instruktorem narciarskim, a także in-



Matt Staton jest m.in. instruktorem nurkowania na wodach otwartych.

U S A R M Y

strukctorem nurkowania na wodach otwartych. Pomaga też innym poszkodowanym żołnierzom w odbudowie ich życia poprzez sport.

Joel Hunt po misji wrócił z urazem mózgu. Rok spędził na wózku inwalid-

kim. Rodzice przekonali go, by wziął udział w obozie narciarskim dla weteranów z TBI. W grudniu 2008 roku nauczył się jeździć na nartach. Jako znakomity narciarz alpejski startował w wielu prestiżowych zawodach. PG

Mówi się, że wiara we własne możliwości to połowa sukcesu. Druga połowa to ciężka praca. Trzeba zatem uwierzyć w swoje możliwości, żeby zacząć pracować nad sobą. A potem trzeba jeszcze więcej pracować, żeby uwierzyć, że przyniesie to zakładane efekty. Piętnastu weteranów poszkodowanych z polskiej drużyny uczestniczących w igrzyskach Invictus Games zaufało własnym możliwościom i ciężko pracowało nad kondycją. Startują w różnych dyscyplinach, których w większości dotychczas nie trenowali. Udział w tak wielkiej międzynarodowej imprezie był dla nich potężnym bodźcem. Sierż. Andrzej Skrajny przyznał, że gdyby nie zaczął trenować przed Invictus Games, nie wiedziałby, ile sport może zmienić w jego życiu. Spadła waga, wzmocniły się mięśnie. „Gdy poprawiła się kondycja fizyczna, lepiej poczułem się psychicznie”, mówi.

W różnych klubach i stowarzyszeniach w Polsce trenuje kilka tysięcy niepełnosprawnych zawodników. Mogą oni dziś uprawiać niemal każdą dyscyplinę sportu. Ważne, aby na ich drodze stanęli trenerzy, którzy zmotywują do aktywności. Taką osobą jest Ryszard Bukański, były mistrz świata w łucznictwie osób niepełnosprawnych. Uważa on, że przed zawodnikami należy stawiać

małe cele, gdyż zbyt wysokie oczekiwania zniechęcą nawet najsilniejszego psychicznie. Łucznictwo to jeden ze sportów, w których niepełnosprawni mogą z powodzeniem rywalizować z pełnosprawnymi zawodnikami. Do tarczy strzelają nawet niewidomi. Wszystko jest kwestią systematycznych treningów, ciężkiej pracy i chęci. Bukański stara się o tym przekonać weteranów poszkodowanych, których przygotowywał do startu w Invictus Games.

SIŁA PSYCHIKI

Z badań przeprowadzonych przez TNS Polska dla Renault Polska, dotyczących zainteresowania Polaków sportowcami niepełnosprawnymi, wynika, że imponują oni przede wszystkim determinacją w osiąganiu stawianych celów. Co trzecia osoba stwierdziła, że dają przykład, jak pokonywać własne słabości, 34% badanych przyznało, że ich podziwiała, a 18% uznało za „wspaniałą inspirację dla dzieci i młodzieży”. Według 15% respondentów to tacy sami sportowcy jak osoby pełnosprawne.

Najtrudniejszy jest pierwszy krok, potem poprzeczkę zawiesza się coraz wyżej. Tak było z Sebastianem →

Marczewskim. Z powodu złamania kręgosłupa w czasie misji w Afganistanie wykluczone były ćwiczenia na siłowni, biegi oraz alpinizm, czyli te dyscypliny, które żołnierz uprawiał przez wypadek. Odnalazł się w nurkowaniu, które stało się lekarstwem na jego dolegliwości. Najpierw pokonał jezioro Hańcza na głębokości 105 m. Potem ustanowił europejski rekord służb mundurowych – zanurkował na 241 m. W 2019 roku chce pobić ostatni rekord świata w nurkowaniu głębokim, wynoszący 332 m.

Istnieje coś, co powoduje, że sportowcy niepełnosprawni mają przewagę nad innymi zawodnikami – siła psychiki. A bierze się ona z tego, że muszą przezwyciężyć więcej trudności na swojej drodze i włożyć dużo więcej wysiłku w to, aby móc wystartować w zawodach. „Tym cenniejsze jest potem zwycięstwo, które buduje siłę charakteru”, podkreśla Katarzyna Selwant, psycholog sportowy. I dodaje, że walka ze słabościami, pokonywanie własnych barier, pielęgnowanie w sobie poczucia, że oto udało się pobić kolejny rekord życiowy, budują pewność siebie, która procentuje także w życiu pozasportowym.

Tę tezę potwierdza Mateusz Michalski, który rozpoczął sportowe treningi jako piętnastolatek. Był wówczas zamkniętym w sobie, cichym i wycofanym chłopakiem. Dopiero sport i pierwsze sukcesy zmieniły zakomplexowanego chłopca w pewnego siebie mężczyznę. „Dziś nie ma dla mnie rzeczy niemożliwych”, twierdzi. Teraz pokonuje 100 m w czasie niewiele gorszym niż w pełni sprawni zawodnicy.

Katarzyna Selwant przekonuje, że zmierzenie się z własnymi ułomnościami fizycznymi, ich akceptacja, jest ważnym krokiem w stronę sportowej aktywności. Większa jest wtedy wewnętrzna motywacja. Jak tłumaczy, nie uprawiamy sportu tylko dla medali czy kibiców (co byłoby motywacją zewnętrzną), ale przede wszystkim dla siebie.

Paulina Łozowska, fizjoterapeuta Wojskowego Ośrodka Szkoleniowo-Kondycyjnego w Mrągowie, która pracuje również z weteranami poszkodowanymi,



W 2014 ROKU KSIĄŻĘ HARRY ZAINICJOWAŁ IGRZYSKA NIEZWYCIĘŻONYCH, INVICTUS GAMES, PODCZAS KTÓRYCH O MEDALE WALCZĄ WETERANI POSZKODOWANI Z CAŁEGO ŚWIATA

często obserwuje swoich podopiecznych podczas treningów. Widzi, w jaki sposób uprawianie sportu, dostrzeganie własnych postępów, wpływa na ich psychikę. Są przede wszystkim bardziej pewni siebie, lepiej radzą sobie również w życiu codziennym.

Potwierdza to przykład Witolda Kortyki. Został on poważnie ranny w Iraku, gdy ostrzelano konwój, którym jechał. Ma uszkodzony staw skokowy i łokciowy oraz kręgosłup i bark. Odniesione obrażenia nie przeszkodziły jednak w przejściu 890 km szlakiem św. Jakuba (więcej na ten temat w PZ nr 9/2018). Pokonanie tej trasy wspólnie z amerykańskimi weteranami zajęło Witoldowi Kortyce 40 dni. „Wróciłem odmieniony”, mówi. Jak przekonuje, długotrwały wysiłek fizyczny sprawił, że wyblakły traumatyczne wspomnienia z misji.

PRZEKUWANIE LOSU

„Uprawianie sportu daje zawodnikowi poczucie, że jest w grupie ludzi aktywnych. To wielka wartość”, mówi Katarzyna Selwant.

Sport jest jednym z ważnych elementów rehabilitacji, ale niejedynym, o czym również warto wspomnieć. Bo oprócz powrotu do sprawności fizycznej równie ważne jest znalezienie na nowo własnego miejsca w społeczeństwie. A w tym pomaga aktywność zawodowa.

Od czasu, kiedy weszła w życie ustawa o rehabilitacji zawodowej i społecznej oraz zatrudnianiu osób niepełnosprawnych, czyli od 1997 roku, wiele się zmieniło. Potwierdzają to choćby dane z badań aktywności ekonomicznej ludności, przeprowadzanych przez Główny Urząd Statystyczny. Według nich, z roku na rok rośnie wskaźnik zatrudnienia osób niepełnosprawnych. W 2017 roku wzrósł o 2,6 punktów procentowych w stosunku do poprzedniego i osiągnął 26,3%, ale to wciąż za mało. Podobnie jest w armii. Status weterana poszkodowanego ma ponad 700 osób. Niektórzy wrócili do wojska na cywilne stanowiska pracy. Inni skorzystali z możliwości, jaką dało im wprowadzenie kategorii zdolny do służby z ograniczeniami. Z tą kategorią w armii jest obecnie około 80 osób. ■

ARCH. JAŚKA MELI

SIĘGAĆ PO WIĘCEJ

Z Jaśkiem Melą

o tym, że niepełnosprawność nie oznacza końca aktywności fizycznej i jak pokonać tkwiące w głowie ograniczenia, rozmawia Paulina Glińska.

Gdy miałeś zaledwie 13 lat, po porażeniu prądem amputowano ci rękę i nogę. Pamiętasz, co sobie wtedy myślałeś?

Na początku było tak, jak dzieje się zazwyczaj po osobistych tragediach. Otoczenie chce ci pomóc, zmotywować. Ale gdy zdrowa osoba mówiła mi: „Nie martw się, wszystko będzie dobrze”, wydawało mi się, że to są puste słowa. Bo nie wystarczy zamknąć oczu, by zrozu-

mieć osobę cierpiącą na ślepotę. Zdarzało się, że ktoś do mnie podchodził i mówił, że miał kiedyś nogę w gipsie i dobrze wie, co ja czuję. Tyle że on odliczał czas do zdjęcia gipsu, a potem mógł robić wszystko, co do tej pory. Z brakiem nogi trzeba się jednak mierzyć całe życie, a amputacja wyklucza powrót do tego, co było wcześniej. Co oczywiście nie znaczy, że w przyszłości ma być gorzej. Ale nie zawsze to wiedziałem. Wtedy, jako nastolatek,



WIZYTÓWKA

JASIEK MELA

W 2002 roku, mając 13 lat, uległ ciężkiemu wypadkowi. W wyniku porażenia prądem (15 000 V) amputowano mu rękę i nogę. Porusza się o protezie podudzia. Dwa lata po wypadku razem z polarnikiem Markiem Kamińskim wyruszył na wyprawę na biegun północny, a następnie na południowy. Na liście jego dokonań są także: zdobycie szczytu Kilimandżaro, Elbrusa na Kaukazie oraz liczącej ponad 1000 m ściany skalnej El Capitan w Kalifornii w USA. Przebiegł też New York City Marathon, ukończył zawody Ironman w Gdyni oraz ośmiokilometrowy ekstremalny bieg z przeszkodami Hero Run. ■



byłem przekonany, że niepełnosprawność oznacza koniec mojej aktywności i pozytywnego życia, ambicji, pasji i marzeń.

Zacząłeś jednak rehabilitację i powoli oswajałeś się z codziennością. Dziś używasz protezy podudzia, jesteś aktywny fizycznie. Gdzie znalazłeś motywację i wolę walki o to, by móc normalnie funkcjonować?

Wiele dało mi spotkanie z polarnikiem Markiem Kamińskim, który pojawił się w bardzo trudnym dla mnie momencie i zaproponował wyprawę na biegun. Uwierzył we mnie, dał mi szansę i zmobilizował do tego, żebym zaczął coś ze sobą robić. Moja rehabilitacja, która dotąd była żmudną drogą powrotu do normalnego funkcjonowania, szybko stała się inspirującym wyzwaniem i początkiem przygotowań do wyprawy. Mając taki cel, miałem też większą mobilizację do pracy. I tak zacząłem, krok po kroku. Pierwsza wyprawa była na biegun północny, następna na południowy. W kolejnych latach zdobyłem Kilimandżaro, potem kolejne szczyty,

wziąłem udział w maratonie i triathlonie. Robiąc to wszystko, uzmysłowiłem sobie, że większość ograniczeń, które pojawiły się w związku z niepełnosprawnością, siedziała w mojej głowie. Zastanawiałem się nawet, co pomogło mi się od nich uwolnić. I doszedłem do wniosku, że to, kim teraz jestem, zawdzięczam spotkaniom z wieloma ludźmi, którzy potrafili mnie do takiego życia zainspirować. Po prostu pokazali mi, że się da.

Chcesz powiedzieć, że dla osoby niepełnosprawnej tuż po wypadku ważne jest to, kogo spotka na swojej drodze?

Myszę, że to jedna z najważniejszych spraw w takich sytuacjach. Gdy człowiek staje się niepełnosprawny, to wydaje mu się, że powrót do normalności jest rzeczą ekstremalną, być może nawet nieosiągalną. Ja też tak myślałem. Ale miałem to szczęście, że spotkałem osoby, które stały się dla mnie inspiracją. To byli rówieśnicy będący w sytuacji podobnej do mojej, ale też niepełnosprawni lekkoatleci, którzy otworzyli mi



ARCH. JASKA MELI/RADOSŁAW KAMIŃSKI

Udział w ośmiokilometrowym biegu z przeszkodami Hero Run był dla Jaska Meli wielkim wyzwaniem. A także, jak mówił w jednym z wywiadów, kolejnym dowodem na to, że można przekuć swoją słabość w siłę i warto walczyć o pełnię życia.

oczy i pokazali, że można np. być najlepszym w skoku w dal, nie mając nogi. Po tych spotkaniach zacząłem sobie uświadamiać, że wymówki związane ze zdrowiem nie mają sensu, że niepełnosprawność nie może być usprawiedliwieniem nicnierobienia. Poczułem też większą odpowiedzialność oraz to, że mam większy wpływ na własne życie.

Występy paraolimpijczyków, którzy mimo swoich ograniczeń osiągają świetne wyniki, zdobywają medale, wielu zdrowych ludzi mogłoby zawstydzić.

Kiedy ktoś zdrowy postanawia zacząć uprawiać sport, to w głowie ma zawsze jakieś cele: a to wielki mecz piłkarski, a to miejsce na podium i medale. Celem osoby, która staje się niepełnosprawna na skutek wypadku czy choroby, jest powrót do normalnego funkcjonowania, takiego poziomu zero. To z jednej strony kiepska motywacja, bo łatwo polec bez siły napędowej. Z drugiej jednak zdarza się, że tacy ludzie chcą coś udowodnić, pokazać, że są coś warci, więc w efekcie ich motywacja bywa dużo większa. Sam fakt, że każdego dnia muszą walczyć z niepełnosprawnością, sprawia, iż łatwiej im chyba podejmować kolejne wyzwania. Znam wiele osób, które wypadek zmobilizował do uprawiania sportu. Wcześniej nie odczuwali po-

trzeby aktywnego życia, a dziś przekraczają wiele granic. Konstruują wózkówrowery i organizują wyprawy w góry, jeżdżą na nartach bez nóg, biegają. Do tego wszystkiego w pełni akceptują siebie takimi, jakimi są – z protezą, na wózku, bez wzroku.

Czy powstanie fundacji Poza Horyzonty, która pomaga osobom po amputacjach i ich rodzinom, wyniknęło z Twojej chęci podzielenia się osobistym doświadczeniem?

Oczywiście też, ale chciałem przede wszystkim odwdziżyć się za to, co sam dostałem 15 lat temu. Moim celem stała się pomoc osobom, które nie zawsze są w stanie poradzić sobie z powrotem do aktywności, chociażby ze względu na ograniczenia finansowe. Dziś wiem, że wszystko dzieje się po coś, a praca w fundacji nadaje sens moim najtrudniejszym doświadczeniom. Łatwiej mi zrozumieć osoby po amputacjach, bo sam przez to przeszedłem, czasem też niektórych zawstydzić. Zdarza mi się podciągnąć nogawkę i powiedzieć, że to przecież nie koniec świata, że warto wziąć się w garść dla samego siebie.

Dają się przekonać, by wyjść poza horyzonty i stać się aktywnym fizycznie?

Sport to genialny wynalazek, uwalniający endorfiny, działający jak kilka dobrych czekoladek, bez efektu zbędnych kilogramów. Z własnego doświadczenia wiem, że może bardzo pomóc w adaptowaniu się do życia po amputacji, ale nie tylko w takich sytuacjach. Gdy jeżdżę na rowerze, pływam, chodzę po górach, to wtedy czuję, że żyję. Dlatego i naszych podopiecznych staramy się motywować do takiej aktywności. Nie chodzi od razu o wyczynowy sport, ale o to, by znaleźć w sobie odwagę sięgania po rzeczy z pozoru nieosiągalne. Czasem to wspólna wyprawa w góry, innym razem marsz z obciążeniem czy kilkudniowy obóz survivalowy. Cyklicznie organizujemy kursy nauki chodu WalkCamp, a także rajdy przygodowe Forest Jump. Często bywa tak, że jedno takie wydarzenie staje się dla kogoś początkiem czegoś większego. Pamiętam naszego podopiecznego, który dziś uprawia sporty i wciąga do tego innych. Bardzo mnie to cieszy. Oczywiście nie każdy daje się zachęcić od razu. Odwiedziliśmy kiedyś chłopaka po amputacji. Mówiliśmy o tym, co robimy, pokazywaliśmy filmy z naszych wypraw, własne protezy. Nie chciał na ten temat nawet rozmawiać, ale my i tak wiedzieliśmy, że nasze słowa podziałają jak ziarno, które zostało zasiane. Bo często jest tak, że ktoś, kto wydawałoby się, że nic z tego, co mówiliśmy, nie usłyszał, wraca do nas i wkręca się w tę aktywność. Po prostu dojrzał do tego, by przesunąć swoje granice i zmienić sposób postrzegania własnych ograniczeń. ■

ONI JUŻ WYGRALI

.....
WETERANI Z CAŁEGO ŚWIATA
SPOTYKAJĄ SIĘ NA

**INVICTUS
GAMES**

SYDNEY 2018.
PO RAZ PIERWSZY SĄ WŚRÓD NICH
TAKŻE POLACY.

.....

Nasz kraj reprezentuje 15 weteranów poszkodowanych. Wielu z nich było ciężko rannych, niektórzy są po amputacjach rąk lub nóg, inni przeszli operacje kręgosłupa, a większość ma orzeczoną duży uszczerbek na zdrowiu. W Sydney startują m.in. w lekkoatletyce, strzelaniu z łuku, pływaniu, siatkówce na siedząco czy kolarstwie.

Międzynarodowa impreza organizowana jest przez fundację Invictus Games założoną przez księcia Harry'ego, członka brytyjskiej rodziny królewskiej. Igrzyska odbywają się od trzech lat na różnych kontynentach (Londyn, Floryda, Toronto). W tym roku w Sydney spotyka się około 500 zawodników z 18 krajów. Byli żołnierze, któ-

rzy zostali ranni podczas służby, walczą o medale w 11 dyscyplinach sportowych.

Polscy weterani poszkodowani przygotowywali się do startu w igrzyskach podczas trzech turnusów w Wojskowym Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Mrągowie, gdzie ćwiczyli pod okiem wykwalifikowanych trenerów, na co dzień przygotowujących naszych paraolimpijczyków. Jak mówią weterani, udział w Invictus Games to dla nich wielkie wyróżnienie i zaszczyt. Twierdzą, że podczas zawodów dadzą z siebie wszystko i postarają się nie zawieść swoich kibiców. Jak dodają, w tej imprezie nie chodzi jednak o zdobywanie medali, lecz o sportową rywalizację, która pomaga w powrocie do zdrowia. AD ■

Wojuskową karierę rozpoczął w 2001 roku od służby zasadniczej. Potem był żołnierzem nadterminowym, wyjechał do Iraku, a po powrocie został szeregowym zawodowym. Służył w elitarnej kompani rozpoznawczej. Na VII zmianę PKW Afganistan wyjechał jako kierowca KTO Rosomak. Został ranny w 2010 roku podczas ostrzału bazy. Nie pamięta wypadku, obudził się dopiero w szpitalu w Warszawie. „Dziwnie się czułem, jakbym nie miał lewej ręki i lewej nogi. Zastanawiałem się, co się stało. Wtedy dowiedziałem się, że odłamek, którym dostałem w głowę, spowodował trwałe uszkodzenia, powodujące paraliż lewej strony ciała”, wspomina. „Porażenie połowiczne z niedowładem”, brzmiała diagnoza. Ponad rok spędził w szpitalach.

Ze względu na obrażenia został przeniesiony w stan spoczynku. Choroba zamknęła go w czterech ścianach. Wyjeżdżał tylko do sanatoriów na turnusy rehabilitacyjne. „Rodzina walczyła, aby postawić mnie do pionu”, wspomina. Łatwo nie było. Aż brat znalazł w internecie adres Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Marcin nawiązał kontakt z innymi rannymi na misjach. Poczł się częścią wspólnoty. To dla niego ważne, że może spotkać się z kolegami czy porozmawiać z nimi przez telefon.

Dzięki wsparciu Fundacji Polskiej Grupy Zbrojeniowej dostał specjalistyczny fotel. Dla żołnierza, który codziennie zмага się z częściowym niedowładem kończyn i przykurczami, to istotne poprawienie komfortu życia oraz ułatwienie w codziennym funkcjonowaniu. „Używam tego

sprzętu systematycznie co najmniej dwa razy dziennie. Dzięki temu lepiej śpię, mniej boli mnie kręgosłup i nie tykam tyłu co dawniej środków przeciwbólowych”, przyznaje Marcin Chłopeniuk. Nie musi już także tak często korzystać z ręcznych masażu.

Przed wypadkiem na misji był aktywny sportowo, grał amatorsko w siatkówkę, lubił łowić ryby. Dziś uprawianie sportu zastąpiła rehabilitacja. Wie, że jest skazany na nią do końca życia. Jednak się nie poddaje. Jeździ na turnusy rehabilitacyjne, stara się o przeszczep komórek macierzystych. W tym roku po raz pierwszy pojechał na obchody Dnia Weterana. Poczł, że to także jego święto i że został zauważony. Ważne były spotkania z kolegami z misji oraz chwila zadumy i uczczenia pamięci tych żołnierzy, którzy nie wrócili do domów. ■

Kpr. w st. spocz. MARCIN CHŁOPENIUK

I

AM

WIEK: 38 LAT

100% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: I ZMIANA PKW IRAK ORAZ VII ZMIANA
PKW AFGANISTAN

DYSCYPLINA: LEKKOATLETYKA
(PCHNIĘCIE KULĄ I RZUT DYSKIEM),
BĘDZIE TAKŻE PILOTEM KIEROWCY
PODCZAS JAZDY SAMOCHODEM

MICHAŁ NIWICZ



Mimo że do domu wrócił na wózku, twierdzi, że nie ma do nikogo pretensji o to, co wydarzyło się na misji. „Pojechałem na VII zmianę PKW w Afganistanie jako żołnierz, pod polską flagą. Łopotała cały czas nad moją głową”, mówi. 27 lipca 2010 roku, kilkanaście kilometrów od bazy Warrior, patrolujący okolicę rosomak wjechał na minę pułapkę. Rannych zostało sześciu żołnierzy.

MICHAŁ NIWICZ (2)

„Byłem sparaliżowany od klatki piersiowej w dół. Nie zdawałem sobie sprawy ze skali obrażeń. Gdy



**I
AM**

WIEK: 42 LATA

100% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: VII ZMIANA PKW AFGANISTAN

DYSCYPLINA: ŁUCZNICTWO,
LEKKOATLETYKA (PCHNIĘCIE KULĄ
I RZUT DYSKIEM)

**Sierż. INVICTUS
w st. spocz. GAMES
MARIUSZ
SACZEK**

**I
AM**

WIEK: 42 LATA

85% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: I ZMIANA IFOR W BOŚNI I HERCEGOWINIE

DYSCYPLINA: SIATKÓWKA NA SIEDZĄCO,
ŁUCZNICTWO, LEKKOATLETYKA
(PCHNIĘCIE KULĄ I RZUT DYSKIEM)

**St. szer. rez.
JAN KOCZAR**

**INVICTUS
GAMES**



ZGŁOSIŁEM SIĘ DO SPORTOWEJ RYWALIZACJI, ABY SIĘ SPRAWDZIĆ I WYJŚĆ Z CIECIA

z o b a c z y ł e m pierwsze blizny, pomyślałem, »jak ja pójdę na plażę?«, opowiada. Okazało się, że miał w trzech miejscach złamany kręgosłup. Lekarze orzekli niedowład kończyn dolnych jako rezultat uszkodzenia rdzenia kręgowego, ponadto m.in. uszkodzenie śledziony i wątroby, a także słuchu. Potem były powrót do Polski i wielomiesięczna wędrówka między szpitalami w Bydgoszczy, Warszawie i Ciechocinku oraz sanatoriami. Stopniowo wracało czucie. Wtedy już wiedział, że może mu pomóc tylko rehabilitacja.

Na nowo uczył się chodzić. Pierwsza odległość, jaką pokonał za pomocą dwóch czwórnogów (laski z czterema punktami podparcia), wyniosła 20 m. Stopniowo zwiększał dystans, a potem zamienił

czwórnogi na kule. Aż wreszcie był w stanie przejść kilkadziesiąt metrów. Jednak na dłuższych dystansach porusza się na wózku inwalidzkim.

„Przez pierwszy rok miałem nadzieję, że mój stan jest przejściowy. Jednak okazało się, że nie wrócę do dawnej sprawności. Stałem się zakładnikiem własnego ciała. Na początku bardzo ciężko było mi pogodzić się z tym, że o najprostsze rzeczy muszę prosić. Młodemu mężczyźnie trudno zaakceptować taką sytuację”, wspomina. Dziś mówi, że pogodził się już z nową rzeczywistością, choć nie do końca ją zaakceptował. Wie, że jest skazany na rehabilitację do końca życia.

Postanowił nie zamykać się więcej w czterech ścianach, lecz wyjść

do ludzi. Zaangażował się w działalność na rzecz rannych żołnierzy. „To ważne, abyśmy mówili w tej sprawie jednym głosem”, podkreśla. Osobistą pasją Mariusza stały się stare motocykle, które odrestaurowuje. Pierwszą taką maszyną był motorower Komar z 1976 roku przeznaczony dla kilkunastoletniego syna. Dziś w garażu czeka na swoją kolej ponad 20 motocykli. „Daję im drugie życie”, mówi Mariusz.

W polskim teamie na Invictus Games jest jednym z najciężiej poszkodowanych żołnierzy. Podczas przygotowań zawodników do startu w Sydney okazało się, że ma mocne ręce i dobrze radzi sobie z łukiem. Próbował swoich sił w różnych konkurencjach, ale najlepszy wynik osiągnął, strzelając z łuku. W tej dyscyplinie czuje się najmocniej. „Zgłosiłem się do sportowej rywalizacji, aby się sprawdzić i wyjść z cienia”, mówi. ■

Był 1996 rok, gdy jako strzelec wyborowy wyjechał na zmianę IFOR w Bośni i Hercegowinie. Służył w 16 Batalionie Powietrznodesantowym, który wchodził w skład 6 Brygady Powietrznodesantowej.

„Niestety, zabrakło mi szczęścia. Na posterunku doszło do wypadku”, mówi. W wybuchu miny przeciwpiechotnej stracił nogę. Spędził prawie rok w szpitalu. Dziś porusza się dzięki protezie.

Początkowo wstydził się swojej niepełnosprawności. Protezę zakrywał długimi, luźnymi spodniami. To uczucie towarzyszyło mu przez lata. „Przełamałem się dopiero w 2014 roku, gdy pojechałem z rodziną nad morze. Wtedy po raz pierwszy włożyłem na plażę krótkie spodnie”, wspomina. Zapisał się do Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. W powrocie do normalności pomogły mu spotkania i rozmowy z innymi poszkodowanymi na misjach weteranami. Dawały mu siłę i poczu-

cie, że nie jest sam. Dziś uważa, że jego sztuczna noga to nic nadzwyczajnego. „Obecnie mam protezę, która mi pozwala dobrze się poruszać, a nawet pobiegać. Zmienił się też społeczny odbiór poszkodowanych żołnierzy, kiedyś mówiło się »inwalida wojskowy«, dziś »weteran«. Jest różnica”, podkreśla.

„Gdybym nie został żołnierzem, byłbym sportowcem”, mówi. Jan chętnie opowiada o swojej pasji. Na przykład o grze w drużynie Amp Futbol Szombierki Bytom dla osób niepełnosprawnych. To dyscyplina niszowa w Polsce. Zasady są praktycznie takie same jak w zwykłym futbolu: piłka jest jedna, a bramki są dwie. Aby móc swobodnie i dynamicznie poruszać się po boisku, zawodnicy używają specjalnych kul łokciowych.

W amp futbol grał także z drużyną Kuloodporni Bielsko-Biała, z którą zdobył w 2017 roku brązowy medal na mistrzostwach Polski w tej dyscyplinie. Medal był nagrodą za włożony wysiłek, jednak nie mniej

ważne były rywalizacja sportowa, przełamywanie barier oraz poczucie ducha walki. „Niestety, musiałem zrezygnować, gdyż uprawianie tego sportu oznacza szalenie wyczerpujące treningi oraz szybkie bieganie po boisku o kulach, co mocno obciążało zdrową nogę”, mówi.

Wyćwiczone w wojsku oko przydaje się dziś, gdy Jan trenuje łucznictwo. Uważa, że nie jest to łatwa dyscyplina. Na strzelnicy towarzyszy mu 13-letnia córka Weronika, która także strzela z łuku. Wsparcie jest też żona Agnieszka, która jeździ z nim na treningi. Jan żartuje, że podaje mu dyski, rzut dyskiem jest bowiem kolejną dyscypliną, którą uprawia. Przychylnym okiem na jego sportowe pasje patrzy komendant Wojskowej Komendy Uzupełnień w Rybniku, gdzie Jan jest starszym dokumentalistą.

„Trenuję ostro, aby na Invictus Games osiągnąć jak najlepszy wynik. Nie wiem, czy uda mi się zdobyć medal, ale czy tylko na tym polega zwycięstwo?”, podsumowuje. ■

Podczas pierwszej zmiany PKW Irak Tomasz Kloc był sape-rem, przez cztery i pół miesiąca codziennie wyjeżdżał na patrol. Czasem nawet dwa, trzy razy dziennie. Aż przyszedł „ten dzień”. W grudniu 2003 roku na drodze przejazdu konwoju, w którym jechał, eksplodowała mina pułapka.

„Odlamki dziurawią szybę, a potem mnie. Bólu nie czuję, widzę swoją nogę w strzępach, mundur, mięso, kałuża krwi. Biorę radio, mówię, że dostałem”, wspomina. Zakres doznanych obrażeń wykluczył powrót do służby (uszkodzony nerw udowy powoduje przykurcze, ponadto jest niedowład prawej ręki). Proces leczenia trwał kilka miesięcy, rehabilitacja – kolejne dwa lata. W 2005 roku Tomasz został zwolniony z zawodowej służby wojskowej i przeniesiony w stan spoczynku. Wojenne rany od-

zywają się do dziś, bo odlamki do tej pory tkwią w jego ciele.

Najgorsza, po powrocie była bezradność. Wyjeżdżał zdrowy, wrócił poraniony na ciele i duszy. Miał 31 lat i nadzieję, że coś jeszcze uda mu się osiągnąć. W cywilu ukończył studia i zdobył tytuł magistra socjologii. Podjął pracę w administracji. Pomyślał, że warto się zrzeszyć z innymi weteranami, i tak w 2007 roku zrodził się pomysł powołania Stowarzyszenia Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju. Tomasz obecnie pełni funkcję prezesa zarządu głównego. „Naszym priorytetem jest objęcie opieką rannych żołnierzy i ich społeczna aktywizacja”, mówi. Od 2013 roku jest pracownikiem wojska w 12 Brygadzie Zmechanizowanej w Szczecinie na stanowisku starszego referenta do spraw rannych i poszkodowanych. Opiekuje się kolegami,

którzy na misji zostali ranni, oraz rodzinami poległych.

„Jestem dumny, że będę reprezentował Polskę na igrzyskach niezwyciężonych”, opowiada. „Zostałem powołany do reprezentacji kraju, tzn. że na swój sposób przekroczyłem nieprzekraczalne. Stałem się na nowo silnym, potrafiącym walczyć, zdeterminowanym człowiekiem. To najlepsza forma psychoterapii, jaką może otrzymać od losu ranny podczas misji żołnierz. Sięgnięcie gwiazd bywa czasami bardziej pożądane, niż uchwycenie tej spadającej”. ■

MICHAŁ NIWICZ (2)

I

**INVICTUS
GAMES**

AM

WIEK: 45 LAT

**70% USZCZERBKU
NA ZDROWIU**

MISJE: ONZ PKW LIBAN, I ZMIANA PKW IRAK

**DYSCYPLINA: SIATKÓWKA
NA SIEDZĄCO, WIOŚLARSTWO
HALOWE, LEKKOATLETYKA
(PCHNIĘCIE KULĄ I RZUT DYSKIEM)**

**St. chor. sztab.
w st. spocz.
TOMASZ KLOC**



Zaczął się od chłopięcych marzeń o mundurze i działalności w harcerstwie. Po zdanej maturze zgłosił się do wojska. Trafił do Batalionu Reprezentacyjnego WP, ale ciągnęło go na poligon i do skoków spadochronowych. Marzenia się spełniają –

Po roku leczenia i rehabilitacji postanowił wrócić do czynnej służby. „Nigdy nie pomyślałem o odejściu z wojska. Wierzyłem, że mogę się przydać także jako osoba nie w pełni sprawna fizycznie”, mówi. Skończył kurs podoficerski. Obecnie służy w 1 Batalionie Strzelców Podhalańskich w Rzeszowie na stanowisku Z/O, czyli zdolny z ograniczeniami.

Przed wypadkiem czynnie uprawiał sport, grał w piłkę nożną, tre-

nował zapasy. W nogę gra nadal, bo, jak twierdzi, brak ręki nie przeszkadza mu w kopaniu piłki. Dziś rozgrywa mecze z kumplami na Orliku. Nadal biega, jeździ na rowerze, a także na nartach, lubi chodzić po górach. Bierze udział w spływach kajakowych organizowanych przez weteranów poszkodowanych. „Nauczyłem się tak trzymać wiosło, że wraz z partnerem z kajaka nie odstawiamy od grupy”, opowiada.

Zaangażował się także w kampanię społeczną „Szacunek i wsparcie”, aby zwracać uwagę społeczeństwa na problemy weteranów i ich rodzin.

Swoją start w igrzyskach Invictus Games traktuje jako sprawdzian własnych możliwości. „Dopiero kilka miesięcy temu po raz pierwszy usiadłem na ergometrze, czyli na maszynie wiosłarskiej, i okazało się, że nieźle mi idzie: w ciągu minuty »przepłynąłem« ponad 300 m. Wiosłarstwo to sport wytrzymałościowy. Trzeba być szybkim, silnym i wytrzymałym. I to mi pasuje”, przyznaje. W drugiej konkurencji, czyli w pływaniu, w ciągu czterech minut pokonał dystans około kilometra. Już wtedy postanowił, że do października poprawi te wyniki.

Wie, że potrafi się zmobilizować i dać z siebie wszystko. W głowie czasem kołata się myśl, żeby w Sydney zająć miejsce na podium. „Wynik jest ważny, medal byłby wisienką na torcie, ale najważniejszy jest start w tak wielkiej międzynarodowej imprezie”, podkreśla. ■

Kpr. DARIUSZ LISZKA

AM

WIEK: 31 LAT

80%

USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: VII ZMIANA PKW AFGANISTAN

**DYSCYPLINA: PŁYWANIE,
LEKKOATLETYKA (BIEGI,
PCHNIĘCIE KULĄ, RZUT
DYSKIEM), WIOŚLARSTWO
HALOWE**

uznał, gdy został żołnierzem 1 Batalionu Kawalerii Powietrznej w Leżnicy Wielkiej.

W 2010 roku wyjechał na misję do Afganistanu. Służył jako celowniczy KTO Rosomak.

W czasie patrolu niedaleko bazy Warrior pod transporterem, którym jechał, wybuchła mina. Kpr. Dariusz Liszka został ranny wraz z trzema kolegami. O jego życie lekarze walczyli najpierw w szpitalu wojskowym w Ghazni, a później w bazie Ramstein. Niestety, z powodu zakażenia krwi musieli amputować mu rękę na wysokości przedramienia.



I
AM

WIEK: 43 LATA

85% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: I ZMIANA IFOR W BOŚNI I HERCEGOWINIE

DYSCYPLINA: PŁYWANIE,
LEKKOATLETYKA (PCHNIĘCIE KULĄ I RZUT
DYSKIEM), WIOŚLARSTWO HALOWE,
SIATKÓWKA NA SIEDZĄCO

Szer. rez. **INVICTUS GAMES** JAROSŁAW KUROWSKI

Zawsze wiedział, że jeśli wstąpi do armii, to tylko do desantu. Pociągały go elitarność Bordowych Beretów oraz skoki spadochronowe. Miał 21 lat, gdy w 1996 roku wraz z kolegami z 16 Batalionu Powietrznodesantowego wyjechał na I zmianę IFOR do Bośni i Hercegowiny. Tam, w wyniku wybuchu miny przeciwpięchotnej, stracił nogę.

Początki były trudne: brak pracy i perspektyw, trudny dostęp do opieki medycznej i rehabilitacji. Jednak się nie poddał. Podjął naukę w Wojskowej Akademii Technicznej.

Ponieważ przed wyjazdem na misję trenował boks i biegi, ponownie zaangażował się w sport, który okazał się doskonałą terapią i pozwolił pogodzić się z niepełnosprawnością.

Brał udział w rajdach górskich w Bieszczadach i Beskidach, gdzie zdobył Turbacz – na najwyższy szczyt w Gorcach. „Podczas rajdów górskich jesteśmy jedną rodziną, tam nie wstydzimy się swoich obra-

żeń, nic nie ukrywamy. Nasze rozmowy stają się najlepszą terapią”, mówi Jarosław. Mocno wspierała go rodzina. „Weteran musi czuć się potrzebny, nie tylko jako były żołnierz, ale też jako człowiek”, podkreśla.

Jest otwarty na nowe wyzwania. Dlatego gdy otrzymał propozycję udziału w wyprawie Spitsbergen Arctic Expedition 2014, nie zaważał się ani chwili.

Przygotowania do wyprawy polegały głównie na intensywnych treningach fizycznych, były to m.in. wielokilometrowe marsze z pełnym wyposażeniem. Wędrując przez arktyczne lodowce, dowiedział, że niepełnosprawność nie musi być przeszkodą w podejmowaniu wyzwań, a idea rehabilitacji poprzez sport i rekreację to jedna z dróg do zdrowia psychicznego i lepszej kondycji fizycznej rannych żoł-

nierzy. „Mój udział w tej wyprawie miał pokazać innym poszkodowanym weteranom, że trzeba przełamywać własne słabości i zawsze wierzyć we własne możliwości”, mówi. Od roku intensywnie trenuje pływanie, a ostatnio wziął udział w maratonie pływackim, co jeszcze kilka miesięcy temu nie mieściło się w jego wyobrażeniach.

Obecnie pracuje w Dowództwie Garnizonu Warszawa na stanowisku starszy specjalista BHP. „Uważam, że weterani stali się widocznymi w społeczeństwie, są wspierani, cieszą się coraz większą estymą. Doświadczylem takiego uczucia 1 czerwca 2014 roku, gdy wspólnie z innym weteranem wniosłem na stadion piłki nożnej drużyny Legia Warszawa puchar dla mistrzów Polski przy aplauzie kilkudziesięciu tysięcy osób”, mówi.

Na pytanie, dlaczego zdecydował się na reprezentowanie Wojska Polskiego w Invictus Games, odpowiada: „Mój udział w igrzyskach traktuję jako kontynuację pewnej drogi życiowej, której celem jest jak najdłuższa aktywność fizyczna, oraz jako silną motywację do systematycznych treningów”.

MICHAŁ NIWICZ (2)



INVICTUS GAMES

Biega, pływa, jeździ na rowerze. Trenuje kick boxing i boks tajski. Udowadnia, że mimo niepełnosprawności można prowadzić aktywny tryb życia. Wziął udział w wyprawie na Spitsbergen oraz w międzynarodowym rajdzie rowerowym organizowanym przez Dowództwo US Army w Europie, nauczył się także nurkować.

Pochodzi z rodziny o wojskowych tradycjach. Dziadek walczył w bitwie pod Monte Cassino, ojciec był spadochroniarzem. On sam żołnierski mundur traktował jako spełnienie dziecięcych marzeń. W 2011 roku po raz pierwszy wyjechał na misję do Afganistanu. „Chciałem zobaczyć, na co mnie stać. Pojechałbym jeszcze raz”, zapewnia.

Tego dnia na trasie jego patrolu znajdowała się słynna „ajdikstrasse”, jak żołnierze nazywali drogę, gdzie talibowie często podkładali urządzenia wybuchowe. Transporter, w którym Tomasz jechał jako gunner (czyli strzelec), wjechał na minę, wywrócił się do góry kołami i zmiażdżył mu lewą rękę. Gdy kilka dni później Tomasz ocknął się w szpitalu w Bagram, dowiedział się, że lekarze musieli ją amputować. Kolejne operacje przeszedł w szpitalu w Ramstein.

„Niektórzy weterani twierdzą, że lepiej zginąć, niż wrócić jako kaleka. Ja nigdy tak nie pomyślałem”, zapewnia Tomasz. Wypadek wywrócił jego życie do góry nogami. Podczas rehabilitacji poznał innych weteranów, również ciężko rannych na misjach.

ma do spłacenia dług wdzięczności. Ciągłe szuka nowych wyzwań. Na ringu walczy z przeciwnikami w pełni sprawnymi. „Sport daje mi poczucie, że można być sprawnym mimo niepełnosprawności. To sport pomógł mi się podnieść i stać lepszym człowiekiem”, podkreśla. W internecie publikuje filmiki ze swoich treningów. Pokazuje też, jak jedną ręką zawiązać buty. Dąży do tego, aby inni żołnierze ranni na misjach zobaczyli, że jak się chce, to można wszystko.

Wspólnie z raperem Dominikiem Grabowskim, znanym jako Doniu, napisał i nagrał piosenkę „Walkę mamy we krwi” (teledysk dostępny na platformie YouTube). Jej tytuł nawiązuje do współczesnych weteranów, którzy

St. kpr. TOMASZ ROŻNIATOWSKI

AM

WIEK: 30 LAT

65% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: IX ZMIANA PKW AFGANISTAN

DYSCYPLINA: PŁYWANIE, WIOŚLARSTWO
HALOWE, LEKKOATLETYKA (BIEGANIE),
SIATKÓWKA NA SIEDZĄCO

Nie było mu wówczas łatwo, ale pomogli starsi i bardziej doświadczeni koledzy. Zrozumiał, że chce nadal służyć. Po zakończeniu leczenia był jednym z pierwszych żołnierzy, którzy ukończyli kurs podoficerski, dostał kategorię zdrowia zdolny z ograniczeniami. Obecnie służy w Dowództwie Operacyjnym Rodzajów Sił Zbrojnych jako młodszy podoficer wydziału szkolenia ogólnowojskowego I WF. Twierdzi, że

stali na straży pokoju w najbardziej niebezpiecznych miejscach na świecie. Ich walka nie zakończyła się wraz z powrotem do kraju. Ten utwór zadedykowali wszystkim, którzy na co dzień zmagają się z przeciwnościami losu, a dopóki walczą, są bohaterami.

Przed Tomaszem kolejna poprzeczka. „Udział w Invictus Games to duże wyzwanie. Chciałbym zdobyć medal, aby nie zawieść osób, które na mnie liczą”, mówi. ■

I AM

WIEK: 40 LAT

60% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: I ZMIANA PKW IRAK

**DYSCYPLINA: SIATKÓWKA
NA SIEDZĄCO, ŁUCZNICTWO,
KOLARSTWO SZOSOWE**

Plut. WŁODZIMIERZ WYSOCKI

INVICTUS
GAMES

I AM

WIEK: 45 LAT

100% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: II ZMIANA PKW IRAK

**DYSCYPLINA: PŁYWANIE,
JAZDA SAMOCHODEM**

Sierż. JANUSZ RACZY



Pamięta jak dziś: misja w Iraku, 29 lutego 2004 roku. Straszny upał. Do Karbali ścigali pielgrzymi, bo zaczynało się święto Aszura. „Policjanci sprawdzali, czy wędrujący ludzie nie mają przy sobie broni albo ładunków wybuchowych, a my ich osłanialiśmy”, wspomina Janusz. Widział nadjeżdżający autobus, ale nic nie wskazywało, że nie zatrzyma się do kontroli. Rozpędzony pojazd staranował posterunek. „Wjechał w betonowe zapory, które roztrzącił jak klocki. Nie miałem jak uciec. Usłyszałem hałas, zrozumiałem, że to trzask moich łamanych kości. Wszystko trwało kilka sekund. Przed oczami przelatywały mi obrazy: koledzy

MICHAŁ NIWICZ (2)

Boże Narodzenie 2003 roku. „Wracaliśmy w nocy do bazy Babilon. Kilka kilometrów przed nią wpadliśmy w zasadzkę”, wspomina plut. Włodzimierz Wysocki, żołnierz 4 Pułku Przeciwlotniczego w Czerwieńsku, który w czasie I zmiany PKW Irak służył w kompanii rozpoznawczej. Pod honkerem, który prowadził, eksplodował ładunek, jednocześnie pojazd ostrzelano z granatnika przeciwpancernego i broni maszynowej. Plut. Wysocki dostał ciężki postrzał w obie nogi i podbrzusze. W stanie krytycznym trafił na stół operacyjny w Babilonie. Potem były kolejne operacje i kolejne szpitale: w Bagdadzie, Ramstein, we Wrocławiu, w Bydgoszczy i Warszawie.

Włodzimierz został przeniesiony do rezerwy z kategorią D. O służbie przypominały mu medale, które dostał, m.in. Krzyż Wojskowy, przyznawany za męstwo i odwagę. „Przez dziesięć lat leczyłem się z poważnych ran. Towarzyszyła mi

wówczas myśl o powrocie do służby. Powoli wracała nadzieja, że będę mógł chodzić”, przyznaje. Dziś pełni służbę w DORSZ jako podoficer sztabowy.

Okazało się, że prawa noga nigdy nie będzie w pełni sprawna. Nie mógł biegać, co oznaczało, że nie może już grać w piłkę nożną. Zmienił więc dyscyplinę. „Kiedy wsiałem na rower, nikt nie zauważał mojej ułomności. Z czasem, widząc, że nie różnię się od innych, stawałem się coraz silniejszy psychicznie”, opowiada. Pod koniec sierpnia 2018 roku wziął udział w Mistrzostwach Polski Służb Mundurowych w Kolarstwie Szosowym. Jak twierdzi, sukcesem było, że mógł rywalizować z osobami w pełni sprawnymi. „Gdybym się z nimi spotkał na boisku, nie miałbym szans, a w kolarstwie mogę przejechać całą trasę”, mówi.

Na rowerze górskim pokonywał kolejne szlaki. Z każdym podjazdem pod górę stawał się silniej-

szy. Wymagało to nie lada wysiłku, ale – jak twierdzi – był to dobry trening dla jego nóg. „Ze szczytu najlepiej widać, jaki wysiłek trzeba było włożyć, aby tam wjechać”.

Na Invictus Games plut. Wysocki chce godnie reprezentować Polskę. Udział w igrzyskach jest dla niego „wyrazem hołdu dla tych, którzy oddali ojczyźnie to, co najcenniejsze, stając się niezwykłymi swoich czasów”. Przyznaje, że start w zawodach sportowych to dla niego wyzwanie. Podjął je, gdyż uważa, że należy stawiać sobie coraz to nowe cele. „Aby je osiągnąć, trzeba zbudować schody do sukcesu i wchodzić nimi krok po kroku”, twierdzi. Swoją udział w igrzyskach dedykuje ciężko chorym rodzicom. Chce im pokazać, że daje radę i pomimo różnych dolegliwości jest nadal żołnierzem, tym niezwykłym, który nigdy się nie poddaje. „Jestem olimpijczykiem życia, każdego dnia wygrywam moją własną olimpiadę”, podsumowuje. ■

OD NOWA UCZYŁEM SIĘ NIE TYLKO CHODZIĆ, LE CZ TAKŻE ŻYĆ. ALE ŻOŁNIERZE SĄ UPARCI

z jednostki, żona, córka...”, wspomina.

Obudził się trzy tygodnie później w szpitalu w Niemczech. Miał roztraskaną miednicę, dwa otwarte złamania nogi, połamane łopatki, pozrywane nerwy. Przeszedł około 40 operacji w specjalistycznej klinice w Ramstein oraz w różnych szpitalach w Polsce. Kiedy dochodziły wieści o śmierci kolejnych kolegów, czuł się winny, że przeżył. „Od nowa uczyłem się nie tylko chodzić, lecz także żyć. Zacząłem od pojedynczych kroków przy balkoniku, ale żołnierze są uparci. Zaciskałem zęby i ćwiczyłem. Po roku, opierając się na kulach, zszedłem z parteru po schodach”, wspomina Janusz.

Twierdzi, że nie dałby rady bez wsparcia rodziny oraz bez celu. Taki cel znalazł jeszcze w szpitalu, gdy odwiedził rannych kolegów z kolejnej zmiany w Iraku. „To był przełom. Nie

mogłem się poddać, chciałem być dla nich przykładem. Opowiadałem swoją historię: mam 100% uszczerbku na zdrowiu, teoretycznie nie powinno mnie tu być. Widziałem, jak zaczęli wierzyć, że mogą normalnie żyć. Dodawaliśmy sobie otuchy”, opowiada.

W powrocie do zdrowia pomagała mu także działalność w Stowarzyszeniu Rannych i Poszkodowanych w Misjach poza Granicami Kraju – przed dziesięcioma laty był jednym z założycieli tej organizacji, do dziś jest jej wiceprezesem. Przyjął na siebie trudne kontakty z rodzinami poległych żołnierzy. Odwiedza także weteranów w szpitalach i pomaga im wrócić do normalnego życia. Działalność tę połączył z pracą w Centrum Weterana Działalność poza Granicami Państwa.

Janusz w 2007 roku zakończył służbę, przyznano mu wojskową rentę inwalidzką. Jednak marzył o tym, aby znowu włożyć mundur.

W 2017 roku udało mu się powrócić do służby. „Musiałem udowodnić komisji, że wciąż mogę być żołnierzem”, mówi. Ma nadzieję, że podobna determinacja pomoże mu również w rywalizacji w Sydney. Przekonał się, że sport sprzyja rehabilitacji, dlatego zdobył uprawnienia pływackie, bierze udział w rajdach górskich oraz spływach kajakowych.

„Udział w Invictus Games jest dla mnie dużym wyzwaniem. Ze względu na odniesione rany nie mogę startować w konkurencjach siłowych. Wiem jednak, że sportowa rywalizacja pomaga mi w powrocie do zdrowia”, mówi. ■

Xzmiana PKW w Afganistanie była jedną z najbardziej tragicznych, zginęło wówczas siedmiu żołnierzy. „Ryzyko istnieje, ale nie myśli się o śmierci. Nikt nie zakłada, że zginie. Nikt nie bierze pod uwagę, że może zostać ciężko poszkodowanym żołnierzem, z dużym uszczerbkiem na zdrowiu”, mówi sierż. Skrajny.

To miał być rutynowy patrol żołnierzy Zgrupowania Bojowego „Bravo”. Kolumna kilku rosomaków jechała do bazy z odległej o kilometr afgańskiej wioski, do której żołnierze zawieźli pomoc humanitarną. Pod pojazdem, którym dowodził sierż. Skrajny, eksplodowało improvised urządzenie wybuchowe. Podmuch złamał Andrzejowi nogi i praktycznie urwał stopy. Operujący go lekarz nie zdecydował się na amputację. Dzięki przeprowadzonej przez niego żmudnej i niebezpiecznej operacji sierż. Skrajny chodzi.

Po raz pierwszy stanął na nogach dopiero pół roku po wypadku. Kolejne kilka miesięcy poruszał się o kulach. Minęło już ponad siedem lat od tamtego dnia, rany się zagoiły, ale dają o sobie znać powikłania. „Ból towarzyszy mi przez cały czas”, przyznaje Andrzej.

Obecnie służy jako podoficer sztabowy w sekcji personalnej w 15 Gizińskiej Brygadzie Zmechanizowanej. Mówi, że chciałby znowu wyjechać na misję, bo jak wielu innych żołnierzy, dopadł go syndrom misjonarza. Jednak nie zrobi tego ze względu na żonę i dwójkę dzieci.

Obrażenia, które odniósł na misji, wykluczyły go z uprawiania niektórych dyscyplin sportowych: nie może ani biegać, ani skakać. Znalazł jednak inne pasje. Jedną z nich jest nurkowanie. Współpracuje ze stowarzyszeniem Podwodnik, pomaga szkolić klasy mundurowe. Rozwija także pasję strzelecką. Zdobył brązo-

**KĄDZY Z NAS
STARA SIĘ SIĘGAĆ
GŁĘBIEJ I DAĆ
Z SIEBIE
WSZYSTKO**

wą odznakę, co roku bierze udział w zawodach weteranów poszkodowanych, które są organizowane z okazji Dnia Weterana. W planach ma zgłębienie kolejnych dyscyplin: strzelania dynamicznego oraz na celność i skupienie.

Od kilku miesięcy przygotowuje się do startu w Invictus Games. Codziennie dwie, trzy godziny spędza na ćwiczeniach w basenie oraz na strzelnicach. Twierdzi, że strzelanie z łuku go relaksuje i odpręża. Uważa, że nieźle mu idzie. „Zasady celowania są podobne jak wtedy, gdy mierzę do tarczy z pistoletu: dwa punkty muszą się ułożyć w jednej linii, wtedy można zwolnić strzałę”, tłumaczy.

Udział w igrzyskach to dla niego dodatkowa motywacja do intensywnych treningów, dzięki którym można osiągać coraz lepsze wyniki. „Każdy z nas stara się sięgać głębiej i dać z siebie wszystko”, zapewnia. ■

MICHAŁ NIWICZ (2)

**I
AM**

WIEK: 40 LAT

**56% USZCZERBKU
NA ZDROWIU**

MISJE: LATA 2004–2005 W SYRII,
III ORAZ X ZMIANA PKW AFGANISTAN

DYSCYPLINA: PŁYWANIE, SIATKÓWKA
NA SIEDZĄCO, ŁUCZNICTWO

**Sierż.
ANDRZEJ
SKRAJNY**

**INVICTUS
GAMES**



INVICTUS GAMES

Wyjechał na misję, bo lubił wyzwania, chciał się sprawdzić i pomagać innym. Był na I zmianie PKW w Iraku. Jako celowniczy-zwiadowca trafił do Brygadowej Grupy Bojowej, która została sformowana na bazie 12 Brygady Zmechanizowanej ze Szczecina.

W grudniu 2003 roku patrol wracał do bazy w Al-Hilla. W pobliżu miejscowości Al-Mahawil, pod honkerem, którym jechał st. szer. Wojciechowski, eksplodowało zdalnie sterowane urządzenie wybuchowe. Jednocześnie kolumna została ostrzelana z ręcznych granatników przeciwpancernych RPG i z broni

maszynowej. Wymiana ognia trwała ponad 20 minut. Potem na miejscu wypadku znaleziono cztery 120-milimetrowe pociski gotowe do użycia. Amerykańscy saperzy rozbijali je przez kilka godzin. Ale tego st. szer. Wojciechowski nie pamięta. Dostał postrzał w żebra, odłamki poszły w prawy bark i nogi. Do listy obrażeń doszły rany szarpane ręki, uszkodzona łopatka, rany pośladka, stłuczenie żuchwy. Miał 22 lata. Wtedy życie dopiero się zaczyna. „A moje niemal się skończyło”, mówi Łukasz.

Kilka miesięcy spędził w szpitalu. Minęły trzy lata, zanim znowu zaczął chodzić. Na nowo uczył się stawiać krok za krokiem. I żyć z bólem. Otwarte rany nie chciały się goić, a przeszczepy – przyjmowały.

„Spada się po to, aby odbić się od dna”, twierdzi. Obecnie pełni służbę na stanowisku Z/O jako kancelista w WKU Kłodzko. Nadal się rehabilituje, wrócił do sportu. Przed wypadkiem uprawiał sporty walki oraz bieganie. Obrażenia, które odniósł, sprawiły, że musiał zrezygnować z tych dyscyplin, jednak pływa w basenie i ćwiczy na siłowni. „Gram także z sześciolatkiem synem w piłkę nożną i jeżdżę na rowerze po górach, robię 30–40-kilometrowe trasy”, opowiada. Kolejną sportową pasję odkrył w łucznictwie. Twierdzi, że strzelanie z łuku to spełnienie młodzieńczych marzeń. „Sport pozwala mi zapomnieć o bólu”, mówi. Po treningu bolą mięśnie, ale to inny rodzaj dolegliwości. Uważa, że skoro po wypadku narodził się na nowo, ma

St. szer. ŁUKASZ WOJCIECHOWSKI

AM

WIEK: 37 LAT

60% USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: I ZMIANA PKW IRAK

DYSCYPLINA: WIOŚLARSTWO HALOWE,
SIATKÓWKA NA SIEDZĄCO, PŁYWANIE,
ŁUCZNICTWO

wać. Każda zmiana opatrunku wymagała uspienia pacjenta przez anestezjologa. Problemy ze zdrowiem pozostały do dziś, choć od wypadku minęło już 15 lat. Gdy st. szer. Wojciechowski poznał kolegów z misji, którym amputowano ręce czy nogi, doszedł do wniosku, że są ciężiej poszkodowani niż on i nie może się nad sobą uzalać.

misję do spełnienia: pokazać innym, że mimo przeciwności losu i wysokiego uszczerbku na zdrowiu można uprawiać sport, starać się normalnie żyć i nie użalać się nad sobą.

Udział w igrzyskach Invictus Games jest dla niego z jednej strony spełnieniem marzeń o sportowej rywalizacji, z drugiej zaś – kolejnym wyzwaniem. Wierzy jednak, że da radę, choć wysoko zawiesił sobie poprzeczkę. Jest przecież wojownikiem. ■



Jego przodkowie służyli w wojsku carskim, walczyli w Bitwie Warszawskiej, kampanii wrześniowej i powstaniu warszawskim. Kiedy w 2007 roku Jakub Tynka zgłosił się na ochotnika do wojska, wszyscy uznali, że to naturalna kolej rzeczy. Pięć lat później, gdy wyjeżdżał na misję do Afganistanu, był żołnierzem 2 kompanii szturmowej 16 Batalionu Powietrznodesantowego. 4 lipca 2012 roku polski patrol zabezpieczał pracę saperów, którzy szukali improwizowanych ładunków wybuchowych. Nagle pobliska wioska jakby opustoszała i padł pierwszy strzał. Ranny został kpr. Jakub Tynka. Tak opowiada o tym zdarzeniu: „Była 9.55, pamiętam, bo spojrzałem na zegarek. Pomyślałem, że żona pewnie wychodzi w Polsce do pracy. A potem ktoś zgasił światło. Ocknąłem się, koledzy krzyczeli, żebym nie odpływał, został z nimi. Zdołałem jeszcze powiedzieć, że nie mogę oddychać”. Wezwany śmigłowiec

przetransportował go do bazy w Ghazni. O 10.20 leżał już na stole operacyjnym.

Pocisk trafił Jakuba w szyję, 0,5 cm od rdzenia kręgowego i 3 mm od tętnicy. Lista obrażeń, których doznał, jest długa: rozerwana żyła szyjna i tętnica kręgową, uszkodzony splot barkowy i łokciowy, odma i krwotok wewnętrzny, słuczone płuca i złamanych pięć żeber. Stracił ponad 2 l krwi. Tracąc przytomność, zobaczył uśmiechniętą żonę. „Wtedy pomyślałem, że nie chcę jeszcze umierać”, wspomina.

Po dwóch latach rehabilitacji powrócił do jednostki. Jednak skutki wypadku odczuwa do dziś. Służy w JW Agat jako podoficer sztabowy na stanowisku zdolny z ograniczeniami. Nie do końca pogodził się z tym, że pracuje za biurkiem.

Na pytanie, czy pojechałby na misję znowu, odpowiada: „Stamtąd nigdy do końca się nie wraca. Wiem,

że na »bojówkę« na pewno już nie pojadę, ale mógłbym służyć w sztabie lub centrum operacyjnym”, wyjaśnia.

Na Invictus Games wybrał m.in. pływanie i kolarstwo, dwie najcięższe dyscypliny. „Zgłoszenie wysłałem kilka tygodni po tym, jak się dowiedziałem, że mój tata ciężko zachorował. W młodości wygrał wiele zawodów pływackich i wierzył, że ja też potrafię. Zawsze mnie wspierał

i mimo że ten ostatni wyścig przegrał, ja chciałbym wygrać na Invictus Games dla niego”, mówi Jakub Tynka. „To taki mój osobisty hold oddany jego pamięci”. ■

MICHAŁ NIWICZ (2)

I
AM

WIEK: 35 LAT

45%

USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: XI ZMIANA PKW AFGANISTAN

DYSCYPLINA: PŁYWANIE,
WIOŚLARSTWO HALOWE,
LEKKOATLETYKA (BIEGANIE),
KOLARSTWO SZOSOWE

Kpr. JAKUB
TYNKA INVICTUS
GAMES



INVICTUS GAMES

Skończył szkołę podoficerską i rozpoczął służbę w 2 Mazowieckiej Brygadzie Saperów w Kazuniu. W 2006 roku pojechał na pierwszą misję do Afganistanu. Sześć miesięcy spędził w bazie w Bagram. Wrócił, ożenił się, urodził mu się syn i wyjechał ponownie. Pomyślał: „Pojadę, skoro pierwsza się udała”.

30 sierpnia 2010 roku plut. Krzysztof Polusik kierował opancerzonym pojazdem MRAP. Wiedział, że musi jechać szybko, aby nie stać się celem. Nic jednak nie zapowiadało ataku, do którego doszło, gdy wyjeżdżał z kolejnego leja po minie i na chwilę się zatrzymał. „Przednia oś wozu była już na asfalcie, tylna wciąż tkwiła w dziurze. W tym momencie staliśmy się łatwym celem”, wspomina. W transporter uderzył pocisk wy-

strzelony z ręcznego granatnika przeciwpancernego RPG7. Roztrzaskał mu kolano, dolna część nogi trzymała się tylko na strzępach skóry i mięśni. Po 15 minutach Krzysztof był już w amerykańskim MEDEVAC. Przeszedł pięć operacji, podczas ostatniej, przeprowadzonej w bazie w Ramstein, amputowano mu nogę. Zgodził się na to, gdy Amerykanie pokazali mu swoich żołnierzy, którzy stracili dwie nogi, ale dzięki protezom mogli normalnie funkcjonować.

Plut. Polusik przez dwa lata był na zwolnieniu lekarskim – tyle trwała rehabilitacja. Dostał nowoczesną protezę, która automatycznie dostosowuje się do ruchów ciała i do ukształtowania terenu. Dał radę dzięki wsparciu rodziny i przyjaciół. Obronił licencjat z bezpieczeństwa narodowego jako ostatni rocznik Akademii Obrony Narodowej. Jeździ na rowerze, bierze udział w rajdach, chodzi po górach. Dzięki protezie może intensywniej uczestniczyć w życiu codziennym. To ważne, gdy wycho-

wuje się dwójkę dzieci. „Najbardziej brakuje mi biegania. Przed wypadkiem lubiłem pobiegać przed pójściem do pracy, w ramach porannej zaprawy. Mój rekord na dystansie 3 km to 10 minut 30 sekund. WF zawsze zaliczałem na piątkę”, opowiada. Obecnie jako młodszy podoficer służy na stanowisku Z/O w wydziale personalnym Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Odkąd na początku 2018 roku zaczął przygotowania do igrzysk Invictus Games, rzucił palenie. „Poprawiła mi się kondycja, głowa lepiej pracuje, koledzy mówią, że także lepiej wyglądam. Codziennie trenuję, czuję, jak rosną mi mięśnie”, mówi. Początkowo chciał wystartować tylko w pływaniu i siatkówce na siedząco, a okazało się, że dyscypliną, którą najbardziej polubił, jest wioślarstwo halowe. „Ćwiczę w protezie. Treningi są ciężkie, bo to sport wysiłkowy. Jestem zmęczony, ale zadowolony. Swoją rolę w igrzyskach traktuję jako sprawdzian”, przyznaje plutonowy. ■

I AM

WIEK: 36 LAT

85%

USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: IX ZMIANA OPERACJI „ENDURING FREEDOM”
ORAZ VII ZMIANA PKW AFGANISTAN

**DYSCIPLINA: PŁYWANIE,
SIATKÓWKA NA SIEDZĄCO,
WIOŚLARSTWO HALOWE**

Plut. KRZYSZTOF POLUSIK



Sport to najważniejsza rzecz, która postawiła mnie na nogi po wypadku”, mówi kpr. Mariusz Mańczak. W wojsku od 2006 roku, najpierw służył na okręcie trałowym w marynarce wojennej jako żołnierz służby zasadniczej, potem w 16 Batalionie Powietrznodesantowym. „Lubiłem skoki, przed wypadkiem oddałem ich 20”, opowiada.

W 2009 roku pojechał na swoją pierwszą misję, V zmianę PKW Afganistan, jako kierowca. Podczas służby został ciężko ranny, kiedy pod jego rosomakiem wybuchła mina pułapka. Z wypadku nic nie pamięta, o tym, co się wydarzyło, opowiedzieli mu koledzy. Miał wyrwany kawałek uda, połamany kręgosłup, przeszedł 26 operacji i trzypółletnią rehabilitację, a dziś w kręgosłupie i nogach ma 27 śrub.

„Cały czas podczas leczenia myślałem o tym, żeby wrócić do wojska”, wspomina. Szansa pojawiła się, kiedy wprowadzono stanowiska dla osób mających kategorię zdrowia zdolny z ograniczeniami. Mariusz Mańczak skończył kurs w Szkole Podoficerskiej Wojsk Lądowych i dziś służy w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym w Katowicach jako młodszy podoficer sztabowy.

Jak dodaje, po wypadku sport, a szczególnie zajęcia na basenie i pływanie, był dla niego formą rehabilitacji. Potem, po trzypółletniej przerwie, wrócił też na siłownię, gdzie intensywnie trenował od 20. roku życia. „Sport fizycznie postawił mnie na nogi, pomagał też na psychikę”, opowiada. Jak podkreśla, warto po takim zdarzeniu znaleźć swoją pasję i w niej dążyć do doskonałości, pomaga to wydostać się z dołka i wyjść z domu. Dla niego taką pasją jest sport.

Do udziału w zawodach Invictus Games namówił go kolega. W Sydney na najlepsze wyniki liczy w strzelaniu z łuku i pływaniu, bo – jak mówi – ma w tych konkurencjach bardzo dobre warunki do treningu.

„Najtrudniej jest z rzutem dyskiem, to sport wymagający siły, ale przede wszystkim dobrej techniki, a w Katowicach nie mam gdzie trenować”, stwierdza

kpr. Mańczak. Jedyne okazje to zorganizowane przez MON zgrupowania w Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Mrągowie, gdzie może ćwiczyć pod okiem wykwalifikowanej kadry. Zaznacza, że kiedy decydował się na uczestnictwo w zawodach, nie sądził, że to taka duża impreza i tyle osób będzie ją oglądać. „Udział w tak wielkich międzynarodowych zawodach to wielkie wyzwanie”, przyznaje. Podkreśla też, że start w Invictusie będzie szansą na pokazanie innym poszkodowanym weteranom, że nawet po ciężkiej kontuzji można stanąć na nogi. „Jeśli jako żołnierz ze stuprocentowym uszczerbkiem na zdrowiu coś osiągnę, będzie to motywujące dla innych”, mówi. Sam udział w zawodach i sportowa rywalizacja są dla niego ważne, ale myśli też o medalach. „Zdobycie medalu byłoby nagrodą za wysiłek włożony w przygotowanie i ciężki trening”. ■

MICHAŁ NIWICZ (2)



I INVICTUS GAMES

AM

WIEK: 38 LAT

100%

USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: V ZMIANA PKW AFGANISTAN

**DYSCYPLINA: PŁYWANIE,
RZUT DYSKIEM, WYCISKANIE
SZTANGI LEŻĄC, ŁUCZNICTWO**

**Kpr.
MARIUSZ
MAŃCZAK**

Wżyciu st. chor. sztab. Marka Stosia, obecnie starszego instruktora w wydziale szkolenia Oddziału Specjalnego Żandarmerii Wojskowej w Mińsku Mazowieckim, sport był zawsze ważny. „W tym duchu byłem wychowany, razem z rodzicami oglądaliśmy zawody olimpijskie w telewizji, uprawiałem też różne dyscypliny: zapasy, dżudo, boks, przez dziesięć lat trenowałem podnoszenie ciężarów, w jednostce byłem w sekcji bokserskiej”, wylicza żołnierz.

I

AM

WIEK: 47 LAT

2%

USZCZERBKU
NA ZDROWIU

MISJE: IX ZMIANA PKW AFGANISTAN

**DYSCYPLINA: SIATKÓWKA
NA SIEDZĄCO, LEKKOATLETYKA
(BIEGANIE, PCHNIĘCIE KULĄ,
RZUT DYSKIEM)**

St. chor. sztab. MAREK STOSIO

Zamiłowania do sportu nie zmienił wypadek na misji. Chor. Stosio, który w wojsku służy od 1993 roku, był na Bałkanach, w Bejrucie i Libanie. W 2011 roku podczas IX zmiany w Afganistanie dowodził zespołem bojowym POMLT (Police Operational Mentoring and Liaison Team).

„Naszym zadaniem była ochrona drogi łączącej Kabul z Kandaharem”, mówi. Na jeden z ochraniających przez nich konwojów talibowie urządzili zasadzkę. Pod wozem, którym jechał chorąży, wybuchła mina pułapka, zostali też ostrzelani. „Miałem uszkodzony kręgosłup, staw kolanowy i przestrzelony bark”.

Mimo to ćwiczył dalej. Jak mówi, sport był dla niego sposobem na powrót do zdrowia. Teraz zdecydował się na udział w Invictus Games. „Kiedy podczas kwalifikacji próbowaliśmy swoich sił w różnych dyscyplinach, okazało się, że dobrze mi poszło w rzucie dyskiem oraz pchnięciu kulą i będę startował

w Sydney w tych widowiskowych konkurencjach”, opowiada.

Rywalizować będzie także w dwóch innych dyscyplinach: siatkówce na siedząco i bieganiu. „Grałem kiedyś dużo w piłkę nożną, jestem szybki na krótkich dystansach, dlatego wybrałem bieg na 100 i 200 m oraz w sztafecie 4x100 m”. Siatkówka też nie jest dla niego nowością, choć – jak mówi – jej siedząca odmiana to zupełnie inny styl gry, pracując inne partie mięśni. Przygotowując się do startu w igrzyskach, regularnie gra z kolegami, rywalizując w turniejach z lokalnymi drużynami, a zawodnicy Startu Wrocław, wicemistrzowie Polski w tej dyscyplinie w 2017 roku, wsparli ich wieloma radami.

Na najlepsze wyniki chor. Stosio liczy właśnie w siatkówce i rzucie dyskiem. „W tej drugiej dyscyplinie treningi są trudniejsze, ponieważ muszę się przygotować samodzielnie, a trener ocenia moje postępy i daje wskazówki podczas kolejnych zgrupowań w Ośrodku Szkoleniowo-Kondycyjnym w Mrągowie”, tłumaczy podoficer.

Swój start w zawodach poświęca pamięci kolegów poległych w Afganistanie oraz 17-letniej córce Sylwii, która jedzie z nim do Sydney. „Była moim oczkiem w głowie, mieliśmy świetne relacje, ale zaniedbałem je, wyjeżdżając na misje. Teraz chcę jej pokazać, że rodzina jest dla mnie najważniejsza”, mówi żołnierz. Biorąc udział w igrzyskach, chor. Stosio chce też zachęcić innych poszkodowanych weteranów, aby wyszli z cienia i nie zamykali się w czterech ścianach. „Też taki byłem, ale pomogło mi trenowanie z kolegami, którzy przeżyli na misjach to samo co ja”, dodaje. ■

Opracowanie: ANNA DĄBROWSKA,
MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER



NIE WOLNO ODPUSZCZAĆ

Z Rhondą Lee Crew

**o tym, że zwyciężyła na długo przed podjęciem
decyzji o starcie w Invictus Games, rozmawia
Michał Zieliński.**

Co Panią skłoniło do wstąpienia do wojska?

Kiedy się rozwiodłam, miałam 27 lat. Byłam wtedy pielęgniarką i zdawałam sobie sprawę z tego, że muszę zadbać o swoją przyszłość. Kilka lat wcześniej krótko służyłam w siłach rezerwowych i dobrze wspominałam ten czas. Dlatego postanowiłam pomyśleć o wojsku na poważnie. Dzięki służbie mogłam zabezpieczyć swoją przyszłość, podróżować i wciąż rozwijać się zawodowo. Wstąpienie do wojska oznaczało dla mnie wolność.

Zdaję sobie sprawę, że nie jest to łatwy temat, ale muszę go poruszyć. W Invictus Games biorą udział żołnierze, którzy zostali poważnie ranni podczas służby. Jeśli chodzi o Panią, nie są to jednak fizyczne obrażenia, a PTSD.

Zgadza się, ale dla mnie nie jest to już trudny temat. Kilka lat temu zdecydowałam, że czas zacząć mówić o tym głośno. Jeżeli ja, kobieta na samym szczycie pielęgniarskiej kariery, potrafię się do tego przyznać, może stać się przykładem dla innych osób. Na moją chorobę miało wpływ kilka czynników. W grudniu 1999 roku przeżyłam napaść na tle seksualnym, której sprawcą był policjant z innego kraju. Zgłosiłam to władzom i dopilnowałam, żeby napastnik został ukarany, ale nie

potrafiłam sobie z tym poradzić. Wróciłam do domu, wyżaliłam się przyjaciółce i zamknęłam temat. W 2007 roku trafiłam na misję w Afganistanie, gdzie zajmowałam się rannymi żołnierzami w placówce medycznej w Kandaharze. Pracowałam także na pokładzie śmigłowca, który ewakuował rannych żołnierzy z pola walki. Pokój dzieliłam z cywilną pielęgniarką, która co noc miewała koszmary. W ciągu dnia słyszałam krzyki rannych żołnierzy, a w nocy mojej współlokatorki. Musiałam sobie radzić z traumą przez całą dobę siedem dni w tygodniu. W noc sylwestrową nasz śmigłowiec został uszkodzony przez ostrzał z broni ręcznej i musiał lądować awaryjnie. To już mnie przerosło. Ostatecznie zdiagnozowano u mnie PTSD.

Nie zrezygnowała Pani ze służby?

Pierwsze zdarzenie, o którym mówiłam, przeżyłam jako porucznik, teraz jestem podpułkownikiem, co oznacza, że od czasu opisanych wydarzeń byłam awansowana trzykrotnie. Kryje się za tym kilka rzeczy. Jestem bardzo dobra w wypieraniu i ukrywaniu swoich emocji przed innymi, a po drugie, kiedy prosiłam w końcu o pomoc, to ją otrzymałam. Mimo to były momenty, kiedy bardzo się bałam. Przez pewien czas musiałam przyjmować leki i długo potrzebowałam pomocy.



Podczas jazdy na rowerze mój mąż ledwo utrzymuje równowagę, dlatego trenujemy osobno. W przeciwnym wypadku mogłabym się skupić jedynie na jego bezpieczeństwie.





DND/CAF (DEPARTMENT OF NATIONAL DEFENCE/CANADIAN ARMED FORCES)

WIZYTÓWKA

PPŁK RHONDA LEE CREW

Jest szefem Sztabu Strategicznego Dowództwa Wojskowego Kanadyjskich Sił Zbrojnych. Na Invictus Games w Sydney startuje w lekkoatletyce. ■

Ostatecznie jednak zostałam wyleczona i mogłam wrócić do służby.

Kiedy pierwszy raz usłyszała Pani o Invictus Games?

W 2015 roku powiedział mi o tej inicjatywie Joe Kiraly, kierownik drużyny Kanady na Invictus Games, pracownik organizacji weteranów Soldier On oraz mój przyjaciel. Poza tym mój mąż także jest weteranem i brał udział w Invictus Games w Orlando. Czas spędzony na Florydzie okazał się wspaniały. Szczególnie zachwylił mnie widok tych wszystkich rannych podczas misji żołnierzy, którzy byli podziwiani, a nie wytykani palcami. W rodzinnych miastach nie spotykają ludzi z podobnymi problemami, zwykle są samotni. Podczas zawodów były ich tłumy. Uznałam, że to inspirujące, ale sama nie planowałam wystartować. Aż do zeszłego roku. Spotkałam wtedy ludzi, którzy nie uważali, że te zawody to coś pozytywnego. Powiedziałam im, że były one niesamowitym doświadczeniem zarówno dla mojego męża, jak i dla mnie. Żeby potwierdzić swoje słowa i zachęcić tych, którzy boją się wziąć udział w igrzyskach, postanowiłam wystartować razem z nimi. Złożyłam aplikację w październiku

2017 roku, a po czterech miesiącach dostałam e-mail z potwierdzeniem mojego udziału w Invictus Games. Byłam podekscytowana i szczęśliwa, dosłownie skakałam z radości.

Czyli tegoroczny start będzie Pani pierwszym?

Tak, wszyscy z naszej drużyny startują w Invictus Games po raz pierwszy. Zdecydowano, żeby przedłożyć doświadczenie wynikające z uczestnictwa w olimpiadzie nad osiągnięcia.

Wspomniała Pani o mężu, który także jest weteranem. Jaka jest jego historia?

Mój mąż służył w oddziałach ratunkowych „search and rescue”. Podczas codziennej służby skakał ze spadochronem, wspinał się po górach, także po ścianach lodowych. Podczas szkolenia w grudniu 2009 roku na zatopionym statku utknął w małej przestrzeni i stracił ustnik. Od trzech do pięciu minut był pozbawiony tlenu, co doprowadziło do trwałego urazu mózgu.

Mimo tego zdarzenia Pani mąż wystartował w Invictus Games. ➔



DND/CAF (DEPARTMENT OF NATIONAL DEFENCE/CANADIAN ARMED FORCES)

Sport ma moc uzdrawiania, choćby dlatego, że każdego dnia trzeba wstać i zacząć się ruszać

Tak, w bieganiu oraz siatkówce na siedząco. Niestety jego stan się pogorszył i teraz nie może już biegać. Niemal codziennie jednak jeździ na rowerze.

Pani także trenuje kolarstwo. Ćwiczcie razem?

Podczas jazdy na rowerze mój mąż ledwo utrzymuje równowagę, dlatego trenujemy osobno. W przeciwnym wypadku mogłabym się skupić jedynie na jego bezpieczeństwie. Po wypadku mojego męża straciłam oboje rodziców, co pogłężyło mnie w jeszcze większym smutku. Przestałam ćwiczyć oraz dbać o zdrowie. Jedną z moich motywacji do startu w Invictus Games była decyzja o powrocie do dobrych nawyków. Muszę być zdrowa i silna, żeby móc dbać o mojego męża nie tylko teraz, lecz także w przyszłości.

Czy dzięki tej decyzji poznała Pani ludzi, którzy wpłynęli na Pani życie, na przykład osobę, z którą przygotowuje się Pani do startu?

Mam trenera online i brałam udział w dwóch zgrupowaniach, które miały na mnie bardzo dobry wpływ. Zarazem jestem introwertyczką i najlepiej przygotowuję się samotnie. Od swoich dwóch trenerów dostaję cotygodniowy plan ćwiczeń, które starannie wykonuję, ale nie razem z innymi zawodnikami. Może powinnam, ale obecnie, oprócz przygotowań do startu, pracuję, zajmuję się moim mężem oraz staram się utrzymać swoje kwalifikacje pielęgniarskie. Dla innych ludzi po prostu nie mam czasu.

W Polsce jest wielu weteranów, którzy wciąż szukają wewnętrznej siły i motywacji do dalszego życia. Co chciałaby im Pani powiedzieć?

Odniesione rany to nie koniec świata. To także najprawdopodobniej nie jest koniec kariery. Można wybierać spośród wielu opcji, zarówno w wojsku, jak i w cywilu. Nie wiem,

jakie zasady obowiązują w Polsce, ale u nas zawsze staramy się znaleźć stanowiska pracy dla żołnierzy, którzy odnieśli rany na misji, żeby mogli dalej służyć. Czasem jest to niemożliwe, ale w takim wypadku uczymy ich nowego zawodu. Nigdy nie zostawiamy ich samych. Jednocześnie rozwijamy organizację Soldier On, która pomaga weteranom odnaleźć się w nowej rzeczywistości. To właśnie dzięki jej staraniom łazienka w naszym domu została dostosowana do potrzeb mojego męża. Tę modernizację sfinansowało Veterans Affairs [ministerstwo zajmujące się sprawami weteranów]. Wokół nas dzieje się wiele pozytywnych rzeczy. Nie zrozum mnie źle, to wszystko wymaga sporego wysiłku i pracy, ale jeżeli naprawdę czegoś potrzebujesz, to w końcu to otrzymasz.

W pewnym sensie zarówno mój mąż, jak i ja musimy sami zmagać się z naszymi problemami, ale też mamy siebie. Każdego dnia trenujemy. Sport ma moc uzdrawiania, choćby dlatego, że każdego dnia trzeba wstać i zacząć się ruszać. W domu powiesiłam plakat z hasłem „Życie jest jak jazda na rowerze – żeby utrzymać równowagę, musisz poruszać się do przodu!”. Wierzę, że to szczerza prawda, więc nie wolno odpuszczać. ■



WOJSKOWY INSTYTUT
TECHNICZNY UZBROJENIA

www.witu.mil.pl | witu@witu.mil.pl

ARMIA

/ SZKOLNICTWO



PAULINA GLIŃSKA

Dęblin stawia na naukę

Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych stała się Lotniczą Akademią Wojskową. Dla uczelni to nie tylko prestiż, lecz także większe możliwości rozwoju naukowego, edukacji i współpracy.



W

polskiej armii funkcjonują od jakiegoś czasu cztery wojskowe akademie: Wojsk Lądowych we Wrocławiu, Marynarki Wojennej w Gdyni, Techniczna w Warszawie oraz

Sztuki Wojennej, także w stolicy. 1 października do ich grona dołączyła Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych w Dęblinie.

„Szkoła Orłąt ma najwyższą markę, jeżeli chodzi o kształcenie pilotów. Podpisałem decyzję, na mocy której od 1 października tego roku stanie się ona Lotniczą Akademią Wojskową”, mówił Mariusz Błaszczak, minister obrony narodowej, podczas obchodów 100-lecia lotnictwa wojskowego w Dęblinie.

„Cieszę się i jestem dumny z tego, że zmiana nazwy uczelni dokonana się w czasie, gdy to ja jestem komendantem. Ale podkreślam – to zasługa wielu pokoleń, które przez te ponad 90 lat działalności szkoły kształciły się w niej, budowały jej historię i potencjał. To właśnie suma tych wszystkich działań i ciężkiej pracy sprawiła, że razem osiągnęliśmy poziom akademicki”, mówi gen. bryg. pil. dr Piotr Krawczyk, rektor-komendant Szkoły Orłąt.

KSZTAŁCENIE NA POZIOMIE

Aby uczelnia mogła zyskać status akademii, musiała spełnić wymogi określone w ustawie o szkolnictwie wyższym. Przepisy nakładają obo-

wiązek posiadania co najmniej dwóch uprawnień do nadawania stopnia naukowego doktora. „Nasze starania o uzyskanie statusu akademii trwały kilka lat. Wiązały się m.in. z budowaniem dorobku naukowego i tworzeniem od podstaw procedur dotyczących doktoryzowania. Do nowych zadań musiała się też odpowiednio przygotować kadra naukowo-dydaktyczna i administracyjna uczelni”, mówi dr hab. Aneta Krzyżak, wykładowca WSOSP, prorektor ds. naukowych.

Pierwsze takie uprawnienie uczelnia zdobyła w 2015 roku. Na Wydziale Lotnictwa można dziś doktoryzować się w naukach technicznych – w budowie i eksploatacji maszyn. „W ostatnim czasie nauczyciele akademicy wydziału uzyskali: jeden tytuł naukowy profesora, pięć stopni naukowych doktora habilitowanego oraz cztery stopnie naukowe doktora. W ubiegłym roku odbyła się pierwsza publiczna obrona rozprawy doktorskiej właśnie na podstawie posiadanych uprawnień”, dodaje dr hab. Krzyżak.

W styczniu tego roku uprawnienie do nadawania stopnia doktora nauk społecznych w nauce o bezpieczeństwie zostało przyznane Wydziałowi Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki. Tuż przedtem, w ramach podwyższania kwalifikacji zawodowych trzech nauczycieli akademickich uzyskało stopień naukowy doktora habilitowanego, a kolejne trzy osoby – stopień naukowy doktora. Komendant WSOSP przyznaje, że w praktyce uczelnia już od kilku



Gen. bryg. pil. dr PIOTR KRAWCZYK, rektor-komendant Szkoły Orłąt: „Cieszę się i jestem dumny z tego, że zmiana nazwy uczelni dokonana się w czasie, gdy to ja jestem komendantem. Ale podkreślam – to zasługa wielu pokoleń, które przez te ponad 90 lat działalności szkoły kształciły się w niej, budowały jej historię i potencjał”.

Zmiana statusu uczelni umożliwi budowę elitarnego ośrodka wojskowo-akademickiego oraz pozwoli stworzyć silne zaplecze naukowo-dydaktyczne i eksperckie Sił Zbrojnych RP.



JEDYNA TAKA UCZELNIA

Wstrukturach dęblińskiej uczelni działają specjalistyczne ośrodki kształcenia. To np. Akademickie Centrum Szkolenia Lotniczego, w którym odbywa się teoretyczne i praktyczne szkolenie kandydatów na żołnierzy zawodowych w specjalnościach pilotażowych. Na uczelni funkcjonuje również utworzony w 2014 roku Ośrodek Szkolenia Obsług Systemów Bezzałogowych

Statków Powietrznych, który przygotowuje operatorów oraz techników systemów bezzałogowych statków powietrznych, a także operatorów i techników zestawów sterowanych manewrujących celów powietrznych.

Elementami struktury uczelni są też ośrodki: Szkolenia Personelu Służb Ruchu Lotniczego, Szkolenia Nawigatorów Naprowadzania, Tech-

nologii Informacyjnych, Szkolenia Fizycznego i Kondycyjnego Przygotowania do Lotów oraz Szkolenia Personelu Taktycznych Zespołów Kontroli Obszaru Powietrznego. Ten ostatni kształci m.in. wysuniętych nawigatorów naprowadzania lotnictwa (Joint Terminal Attack Controller – JTAC) oraz personel latający, wykonujący misje bezpośredniego wsparcia lotniczego (Close Air Support). ■

WYŻSZA SZKOŁA OFICERSKA SIŁ POWIETRZNYCH TO JEDNA Z NAJSTARSZYCH UCZELNI LOTNICZYCH ŚWIATA

miesiące funkcjonowała jak akademie. „Brakowało nam tej kropki nad i, czyli właśnie nazwy”. Teraz ta zmiana staje się faktem i znacznie podnosi prestiż uczelni”, podkreśla generał. Bo jeśli chodzi o elitarność szkoły, to nikt nie ma co do tego wątpliwości. „Oferujemy unikatowy i kompleksowy system szkolenia i kształcenia. W za-

sadzie nie ma w Europie drugiej takiej uczelni. Nasi absolwenci uzyskują tytuł magistra inżyniera i tak wysoki poziom szkolenia lotniczego, że niemal od razu po szkole są przygotowani do służby w jednostkach operacyjnych sił powietrznych. Nowa nazwa podkreśli nie tylko nasz potencjał naukowy, lecz także rolę kluczowego



ośrodka kształcenia i szkolenia najwyższej klasy pilotów w Polsce”, dodaje komendant dęblińskiej uczelni.

PRZESKOK I NOBILITACJA

Prestiż to niejedyna korzyść z wejścia w poczet akademii wojskowych. „Ta zmiana to niewątpliwie ogromny przeskok w środowisku naukowym i duża nobilitacja. Status akademii daje nam większe możliwości – będziemy mogli w jeszcze wyższym niż dotąd stopniu podejmować współpracę naukowo-badawczą, ekspercką, prowadzić wymianę doświadczeń i wojskowej myśli naukowej oraz wspólne badania rozwijające uczelnię, pracowników, ale przede wszystkim polską naukę”, mówi dr hab. Krzyżak.

Status akademii pozwoli również rozwinąć współpracę z ośrodkami krajowymi i zagranicznymi zajmującymi się szeroko pojętymi kwestiami lotniczymi. W opinii władz uczelni to wszystko przełoży się na lepsze przygotowanie zawodowe absolwentów wojskowych i cywilnych.

Nobilitacja uczelni jest ważna również dla kształcących się tu studentów. „Choć w zakresie nauki nic się dla nas nie zmienia – mamy te same zajęcia, ten sam program – to odbieramy to jako wyróżnienie. Zaczynaliśmy studia jako



podchorążowie szkoły oficerskiej, a będziemy absolwentami akademii. Nowy status daje o wiele większe możliwości dalszego kształcenia i doskonalenia zawodowego. Jestem przekonana, że duża część z nas wróci tu na studia podyplomowe, niektórzy być może zdecydują się na doktorat”, zwraca uwagę kpr. pchor. Klaudia Górzyńska, studentka

NOWOŚCI W EDUKACJI

WOJSKOWE UCZELNIE
CO JAKIŚ CZAS STARAJĄ
SIĘ UATRAKCYJNIAĆ
SWOJĄ OFERTĘ
EDUKACYJNĄ.





Dęblińska placówka należy do czołówki europejskich uczelni lotniczych, kształcąc kadry oficerskie dla Sił Zbrojnych RP oraz personel lotniczy dla służb cywilnych.

trzeciego roku Wydziału Lotnictwa w specjalności pilot operator bezzałogowych statków powietrznych.

Podobnego zdania jest sierż. pchor. Marcin Cydejko, studiujący na czwartym roku nawigacji. „To satysfakcja i duma, ale też większe zobowiązanie i poczucie odpowiedzialności za szkołę, którą przecież wspólnie tworzymy. Dla nas najważniejsze jest to, że będziemy częścią tej zmiany, która dokonuje się właśnie w 100. rocznicę odzyskania niepodległości i 100-lecie lotnictwa wojskowego”. Sierżant dodaje też, że ostatnie lata to ciągły rozwój

uczelni. „Inwestycje w infrastrukturę, nowe kierunki, rozwój Akademickiego Centrum Szkolenia Lotniczego, zakupy statków powietrznych – długo by wymieniać – to były milowe kroki na drodze do akademii. Dla wszystkich jest to pozytywna zmiana”, mówi podchorąży.

Nową nazwę uczelni – po akceptacji senatu WSOSP i wniosku rektora-komendanta – zaakceptował minister obrony narodowej. „Słyszałem pytania, dlaczego Szkoła Orłąt nie zostanie – wzorem przyjętej nomenklatury wojskowych uczelni – akademią sił powietrznych. Ale nowa nazwa powinna sięgać do tradycji, być łącznikiem między historią a współczesnością”, mówi gen. Krawczyk. Podkreśla, że w zasadzie od początku istnienia szkoły jej nazwa nawiązywała do lotnictwa. W 1925 roku placówka funkcjonowała jako Oficerska Szkoła Lotnictwa, a w 1968 roku, kiedy otrzymała tytuł wyższej uczelni, była Oficerską Szkołą Lotniczą. Dopiero od 1 października 1994 roku uwzględniono powietrzny rodzaj sił zbrojnych i zmieniono nazwę na Wyższa Szkoła Oficerska Sił Powietrznych. „Kształcimy i szkolimy podchorążych na potrzeby nie tylko sił powietrznych, lecz także całego lotnictwa marynarki wojennej, wojsk lądowych oraz studentów cywilnych – dla gospodarki narodowej. Właśnie z tego powodu nowa nazwa idealnie oddaje specyfikę kształcenia w naszej uczelni, tego, czym tak naprawdę się zajmujemy”, mówi rektor-komendant. ■

W ubiegłym roku w Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni podchorążowie rozpoczęli kształcenie w zakresie systemów informacyjnych w bezpieczeństwie. Wcześniej był to kierunek wyłącznie dla cywilów. We wrocławskiej Akademii Wojsk Lądowych z kolei nowością był kierunek dowodzenie, jedyny taki w całej Polsce.

Swoją ofertę poszerzyła w tym roku np. Wojskowa Akademia Techniczna. Spośród niemal 750 podchorążych pierwszego rocznika 25 osób będzie studiować inżynierię bezpieczeństwa na Wydziale Mechatroniki i Lotnictwa. To nowa specjalność wojskowa na kierunku studiów o tej samej nazwie, który od dziesięciu lat był oferowany studentom cywilnym. Pozostali kandydaci będą się

kształcić m.in. w specjalnościach: elektronika i telekomunikacja, mechatronika, informatyka, kryptografia i cyberbezpieczeństwo, lotnictwo i kosmonautyka.

Tegoroczną nowością w WAT jest kierunek międzywydziałowy bocybernetyka i inżynieria biomedyczna, który powstał z myślą o studentach cywilnych. Będzie prowadzony przez Wydział Mechaniczny (jako wiodący) oraz wydziały: Cybernetyki, Elektroniki i Instytut Optoelektroniki.

Nowości w ofercie edukacyjnej przygotowała też stołeczna Akademia Sztuki Wojennej. Od października na Wydziale Wojskowym ruszy nowy kierunek studiów podyplomowych – historia służb specjalnych. Ta propozycja jest skierowana do absolwentów studiów wyższych II stopnia, zainteresowanych zdo-

byciem wiedzy o historii polskich oraz zagranicznych służb wywiadowczych i kontrwywiadowczych. Studia będą prowadzone przez międzywydziałowy Instytut Historii Wojskowości i Służb Specjalnych. To nowa komórka na ASzWoj, w której strukturze znalazły się dwie katedry: Historii Wojskowej i Studiów nad Obronnością oraz Historii Teorii i Praktyki Służb Specjalnych.

W sumie rok akademicki 2018/2019 rozpoczyna aż 1315 kandydatów na oficerów. Będą się oni kształcić w czterech wojskowych uczelniach: Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu, Wojskowej Akademii Technicznej w Warszawie, Akademii Marynarki Wojennej w Gdyni oraz Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie. ■

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

REJS NIEPODLEGŁOŚCI

Dzień za dniem, wachta za wachtą, na morzu cicho i spokojnie. Monotonia długiego rejsu może zostać jednak przerwana w każdej chwili. Nawet wówczas, gdy odbywa się on z okazji stulecia polskiej marynarki.

ARKADIUSZ DWULATEK / COMBAT CAMERA DORSZ



Wczesnym rankiem niezmiennie płaska do-
tąd kreska horyzontu zaczyna zmieniać
kształt. Po prawej burcie z zieleni i błękitu
wynurzają się blade zarysy drzew. Wyspa.
Potem druga, po lewej burcie. Pojawiają się też statki:
duże kontenerowce i jeszcze większe promy, a wraz ze
zbliżaniem się do stałego lądu – również jachty. Cienie
budynków i portowych urządzeń, które przed chwilą za-
majały przed dziobem „Czernickiego”, rosną i się
wyostwiają, w bladym jeszcze słońcu połyskują kościel-
ne wieże. Tallin.

Około 10.00 rano wchodzimy do portu wojennego.
Przy nabrzeżu – kilka mniejszych okrętów, na placu es-
toński dowódca musztruje swoich żołnierzy, na maszcie
powiewa polska flaga. Biało-czerwone bandery łopoczą
też na pokładzie „Czernickiego”. Obok tej największej –
niebiesko-czarno-biała flaga gospodarzy. Jeszcze chwila
i dobijamy do brzegu, na pokładzie zaś pojawia się
przedstawiciel miejscowej marynarki.

Przez 79 lat pewnie sporo się tutaj zmieniło. Mimo to
trudno oprzeć się wrażeniu, że podobnie mogło wyglą-
dać wejście do tallińskiego portu naszego „Orla”...

JESTEŚMY, DZIAŁAMY...

Okręt zaczyna żyć około północy. Wówczas jest grza-
nie silników, sprawdzanie systemów, słowem rusza cała
procedura poprzedzająca wyjście z portu. W kabinach
i po korytarzach słychać okrętową rozgłosnię. Ktoś jest
pilnie wzywany do głównego stanowiska dowodzenia
(GSD), ktoś inny do siłowni. Jeszcze przed świtem mie-
liśmy opuścić Świnoujście.

Pół godziny przed 4.00 załoga zbiera się na rufie.
Wkrótce pojawia się tam dowódca 8 Floty Obrony
Wybrzeża, do której należy „Czernicki”. „Wychodziecie
w rejs szkoleniowo-metodyczny. Tym razem jednak
będzie on miał inną formułę. Z okazji stulecia polskiej



**PODCZAS DRUGIEJ WOJNY
W REJONIE ZATOKI PERSKIEJ
„CZERNICKI” PATROLOWAŁ
UJŚCIE EUFRATU I PRZERZUCAŁ
ODDZIAŁY KOMANDOSÓW, POTEM
DOWODZIŁ NATOWSKIMI ZESPOŁAMI
OBRONY PRZECIWMINOWEJ**

marynarki i setnej rocznicy odzyskania przez Polskę niepodległości okręt zawinie do portów w Tallinie, Helsinkach i Sztokholmie”, mówi kadm. Krzysztof Zdonek. „Zależy nam na tym, by spotkać się z naszymi sojusznikami, wymienić doświadczenia, ale też upamiętnić polskich marynarzy, których wojenny los rzucał do Estonii i Szwecji. Przede wszystkim jednak chcemy pokazać, że nasza marynarka jest na Bałtyku obecna i wykonuje swoje zadania”.

A przypomnieć ma o tym okręt nie byle jaki. ORP „Kontradmiral Xawery Czernicki” to jedna z najmłodszych jednostek polskiej marynarki. Do służby wszedł w 2001 roku. Zaczynał jako okręt wsparcia logistycznego, ale wkrótce został przystosowany do dowodzenia siłami przeciwminowymi. Dziś może zaopatrzyć inne jednostki w wodę i paliwo, wziąć na pokład pięć komór dekompresyjnych (niezbędnych podczas nurkowań i operacji ratowania załóg uszkodzonych okrętów podwodnych), stać się bazą dla śmigłowca morskiego, gasić pożary, produkować słodką wodę i mieszanki oddechowe dla nurków... Lista jest naprawdę długa. Podczas drugiej wojny w rejonie Zatoki Perskiej „Czernicki” patrolował ujście Eufratu i przerzucał oddziały komandosów, potem dowodził natowskimi zespołami obrony przeciwminowej zarówno na północy, jak i południu Europy. Niebawem powinien wyruszyć na kolejną taką misję. Na razie jednak wychodzi w rejs niepodległości.

Ster strumieniowy sprawia, że okręt bez problemu odchodzi od nabrzeża, wykonuje zwrot przez burtę, po czym cicho sunie ku główkom świnoujskiego portu. Gdzieś w oddali, po ciemnym jeszcze morzu ślizga się światło latarni z niemieckiej Rugii. Przez następne dwie doby z okładem znów będę miał okazję poczuć specyfikę życia na morzu.

OGIEŃ W KLIMACIE

Prędkość marszowa? Dziesięć węzłów. Stan morza? Skoro na grzbietach fal pojawia się biała piana, to pewnie w okolicach trójki. Na horyzoncie pustka. Przez ostatnie kilkanaście godzin monotonia Bałtyku została zakłócona właściwie tylko raz: przez wypełnioną po brzegi barkę, która wolno przesunęła się gdzieś w oddali. Na mostku, zwanym tutaj głównym stanowiskiem dowodzenia, maryna-



Spokój na okręcie jest pozorny, bo tutaj w każdej chwili wszystko może się zmienić.

rze przykładają do oczu lornetki i wpatrują się w horyzont, inni śledzą wskazania radaru, GPS-a. Nawigator spogląda na elektroniczną mapę, po czym pochyla się nad jej papierową wersją. Na echosondzie, która mierzy głębokość, pojawiają się kolejne liczby: 56 m, 58 m, teraz znów 56. Spokój. Pod pokładem, gdzie mieści się CSS, czyli centrala sterowania siłownią – podobnie. Silniki pracują prawidłowo, choć... na ekranie po mojej lewej stronie jedna z ikonek zaczyna migać na zielono. „Coś tam się dzieje z siódmym cylindrem. Ale to drobiazg. Najważniejsze, że wiemy, co poprawić”, rzuca bosman Sebastian Turzyński. Marynarze, którzy pełnią wachtę, co rusz zakładają na uszy słuchawki, opuszczają wygłuszoną kabinę i schodzą kilka metrów niżej, gdzie pracują okrętowe silniki. Obchodzą siłownię i sprawdzają, czy gdzieś nie ma jakichś wycieków, czy nie trzeba czegoś dokręcić, przesmarować, uzupełnić.

Tak mijają cztery godziny wachty i przychodzi kolejna zmiana, potem jeszcze jedna, i znów cztery godziny wachty. W trochę innym rytmie pracują tu chyba tylko dowódca i... kuchnia. „U nas praca trwa od 5.00 rano do 22.00”, tłumaczy okrętowy kucharz, st. chor. sztab. Jacek Michalski, i metalową łopatką przekłada skwierczące na ogromnej płycie leczo. „Jest nas trzech, więc często nie ma chwili, żeby usiąść. No ale na »Czernic-



Kmdr ZYGMUNT BIAŁOGŁOWSKI, zastępca dowódcy 8 Flotylli Obrony Wybrzeża: „Załoga ORP »Orzeł« jest upamiętniana przy okazji każdej z wizyt polskich okrętów w Tallinie. To element kultywowania tradycji”.



←
Jedna z tablic
w Tallinie wisi tuż
za zabytkową
bramą, która
prowadzi
na starówkę.

ŁUKASZ ZALESIŃSKI (3)

ORP „KONTRADMIRAŁ XAWERY CZERNICKI” TO JEDNA Z NAJMŁODSZYCH JEDNOSTEK POLSKIEJ MARYNARKI. DO SŁUŻBY WSZEDŁ W 2001 ROKU

kim« to i tak komfort. Kuchnia duża, przestronna, jest się gdzie obrócić... Kiedyś zajął do nas brytyjski dowódca, który zwiedzał okręt, i powiedział: »Dobra, panowie, to teraz obejrzymy sobie najważniejsze pomieszczenie na całym pokładzie«, dorzuca bosmanmat Adam Tuński.

Ten spokój na okręcie jest pozorny, bo tutaj wszystko może się zmienić w jednej chwili. Drugiego dnia po południu oficer z GSD wypatrył na horyzoncie szybko

zbliżającą się łódź. Operator radaru spróbował nawiązać z nią łączność przez radio. Bez skutku. W powietrze została wystrzelona ostrzegawcza flara. A kiedy i to nie zmusiło jednostki do zmiany kursu, na pokładzie „Czernickiego” odezwał się dźwięk dzwonka oraz padła komenda: „Alarm bojowy!”. Już po chwili marynarze z GSD mieli na dłoniach rękawice, na głowach zaś kominiarki zwane flashgearami. „W razie pożaru taki ubiór będzie chronił przed poparzeniami”, tłumaczy kmdr ppor. Przemysław Lizik, dowódca „Czernickiego”. Operatorzy zajęli miejsca przy umieszczonych na dziobie wielkokalibrowych karabinach maszynowych oraz 23-milimetrowej armacie Wróbel. „Każdy okręt ma swoją strefę ochronną, czyli obszar, którego żadna jednostka nie może naruszać. Jeśli to zrobi, może zostać ostrzelana”, wyjaśnia dowódca „Czernickiego”.

Kilka minut później to właśnie się stało. Ogień okazał się skuteczny, ale tylko po części. Łódź siłą rozpędu wbiła się bowiem w burtę. Ruch na pokładzie jeszcze się wzmógł. Marynarze metodycznie zaczęli przeszukiwać kolejne pomieszczenia, by ustalić miejsce i rodzaj uszkodzenia. O wszystkim meldowali do GSD. Wreszcie jedna z drużyn awaryjnych dotarła na dolny pokład. Ktoś otworzył właz numer 72, a po korytarzu rozszedł się gryzący dym. Jak się okazało, ogień zajął pomieszczenie tzw. klimatu. „Znajdują się tam urządzenia odpowiadające za wentylację okrętu”, informuje kmdr ppor. Lizik.

Zbiegam tam, gdzie według wskazań szaleje ogień. Korytarz roi się od marynarzy w strażackich ubiorach. Dwóch z nich znika za drzwiami „klimatu” ze specjalistycznym węzem. Drużyna awaryjna właśnie przeprowadza trzeci atak. W takich sytuacjach do pomieszczenia najpierw wchodzi marynarze z gaśnicami, potem ich koledzy zaopatrzeni w maski tlenowe, następnie kolejni – już w pełni wyekwipowani. Tymczasem się okazuje, że w zadymionym pomieszczeniu na podłodze leży ranny. Ma złamaną nogę. Członkowie drużyny awaryjnej pomagają mu wyjść na wyższy pokład. Wkrótce pożar udaje się zdławić, dym zostaje zaś odessany za pomocą specjalistycznej oddymiarki. Okręt uratowany.

Na szczęście w całym epizodzie prawdziwa była tylko łódź wypatrzona z GSD. Atak terrorystyczny oraz wywołany w jego następstwie pożar to symulacja – element tzw. ogólnookrętowych ćwiczeń bojowych. Marynarze z „Czernickiego” przeprowadzili je z myślą o uczestnikach kursu szkoleniowo-metodycznego, który odbywa się na pokładzie jednostki. Ale to nic wyjątkowego. „Walkę z zagrożeniami asymetrycznymi, pożarem czy przebiciami kadłuba trenujemy regularnie: ➔

zarówno podczas różnego rodzaju manewrów, jak i przejść między portami”, podkreśla kmdr ppor. Lizik. Bo na okręcie nie można sobie pozwolić na marnowanie czasu. Tu nie ma pustych przebiegów.

PAMIĘCI PODWODNIAKÓW

Jedna z tablic wisi tuż za zabytkową bramą, która prowadzi na starówkę. Inskrypcja na niej po polsku i estońsku głosi, że właśnie tu, w Tallinie, w pierwszych dniach września został internowany polski okręt podwodny ORP „Orzeł”, który później wsławił się brawurową ucieczką do Wielkiej Brytanii. Jest też informacja, że owa ucieczka stała się pretekstem do zainstalowania w Estonii sowieckich baz. A to z kolei stanowiło wstęp do trwającej blisko pół wieku okupacji. Treść napisu, jak słyszę, jest efektem kompromisu zawartego między stroną polską a estońską. W tej historii każda z nich ma przecież swoje racje...

Teraz pod tablicą płoną znicze, a pomiędzy nimi leży wieniec przepasany biało-czerwoną wstęgą. Kilka metrów dalej zatrzymała się grupka turystów. Część z nich ukradkowo robi zdjęcia marynarzom i żołnierzom w polskich mundurach, którzy przed chwilą uczcili pamięć podwodniaków. Kilka godzin później podobna uroczystość odbędzie się w porcie wojennym, gdzie wisi druga tablica przypominająca o losach „Orła”. Jest skromniejsza, ale sama uroczystość bardziej rozbudowana: z hymnami Polski i Estonii oraz udziałem ambasadora. „Żałoga ORP »Orzeł« jest upamiętniana przy okazji każdej z wizyt polskich okrętów w Tallinie. To element kultywowania tradycji”, podkreśla kmdr Zygmunt Białogłowski, zastępca dowódcy 8 Flotylli Obrony Wybrzeża.

Oczywiście Tallin nie jest wyjątkiem. Kilka dni później delegacja z „Czernickiego” pojawiła się także w szwedzkiej miejscowości Marienfeld. Znajduje się tam cmentarz, na którym zostali pochowani członkowie załóg innych polskich okrętów podwodnych. We wrześniu 1939 roku OORP „Sęp”, „Żbik” i „Rys”, podobnie jak „Orzeł” brały udział w wojnie obronnej przeciwko Niemcom. Kiedy szala zwycięstwa ostatecznie przechyliła się na stronę przeciwnika, zgodnie z wytycznymi dowództwa jeden po drugim zaczęły kierować się do neutralnej Szwecji. Tam zostały internowane, a do kraju wróciły dopiero po wojnie. „Nie wszyscy marynarze tego doczekali”, tłumaczy kmdr Białogłowski. „Wielu zmagало się z chorobami. Do tego u schyłku wojny w tym regionie panował głód i w efekcie część z nich

SPRAWY CEREMONIALNE OKAZAŁY SIĘ NA TYLE ATRAKCYJNE MEDIALNIE, ŻE PRZESŁONIŁY INNE KWESTIE ZWIĄZANE Z REJSEM. TYMCZASEM DZIAŁY SIĘ NIE MNIEJ CIEKAWY RZECZY

zmarła”, dodaje. Na cmentarzu można odnaleźć całkiem sporo polskich grobów, jest też pamiątkowa płyta, przed bramą wejściową zaś tablica w językach polskim, szwedzkim i angielskim. „Również tam złożyliśmy wieńce i kwiaty”, wyjaśnia kmdr Białogłowski. Na tym jednak nie koniec. Wizyty w Tallinie, Helsinkach i Sztokholmie stały się okazją do spotkań w polskich ambasadach oraz z przedstawicielami sojusznicznych marynarek. W każdej z tych stolic na pokładzie okrętu były organizowane dyplomatyczne rauty, w Finlandii oraz Szwecji pokład „Czernickiego” został otwarty dla zwiedzających. Łącznie pojawiło się na nim ponad tysiąc gości.

„Sprawy ceremonialne okazały się na tyle medialne, że przesłoniły trochę inne kwestie związane z rejsem. Tymczasem działały się nie mniej ciekawe rzeczy”, przyznaje kadm. Zdonek. Przez cały rejs trwał zapowiadany kurs szkoleniowo-metodyczny. „Na pokładzie »Czernickiego« mieliśmy zarówno dowódców jednostek, które wchodziły w skład naszej flotylli, jak i przedstawicieli innych jednostek marynarki, a nawet wojsk lądowych i sił powietrznych”, wylicza kmdr por. Bogdan Chmiel, szef Wydziału Planowania i Analiz 8 FOW. Ci pierwsi dowiadawali się, w jaki sposób organizować szkolenia dla swoich podwładnych, na co położyć nacisk. Goście spoza flotylli z kolei mieli sposobność lepiej poznać jej specyfikę, a także przedstawić swoje jednostki, wymienić poglądy, porozmawiać o potrzebach. Jest to ważne, bo choć żołnierze poszczególnych rodzajów wojsk na co dzień ze sobą współpracują, to – jak powtarzali – nadal nie wiedzą o sobie zbyt wiele. A przecież taka wiedza to podstawa budowania nowoczesnej armii.

„Kurs w takiej formie organizowaliśmy po raz pierwszy, ale będziemy go powtarzać. Dzięki temu, że odbywał się podczas rejsu, jego uczestnicy mogli ze sobą spędzić znacznie więcej czasu, niż gdybyśmy gościli ich na lądzie. Mieli okazję do nieformalnych spotkań, rozmów, a te są przecież równie ważne”, opowiada kadm. Zdonek i dodaje, że rejs okazał się równie udany od strony ceremonialnej. „Mieliśmy możliwość zaprezentowania biało-czerwonej bandery, a nasza obecność została zauważona. W Sztokholmie stanęliśmy w reprezentacyjnym miejscu, niemal dokładnie naprzeciwko zamku królewskiego, wpisy zaś na temat rejsu z okazji stulecia polskiej marynarki pojawiły się na stronach szwedzkich i fińskich sił morskich”, podsumowuje dowódca 8 FOW. ■

ŻELAZNA DYWIZJA

*Z Jarosławem
Gromadzińskim*

**o tworzeniu 18 Dywizji
Zmechanizowanej na ścianie
wschodniej rozmawiają
Magdalena Miernicka
i Tadeusz Wróbel.**

Panie Generale, co chwilę pojawiają się inne opinie na temat utworzenia nowej dywizji. Do niedawna uważano, że w razie kryzysu wystarczą nam dwie dywizje przesunięte na wschód z zachodu.

Zwolennicy przetrzucania sił z zachodu Polski na ścianę wschodnią nie uwzględniają tego, że transport i rozwinięcie jednostek z ciężkim uzbrojeniem są czasochłonne, a przeciwnik może je opóźnić lub zablokować. Do tego żołnierze trafiają w teren, którego nie znają. Trzeba też pamiętać, że prędzej niż piechotę dostaniemy od sojuszników w ramach wsparcia samoloty, śmigłowce czy artylerię dalekiego zasięgu. Takie rozwiązania ćwiczyliśmy zresztą na poligonie w Orzyszu, gdzie podczas manewrów „Saber Strike '18” 15 Brygada Zmechanizowana współpracowała z amerykańskimi jednostkami wyposażonymi w wyrzutnie rakietowe HIMARS czy też śmigłowce Apache.

Sporo kontrowersji wzbudził też fakt, że 18 Dywizji Zmechanizowanej zostaną podporządkowane dwie już funkcjonujące brygady.

Czy nie istnieje zagrożenie, że mamy do czynienia z kosmetyką struktury, a nie tworzeniem nowej jednostki?

Tworzenie dywizji od podstaw byłoby niezwykle kosztowne i trwałoby bardzo długo. Włączenie w struktury dywizji istniejących



jednostek jest racjonalne. Po prostu wykorzystamy potencjał, który już mamy. Poza tym zostaną także sformowane trzecia brygada oraz jednostki wsparcia i zabezpieczenia.

A jaki jest plan na tworzenie Osiemnastej?

Organizacja nowej dywizji będzie podzielona na trzy etapy. Najpierw zostaną sformowane dowództwo i batalion dowodzenia, następnie brygada ogólnowojskowa, a na koniec jednostki wsparcia i zabezpieczenia, bo bez artylerii, obrony przeciwlotniczej, walki elektronicznej, rozpoznania nie da się dziś prowadzić skutecznych działań bojowych.

Czy struktura organizacyjna 18 DZ będzie podobna do tej w istniejących już dywizjach?

Niekoniecznie będzie to taki układ, jaki dzisiaj znamy. Nie uważam, żeby struktura naszych dywizji była funkcjonalna. One są ciężkie, powolne, z rozbudowaną infrastrukturą. Rozwinięcie ich stanowiska dowodzenia zajmuje wiele czasu. Ja chcę mieć modułowe, mobilne stanowiska dowodzenia, podobne do tych, które ma Wielonarodowa Dywizja Północny Wschód w Elblągu. Nowa dywizja ma być lekka, mobilna, przygotowana do wykonywania zadań w różnym środowisku, różnych sytuacjach, np. w razie kryzysu, a szczególnie do działania podczas wojny hybrydowej – poniżej progu wojny.

Lekka dywizja, czyli jaka?

21 Brygada Strzelców Podhalańskich ma dostać kołowe transportery opancerzone Rosomak. Nowa brygada, która powstanie w najbliższych latach, też powinna być na kołach. Elementem ciężkim dywizji będzie zaś 1 Brygada Pancerna, wyposażona w czołgi Leopard 2. Jestem też zwolennikiem decentralizacji, tak by jak największy potencjał był na niższych szczeblach organizacyjnych. Większą samodzielność w działaniu muszą mieć dowódcy batalionów i brygad, dlatego potrzebują narzędzi, które im to umożliwią. Z kolei dowództwo dywizji powinno koordynować ich wysiłki i zapewniać im skuteczne wsparcie, czyli musi mieć środki rażenia zapewniające głębokie działanie.

Czy na takie podejście mają wpływ Pańskie doświadczenia związane ze współpracą z Batalionową Grupą Bojową NATO?

Wiele lat służyłem na wschodzie Polski, więc wiem, że w tej części kraju młodzi ludzie garną się do wojska

Akurat Amerykanie, którzy w ramach eFP [enhanced Forward Presence] stacjonują w Polsce, mają duże wsparcie z dywizji i brygady. W czasach, gdy kluczowe znaczenie ma prędkość działania, skłaniam się ku mocniejszym strukturom batalionów. Od ich dowódców będę oczekiwał kreatywności i inicjatywy, gotowości do podejmowania wyzwań. Musimy zatem nie tylko budować nowe struktury, lecz także wprowadzać nowy sposób myślenia.

Jak Pan widzi formowanie kolejnej brygady?

1 Brygada Pancerna i 21 Brygada Strzelców Podhalańskich mają razem osiem batalionów bojowych. Tymczasem nasza trzybrygadowa dywizja ma ich dziewięć. Wystarczy więc sformować jeszcze tylko jeden i połączyć z dwoma już istniejącymi. Dzięki temu nowa brygada będzie już na starcie miała większy potencjał niż wiele z istniejących jednostek tego szczebla, które są skadrowane.

Tak, ale jeden z batalionów 21 BSP stacjonuje w Kłodzku. Czy to nie będzie stanowić problemu?

Nie, bo każda dywizja musi mieć odwód. W 18 DZ będzie nim 22 Karpacki Batalion Piechoty Górskiej, który zgodnie z programem modernizacji sił zbrojnych ma być wyposażony w lekkie pojazdy opancerzone.

A w 1 Brygadzie Pancernej widzi Pan General w przyszłości bataliony piechoty na rosomakach czy na gąsienicowych bewupach nowej generacji?

Dowództwo 18 Dywizji Zmechanizowanej będzie ulokowane w Siedlcach, a w jej strukturze znajdą się trzy brygady. Dwie, które już funkcjonują – 1 Brygada Pancerna i 21 Brygada Strzelców Podhalańskich – oraz trzecia, która zostanie dopiero utworzona.



WIZYTÓWKA

GEN. BRYG. DR JAROSŁAW GROMADZIŃSKI

Jestem zwolennikiem wykorzystania nowego bojowego wozu piechoty. Borsuk, uzbrojony w bezzałogową wieżę ZSSW-30 z 30-milimetrowym działkiem oraz dwoma przeciwpancernymi pociskami kierowanymi Spike, mógłby być pojazdem wspierającym czołgi. W ten sposób mielibyśmy w dywizji dwie lekkie brygady i jedną ciężką pozostającą w odwodzie.

A artyleria samobieżna? Koła czy gąsienice?

Chciałbym, aby w całej brygadzie była jedna platforma. Jeśli jest ona wyposażona w pojazdy kołowe, to także artyleria powinna być na kołach. Analogicznie, skoro mówimy o czołgach, artyleria powinna przemieszczać się na gąsienicach. Takie rozwiązanie zapewnia utrzymanie tempa marszu całej formacji.

Dywizja może liczyć na uzbrojenie i sprzęt wprowadzany do sił zbrojnych w ramach wieloletniego programu modernizacji?

Tego oczywiście oczekujemy. Niektórzy „specjaliści” od wojskowości podchodzą do problemu od końca. Wyliczają, ile powinno być czołgów, transporterów, bewupów czy dział. A ja pytam: po co mi supernowoczesne uzbrojenie, do którego obsługi nie będzie dobrze wyszkolonych żołnierzy, a najważniejsze – nie ma dowództwa, które mogłoby wykorzystać potencjał nowoczesnych środków rażenia? Dla mnie najnowocześniejszą bronią jest żołnierz.

Dochodzimy do kwestii personalnych. Czy znajdują się chętni do służby w nowej dywizji?

Wiele lat służyłem na wschodzie Polski, więc wiem, że w tej części kraju młodzi ludzie garną się do wojska, czego potwierdzeniem jest szybki proces tworzenia brygad wojsk obrony terytorialnej. Nie ukrywam, że zamierzam to wykorzystać. Wielu żołnierzy WOT-u wyraża zainteresowanie przejściem do służby w wojskach operacyjnych.

A dlaczego na siedzibę dowództwa dywizji wybrano właśnie Siedlce?

Ponieważ z wojskowej perspektywy mają one ogromny potencjał. Znajdują się tu duże koszary i jest miejsce na

stworzenie nowej infrastruktury. W pobliżu mamy poligon lotniczy, który można przystosować do potrzeb wojsk lądowych.

Gdzie poza Siedlcami powstaną nowe jednostki wojskowe podległe Żelaznej Dywizji?

Na ścieżce wschodniej mamy garnizony: Lublin, Chełm, Zamość, Przemysł i Żurawicę. Stacjonujące tam jednostki zostaną włączone w struktury 18 DZ. Jej obszar odpowiedzialności będzie się rozciągał od wschodu Mazowsza po Bieszczady. Czekam na pracę pół roku, bo zamierzam osobiście sprawdzić zarówno całą infrastrukturę wojskową garnizonów, jak i tę należącą do Agencji Mienia Wojskowego, która znajduje się na obszarze odpowiedzialności dywizji. Dopiero po ocenie jej stanu zaproponuję, gdzie ulokować poszczególne jednostki, w tym dowództwo nowej brygady.

Czy nie obawia się Pan, że z infrastrukturą może być duży problem, bo była ona niedoinwestowana przez kilkadziesiąt lat?

Zdaję sobie sprawę z tego, że stan techniczny niektórych obiektów może okazać się tak zły, że lepiej będzie je wyburzyć i postawić nowe, niż remontować. Tak będzie taniej i szybciej. Dobrym przykładem takiego podejścia jest zbudowanie w ciągu dwóch lat kompleksu dowództwa dywizji w Elblągu.

Podkreśla Pan, że jest zwolennikiem ewolucji, a z pańskich zamierzeń wynika, że czeka nas rewolucja...

Wręcz przeciwnie, harmonogram tworzenia dywizji jest zaplanowany na kilka lat. W trakcie swej kadencji na stanowisku dowódcy chciałbym sformować dowództwo i sztab dywizji, 18 Batalion Dowodzenia oraz trzecią brygadę ogólnowojskową. Ponadto zamierzam rozpocząć proces tworzenia dywizyjnych jednostek wsparcia i zabezpieczenia. Ten proces jest pracochłonny i kosztowny, wymaga więc więcej czasu.

Czyli przed Panem duże wyzwanie.

Chodzi o to, aby tworzyć, budować, a nie tylko odtwarzać. Po prostu lubię wyzwania. ■

PIOTR RASZEWSKI

Razem dla pokoju

Ćwiczenia „Rapid Trident” mają zacieśniać współpracę wojsk Ukrainy z armiami krajów NATO i państw partnerskich. Z roku na rok organizowane są z coraz większym rozmachem i coraz liczniejszym udziałem oficerów LITPOLUKRBRIG.

LITPOLUKRBRIG



Jeden z sąsiadów planuje przeprowadzenie zbrojnej operacji przeciwko Ukrainie. Przy granicy zbierają się wojska, które wkrótce wkroczą na jej terytorium. Ukraińcy występują o wsparcie do sojuszu północnoatlantyckiego. NATO wysłała w rejon zapalny korpus międzynarodowy. Ma on obronić zagrożone terytorium, zmusić stronę przeciwną do wycofania się, następnie odtworzyć przebieg granicy, a dodatkowo uniemożliwić kolejną próbę wrogich działań. Tak wyglądał w dużym uproszczeniu scenariusz tegorocznych ćwiczeń „Rapid Trident”, międzynarodowych manewrów pod auspicjami US Army Europe, organizowanych corocznie w ramach programu „Partnerstwo dla pokoju” w Międzynarodowym Centrum Operacji Pokojowych i Bezpieczeństwa w obwodzie lwowskim na Ukrainie.

POMYSŁ NA DOWODZENIE

Od kilku lat jedną z istotniejszych ról podczas najważniejszych ćwiczeń wojsk lądowych Ukrainy odgrywa Wielonarodowa Brygada. Jej oficerowie nie tylko biorą udział w samych ćwiczeniach, lecz także wnoszą znaczący wkład w ich przygotowanie. W tym roku

w Lublinie został opracowany rozkaz bojowy szczebla dywizyjnego, czyli najważniejszy dokument, na którego podstawie przeprowadzone zostały manewry. „Od samego początku uczestniczyliśmy w konferencjach planistycznych na Ukrainie. Część operacyjną, czyli rozkaz i plan podawania wiadomości, przygotowaliśmy w Lublinie wraz z kolegami z US Army Europe, podczas specjalnego treningu sztabowego”, mówi gen. bryg. Zenon Brzuszek, dowódca Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady. „W opracowaniu rozkazu pomogli nam również żołnierze z dywizjonów artylerii samobieżnej i przeciwlotniczej z 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Dokument był podstawą planowania operacji dla ćwiczących pododdziałów”, dodaje gen. bryg. Brzuszek.

W tym roku pierwszoplanowym ćwiczącym była 54 Brygada Sił Zbrojnych Ukrainy, a na drugim planie znalazły się: batalion obrony narodowej Ukrainy, kompania ukraińskich sił specjalnych, kompanie chemiczna oraz saperów. Te dwa ostatnie pododdziały podczas „Rapid Trident” przeszły certyfikację zgodnie z procedurami NATO. Dowództwo szczebla nadzrędnego dla ćwiczących (tzw. HICON) stanowili zaś oficerowie LITPOL-



**ORGANIZATOROM
ĆWICZEŃ CHODZI-
ŁO O TO, BY CAŁE
OTOCZENIE ĆWI-
CZĄCYCH BYŁO
MAKSYMALNIE
SKOMPLIKOWANE
I JAK NAJPEŁNIEJ
ODDAWAŁO RZE-
CZYWISTOŚĆ. DLA-
TEGO DLA UCZEST-
NIKÓW PRZYGOTO-
WALI NA POLIGO-
NIE WIELE NIESPO-
DZIANEK**



AMY CARLE / U.S. ARMY (2)

**Tegoroczne ćwicze-
nia zostały podzie-
lone na dwa etapy:
klasyczne ćwicze-
nia dowódczo-szta-
bowe wspomagane
komputerowo oraz
ćwiczenia taktycz-
ne z wojskami.**

UKRBRIG. „Scenariusz zakładał, że nasza dywizja i ćwicząca brygada znalazły się w składzie korpusu, który został wysłany w rejon działań zapalnych. Jako HICON wykonywaliśmy więc zadania organu dowodzenia. Tym razem jednak na szczęblu dywizji, a nie brygady”, zaznacza gen. bryg. Zenon Brzuszek i dodaje: „Działaliśmy, stosując stałe procedury operacyjne, opracowane w naszej jednostce. One się nie zmieniają niezależnie od tego, czy jest to szczebel brygady, czy dywizji. Inny jest jedynie wykaz sił, bo w skład dywizji wchodzi więcej jednostek wsparcia i zabezpieczenia”.

Oprócz 29 oficerów z LITPOLUKRBRIG, w skład HICON weszli przedstawiciele siedmiu armii, w tym Amerykanie, Turcy, Azerowie, Gruzini i Bułgarzy. W sumie dowództwo szczebla nadzrędnego stanowiło 68 oficerów i podoficerów. „To było również spore wyzwanie”, zaznacza ppłk Dariusz Czekaj, zastępca szefa sztabu ds. operacyjnych LITPOLUKRBRIG. „W bardzo krótkim czasie musieliśmy wdrożyć do działania blisko 40 kolejnych osób

z innych krajów, a trzeba pamiętać, że każdy z nich ma inne procedury. Musieliśmy więc zapoznać wszystkich z dokumentami i jak najszybciej nawiązać współdziałanie. To są jednak doświadczenia, które będziemy mogli wykorzystać w razie ewentualnego wysłania brygady na misję zagraniczną”, zapewnia ppłk Czekaj.

ELASTYCZNE REAKCJE

Tegoroczne ćwiczenia zostały podzielone na dwa etapy. Pierwszy to klasyczne ćwiczenia dowódczo-sztabowe wspomagane komputerowo, podczas których sztabowcy mogli doskonalić nie tylko dowodzenie pododdziałami, lecz także reagowanie na zmieniające się sytuacje na polu walki. „Przygotowaliśmy kilka niespodzianek dla ćwiczących, więc byli dość zajęci”, uśmiecha się ppłk Dariusz Czekaj. „Były to serie rozkazów i zarządzeń bojowych, które rozpoczynały kolejne procesy planowania. Dodatkowo podgrywaliśmy różne zdarzenia, m.in. związane z działalno-





W TEGOROCZNYCH ĆWICZENIACH

**„RAPID TRIDENT”
WZIEŁO UDZIAŁ PO-
NAD 2,2 TYS. ŻOŁ-
NIERZY I 350 JED-
NOSTEK SPRZĘTU,
GŁÓWNIEM Z ETATO-
WEGO WYPOSAŻE-
NIA PODODDZIA-
ŁÓW UKRAIŃSKICH**

7TH ARMY TRAINING COMMAND

ścią niekinetyczną, CIMIC, psychologiczną czy propagandą. Chodziło o to, by całe otoczenie ćwiczących było maksymalnie skomplikowane i jak najpełniej oddawało rzeczywistość. Stworzone środowisko wymagało od żołnierzy, żeby podchodzili do planowania elastycznie, bo nawet najlepiej zaplanowane działanie wojskowe może zostać utrudnione chociażby przez to, że jedną z dróg wycofują się cywile ewakuowani z terenu walki”, wyjaśnia ppłk Czekaj.

Drugi etap „Rapid Trident” to ćwiczenia taktyczne z wojskami, czyli część bojowa dla pododdziałów, które wykonywały zadania w rzeczywistym terenie. Żołnierze LITPOLUKRBRIG podczas tego etapu również odgrywali rolę przełożonego – tworzyli cały system meldunkowy i nadzorowali prowadzenie działań. „Jeśli chodzi o te bojowe, najpierw była to obrona, później przejście do kontrataku i odtworzenie fikcyjnej granicy państwowej. Ważne były również kwestie stabilizacyjne, czyli patrolowanie, przeszukiwanie czy prowadzenie działań na posterunkach kontrolnych, a także ewakuacja rannych z terenu walki, reagowanie na zagrożenie chemiczne czy incydenty związane z ładunkami wybuchowymi”, wylicza mjr Adam Pańczyk.

Z kolei ppłk Dariusz Czekaj zauważa: „Najważniejszą rolę odgrywały jednostki zmechanizowane, ale musiały one współdziałać z pododdziałami Gwardii Narodowej, wojsk specjalnych, straży granicznej, policji i innymi podmiotami, czyli naturalnymi partnerami dla sił zbrojnych w sytuacji operacji na swoim terytorium”. Dodaje przy tym: „Chcieliśmy pokazać, że wojsko nie działa w próżni. To otoczenie jest zróżnicowane, a przecież oprócz służb mundurowych są jeszcze władze lokalne, które pomagają chociażby przy ewakuacji cywilów. Ćwiczące pododdziały musiały się w tym środowisku odnaleźć i nawiązać odpowiednią współpracę”.

SAME KORZYŚCI

W tegorocznych ćwiczeniach „Rapid Trident” wzięło udział ponad 2,2 tys. żołnierzy i 350 jednostek sprzętu, głównie z etatowego wyposażenia pododdziałów ukraińskich, czyli m.in. bojowe transportery opancerzone oraz sprzęt specjalistyczny pododdziałów che-

micznego i saperów. W rolę przeciwnika wcielili się przedstawiciele pięciu nacji, w tym 23 żołnierzy z 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. „Z roku na rok rośnie liczba uczestników. Ćwiczenia stają się też coraz bardziej skomplikowane – bardziej rozwinięte, dochodzi coraz więcej elementów, a co za tym idzie, coraz lepiej odzwierciedlają rzeczywiste środowisko”, zauważa ppłk Dariusz Czekaj.

Co ważne, ćwiczenia były prowadzone w czasie rzeczywistym. „Odbływały się 24 godziny na dobę w systemie dwuzmianowym. Musieliśmy więc zupełnie inaczej podzielić pracę, zadbać o odpowiednie przekazanie zmiany dziennej i nocnej, czyli o ciągłość operacji”, tłumaczy mjr Adam Pańczyk. „Zazwyczaj takie ćwiczenia są jednozmi-

nowe, a po raz ostatni jako brygada szkoliliśmy się w sposób ciągły podczas certyfikacji LITPOLUKRBRIG, pod koniec 2016 roku na poligonie w Nowej Dębie”, przyznaje szef sekcji operacyjnej S-3 Wielonarodowej Brygady.

Oficerowie LITPOLUKRBRIG dostrzegają jednak znacznie więcej korzyści z udziału w międzynarodowych manewrach. „Dowództwo mogło nabrać sprawności operacyjnej, jeśli chodzi o proces planowania i wykonania zadań w międzynarodowym środowisku. Ćwiczenia zbiegły się również z rotacją oficerów w Lublinie. Dla tych, którzy dołączyli do Wielonarodowej Brygady, było to pierwsze zderzenie z naszymi procedurami operacyjnymi. Jako zespół mieliśmy zaś okazję, by je przetestować, jeszcze bardziej rozbudować i znaleźć ewentualne luki”, dodaje mjr Adam Pańczyk.

Z kolei ppłk Dariusz Czekaj podkreśla: „Przygotowując się do »Rapid Trident«, mieliśmy wiele treningów sztabowych, szczegółowo rozegraliśmy całą walkę wspólnie z osobami, które odpowiadają za prowadzenie symulacji w czasie ćwiczeń. Zwróciliśmy uwagę na każdy detal, a nasze działanie zostało zweryfikowane przez ćwiczących. Widzieliśmy, jak żołnierze wykonują zadania, które od nas otrzymali, jak zaplanowane działania są przekładane na konkretne rozkazy. Na szczęście nie było żadnych negatywnych spostrzeżeń”. Płk Czekaj zauważa przy tym, że dzięki uczestnictwu w takich manewrach rozpoznawalność Litewsko-Polsko-Ukraińskiej Brygady jest coraz większa. ■

SIERŻ. KRZYSZTOF ŁASKI



Data i miejsce urodzenia:

8 stycznia 1983 roku,
Piotrków Trybunalski.

W wojsku

służy od:
2004 roku.

Edukacja

wojskowa: Szkoła
Podoficerska
Wojsk Lądowych
w Centrum
Szkolenia Artylerii
i Uzbrojenia
w Toruniu.

Zajmowane stanowisko:

instruktor wojsk rakieto-
wych i artylerii w 17 Wiel-
kopolskiej Brygadzie
Zmechanizowanej.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

przygotowanie cyklu kompleksowych szkoleń obserwatorów ognia (forward observer) dla żołnierzy 17 BZ, które mają wesprzeć system rozpoznawczy brygady na potrzeby rażenia. Poza tym w 2018 roku wraz z drużyną z 7 Dywizjonu Artylerii Konnej Wielkopolskiej zająłem trzecie miejsce w ogólnopolskich zawodach rozpoznawczych w Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

narodziny córki Nadii.

MISJE I ĆWICZENIA:

IX zmiana PKW Afganistan, dyżur w Grupie Bojowej Unii Europejskiej oraz m.in. manewry „Anakonda” i „Dragon”.

NAJLEPSZA BRON:

Grupa Wsparcia Ogniwego „Bravo” wystawiona przez 7 dAKW na potrzeby IX zmiany PKW Afganistan. Poza tym silna wola wsparta odpowiednią motywacją. Jeśli musiałbym wymienić egzemplarz broni, to postawiłbym na karabin AKMS.



CHCIAŁBYM, ABY W PROCESIE
SZKOLENIA W WIĘKSZYM STOPNIU
WYKORZYSTYWANO WIEDZĘ
DOŚWIADCZONYCH WOJSKOWYCH

HOBBY:



sport



muzyka



gry



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. 17 WBZ

JUBILEUSZ 1918–2018

ARMA VIRUMQUE CANO



Tradycja i doświadczenie

„Kwartalnik Bellona” (pierwotnie „Bellona”) jest jednym z najstarszych polskich czasopism naukowych, ukazującym się nieprzerwanie od 1918 roku. Pismo jest o kilka miesięcy starsze od niepodległej Rzeczypospolitej!

Dziś „Kwartalnik Bellona”, wydawany przez Wojskowy Instytut Wydawniczy, to platforma wymiany myśli naukowej w dziedzinie szeroko pojętego bezpieczeństwa i sztuki wojennej.

Zapraszamy do współpracy na łamach pisma.

MAGDALENA MIERNICKA

ZDALIŚMY EGZAMIN

MICHAŁ NIEWIĄCZ

Zawiszacy kontra 17 Brygada Zmechanizowana?

Do bratobójczej walki doszło podczas manewrów „Namejs ’18”, jednych z największych, jakie do tej pory odbyły się na Łotwie.

Adazi – niewielka miejscowość oddalona o 30 km od Rygi, stolicy Łotwy. Właśnie tu mieści się baza, w której stacjonuje 1 Brygada Zmechanizowana, a od czerwca 2017 roku – także Batalionowa Grupa Bojowa NATO. Tworzą ją żołnierze aż ośmiu narodowości. Najliczniejszy kontyngent przyjechał na Łotwę z Kanady. Oprócz tego są tu także żołnierze z Hiszpanii, Włoch, ze Słowacji, Słowenii, z Czech i Albanii. Polskę reprezentuje kompania czołgów z 15 Gizińskiej Brygady Zmechanizowanej im. Zawiszy Czarnego. Zgodnie z postanowieniami szczytu NATO z 2016 roku międzynarodowy batalion ma współdziałać z łotewskimi siłami zbrojnymi i pozostawać w gotowości, aby w każdej chwili móc przystąpić do obrony granic państwa.

„Każdy z pododdziałów, który stacjonuje na Łotwie, dysponuje innym sprzętem i ma inną specjalizację. Słoweńcy odpowiadają za rozpoznanie, Albańczycy przywieźli zespół rozminowania, Słowacja – kompanię zmechanizowaną, Czechy – kompanię wsparcia i pluton przeciwpancerny, Hiszpanie – pluton czołgów. Kontyngenty kanadyjski oraz włoski to piechota zmotoryzowana. Jest też z nami kompania czołgów z Polski”, mówi ppłk Steven McBeth, dowódca Batalionowej Grupy Bojowej NATO. „Ta różnorodność, która charakteryzuje nasz batalion, jest jego wielkim atutem. NATO ma tu doskonałe narzędzie, które umożliwia wykonywanie wielu zadań”, dodaje McBeth.

Jakich? Między innymi to sprawdzano podczas ćwiczeń „Namejs ’18” – największych, które do tej pory odbyły się

na Łotwie. Zaangażowano w nie całe, liczące prawie 6 tys. żołnierzy, siły zbrojne Łotwy, Gwardię Narodową i żołnierzy armii sojuszniczych. W sumie przez dwa tygodnie na terenie całego kraju współdziałało ponad 10 tys. żołnierzy.

TWARDE NACIERAJA

Główny epizod rozegrał się na poligonie, właśnie w Adazi. Scenariusz? Bardzo prosty – przeciwnik atakuje! W stan gotowości zostali postawieni wszyscy stacjonujący w jednostce żołnierze. Bazę natychmiast opuściły pododdziały rozpoznawcze łotewskich sił zbrojnych wyposażone w lekkie czołgi Scimitar i Słoweńcy w swoich HMMWV. Tuż po nich do akcji wkraczają kanadyjskie LAV-y i słowackie BWP-2. To właśnie one będą prowadziły walkę w pierwszej linii. Za obronę manewrową odpowiadają Hiszpanie wyposażeni w czołgi Leopard 2E, a w odwodzie czuwa kompania czołgów PT-91 Twardy z 15 BZ. To właśnie do zawiszaków będzie należał ruch ostateczny – natarcie! „Nasza kompania to największy pododdział Batalionowej Grupy Bojowej NATO, który dysponuje czołgami, więc to naturalne, że prowadziliśmy natarcie. Co prawda, na Łotwie stacjonują też czołgi z Hiszpanii, ale jest ich zaledwie kilka. Nie byłoby w stanie przeprowadzić takiego działania samodzielnie”, wyjaśnia mjr Arkadiusz Skórny, dowódca Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Republice Łotewskiej.

Co ciekawe, zawiszacy to niejedyni polscy żołnierze, którzy zostali zaangażowani w ćwiczenia. W rolę OPFOR,





TRZY PYTANIA DO

Ilmāris Atis Lejiņš

Panie Pułkowniku, jaki był cel ćwiczeń „Namejs ’18”?

W te ćwiczenia było zaangażowanych prawie 10 tys. żołnierzy z 13 państw. Miały one sprawdzić gotowość łotewskich sił zbrojnych i stanowić podsumowanie ich czteroletniego programu szkolenia. Poza tym 1 Brygada integrowała się z Batalionową Grupą Bojową NATO, a sama eFP prowadziła certyfikację. Można zatem powiedzieć, że „Namejs ’18” integrowały kilka ćwiczeń.

A czy z perspektywy lotewskich sił zbrojnych obecność Batalionowej Grupy Bojowej jest istotna?

Obecność żołnierzy NATO na Łotwie to przede wszystkim manifest, że sojusz północnoatlantycki to jedność. Ale to także istotne z perspektywy obronnej. Co prawda, przeznaczamy na ten cel 2% PKB, jednak potrzebujemy czasu, aby zmodernizować armię. Batalionowa Grupa Bojowa NATO pomaga nam wypełnić tę lukę.

Czy zdradzi Pan, jak układa się współpraca z polskimi żołnierzami?

Fantastycznie. Wiele nas łączy, chociażby historia. Oprócz tego Polacy wyróżniają się bardzo dobrą kondycją, świetnie też maszerują na paradach. No może gra w hokeja nie idzie nam najlepiej, nad tym musicie jeszcze popracować. ■

PIK ILMĀRIS ATIS LEJIŅŠ
jest dowódcą lotewskiej
1 Brygady Zmechanizowanej,
która współdziała z Batalionową
Grupą Bojową NATO



czyli sił przeciwnika, wcieliła się bowiem kompania zmechanizowana z 17 Brygady, wyposażona w kołowe transportery opancerzone Rosomak. „To nie było łatwe zadanie, bo nie znaliśmy szczegółów scenariusza manewrów i wszystkie nasze działania były uzależnione od tych, które na poligonie prowadziły wojska NATO”, mówi por. Tomasz Drażkiewicz, dowódca kompanii. „Ale potraktowaliśmy to jako wyzwanie, przecież na polu walki sytuacja zawsze zmienia się dynamicznie”, podkreśla.

Aby dotrzeć na poligon w Adazi, zmechanizowani pokonali 1200 km. Już na Łotwie – kolejne 700 km, z tego tylko 50 km po terenie poligonu. To dlatego, że manewry rozgrywały się również w miastach i wsiach. „Podczas tego etapu »Namejs ’18« współdziałaliśmy głównie z Gwardią Narodową. Ćwiczyliśmy prowadzenie natarcia na terenach rolnych, podgrywaliśmy ludność cywilną, którą trzeba ewakuować z miejsc zagrożonych wybuchem konfliktu. Oczywiście wszystko w realnych warunkach. To była prawdziwa lekcja taktyki”, podkreśla dowódca kompanii.

Manewry trwały dwa tygodnie. Zadaniem Polaków było blokowanie sił przeciwnika i przejmowanie odpowiedzialności za dany rejon. Zawiszacy wspierali też na-

cierające wojska kanadyjskie i działania obronne prowadzone przez Włochów, a z Hiszpanami pokonywali pola minowe.

Czy współdziałanie w międzynarodowym środowisku nie sprawia problemów? „Ze Słowakami i Czechami rozumiemy się niemal bez słów, ale współpraca np. z Hiszpanami wymaga od nas nieco więcej wysiłku. Kiedy szukaliśmy ich na poligonie, określili długość i szerokość geograficzną swojego położenia. My jednak bazujemy na siatce UTM i musieliśmy szybko przeliczyć dane, ale poradziliśmy sobie z tym zadaniem”, mówi ppor. Radosław Bartuś, dowódca plutonu czołgów. „Sporym wyzwaniem okazała się też synchronizacja systemów łączności, bo każda z armii dysponuje innym, ale zostało utworzone jedno stanowisko”, dodaje młodszy oficer operacyjny, który odpowiada m.in. za koordynację przepływu informacji.

BEZCENNE WSPARCIE

Żołnierze Narodowego Elementu Wsparcia (National Support Element – NSE) ze wszystkich kontyngentów stacjonowali nieopodal szkolących się wojsk. Polscy logistycy, których trzon wywodzi się z 1 Brygady Logi-

W ĆWICZENIA
ZAANGAŻOWANO
LICZĄCE PRAWIE
6 TYS. ŻOŁNIERZY,
SIŁY ZBROJNE ŁOTWY,
GWARDIĘ NARODOWĄ
I ŻOŁNIERZY ARMII
SOJUSZNICZYCH.



MICHAŁ NIWICZ



Mjr ARKADIUSZ SKÓRNÓŚĆ, dowódca Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Republice Łotewskiej: „Współpraca z sojusznikami układa się świetnie – każdy ma określone zadania i konsekwentnie je wykonuje”.

stycznej, przywieźli na poligon m.in. warsztat remontu pojazdów kołowych, gąsienicowych, naprawy uzbrojenia i łączności. „Sprzęt, z którego korzystają ćwiczący, nie jest zawodny, ale zdarzało się, że musieliśmy np. założyć gąsienicę, albo nasmarować jakiś element uzbrojenia”, opowiada st. chor. sztab. Krzysztof Chomiczewski, dowódca plutonu remontowego. A czy żołnierze współpracują także z sojusznikami? „Zdarzało się, że pomagaliśmy kolegom naprawiać sprzęt, dowoziliśmy racje żywnościowe, a nawet transportowaliśmy części zamienne, gdyż nie wszystkie kontyngenty mają odpowiednie do tego celu pojazdy. Wiem, że gdybyśmy my potrzebowali pomocy, to nasi sojusznicy także bez wahania by się nam zrewanżowali”, dodaje.

W „Namejs '18” wzięli udział również medycy. „Współpracujemy tu w grupie międzynarodowej, dlatego ważne jest, aby każdy wiedział, co i jak powinien wykonać. W związku z tym duży nacisk kładziemy na weryfikację znajomości procedur”, mówi plut. Adam Boguski,

ratownik medyczny. „Zostaliśmy np. ewakuowani do wypadku. Scenariusz zakładał, że kilka osób jest rannych, a naszym zadaniem było przejście od kompanii ewakuującej opieki nad poszkodowanymi, udzielenie im pomocy, a następnie odtransportowanie, w zależności od odniesionych obrażeń, do szpitala w Katadze lub polowego”, dodaje. Ale doskonalenie umiejętności to niejedyny zadanie, któremu musiały sprostać służby medyczne. Ratownicy przez cały czas czuwali także nad bezpieczeństwem ćwiczących wojsk.

„Podczas naszego dyżuru w szpitalu polowym trafił do nas jeden z kolegów z Hiszpanii. Był w ciężkim stanie – miał bardzo wysoką temperaturę, był spuchnięty i ledwo mówił”, relacjonuje Boguski. „Ale opanowaliśmy sytuację i żołnierz zaczął dochodzić do siebie. Okazało się, że miał silną reakcję alergiczną na ukąszenie owada. Gdyby nie trafił do nas na czas, mogłoby się to skończyć tragedią”, podkreśla.

CZAS PODSUMOWAŃ

Żołnierzy bardzo dobrze ocenia mjr Skórność, dowódca PKW Łotwa. „Ćwiczenia potwierdziły, że dowódcy poszczególnych pododdziałów są gotowi do organizowania działań w środowisku wielonarodowym i dowodzenia nimi. Zgodnie z hasłem 15 Brygady Zmechanizowanej »semper paratus« jesteśmy zawsze gotowi do działania”, podkreśla. Wtórują mu dowódcy innych narodowości. „To były bardzo ważne manewry dla łotewskich sił zbrojnych, więc także dla nas, bo działaliśmy jako część 1 Brygady Zmechanizowanej. Wiele dowiedzieliśmy się o sobie, to na pewno wartość dodana tych manewrów”, mówi dowódca hiszpańskiego kontyngentu ppłk Jesus Angel Garrido Robres. „Udział w »Namejs '18« stanowił spore wyzwanie, ale warto było stawić mu czoło. Udowodniliśmy, że dzięki zaangażowaniu i współpracy funkcjonujemy jak jeden organizm”, dodaje mjr Matjaz Zbogar ze Słowenii. A czy dowódca Batalionowej Grupy Bojowej NATO ma taką samą opinię na temat ćwiczeń? „Zdał się ten egzamin, ale to nie znaczy, że spoczniemy na laurach. Nadal będziemy szkolić się z taktyki i kierowania ogniem. Już szykujemy się do kolejnych manewrów, które odbędą się jeszcze w październiku”, podkreśla ppłk McBeth. ■

Służba na misji w Republice Łotewskiej to dla Was obowiązek czy wyzwanie?

Radosław Bartuś: Z jednej strony jesteśmy tu z obowiązku – nie chcemy dopuścić, aby doszło do takich wydarzeń, jakie miały miejsce na Ukrainie. Z drugiej strony jest to też wyzwanie. Tu każdy z nas ma możliwość zweryfikowania umiejętności czy ich doskonalenia.

Łukasz Karczewski: Decyzję o wyjeździe każdy z nas podejmował sam. Nikt nikogo nie wysyłał na misję na siłę. To dla nas szansa na zdobycie nowych doświadczeń. Dużo czasu spędzamy razem, to też pozwala na zacieśnianie więzi całej załogi. Dla mnie służba tu ma wiele plusów, choć nie ukrywam – moja żona nie była zbyt zadowolona, że wyjeżdżam na tak długo.

A pamiętacie początek misji? Coś Was zaskoczyło, kiedy tu dotarliście?

Radosław Bartuś: Wiedzieliśmy, po co tu jedziemy. Zaskoczeniem było może to, jak fantastycznie zostaliśmy przyjęci. To dotyczy zarówno żołnierzy, z którymi współpracujemy, jak i panujących warunków. Jedzenie, kwatery – wszystko jest na bardzo wysokim poziomie.

Czy zadania, które wykonujecie na misji, są zbieżne z tym, co robicie w Polsce?



Od lewej: st. kpr. Łukasz Karczewski, ppor. Radosław Bartuś, st. szer. Marcin Babowicz i szer. Bartosz Żelazny

MICHAŁ NIWICZ

NIC NIE POWSTRZYMA

Z żołnierzami Polskiego Kontyngentu Wojskowego na Łotwie

**o codziennej współpracy z kolegami innych narodowości
rozmawia Magdalena Miernicka.**

Bartosz Żelazny: W zasadzie mamy podobne obowiązki. Dużo czasu spędzamy na poligonie. Jest to dla nas ciekawe doświadczenie, bo nie znamy tego terenu tak dobrze jak u siebie.

Batalionowa Grupa Bojowa na Łotwie jest dość liczna i stacjonuje tu aż osiem narodowości. Jak układa się Wam współpraca?

Radosław Bartuś: Ze Słowakami czy Czechami rozumiemy się bardzo dobrze, nawet nie musimy używać

języka angielskiego, aby się porozumieć. Trochę inaczej wygląda współpraca z Hiszpanami czy Włochami. Mam tu na myśli nie tylko kwestie mentalne czy językowe, ale też sposób wykonywania pewnych zadań. My na przykład używamy systemu UTM [Universal Transverse Mercator, czyli stosowany w wojsku system określania współrzędnych], a oni bazują na długości i szerokości geograficznej. Kiedy szukamy się na poligonie, musimy szybko przeliczać dane, które nam podają. To jednak nie jest wielki problem.



CZTEREJ PANCERNI

Trzon III zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego, który w ramach Batalionowej Grupy Bojowej NATO stacjonuje w Republice Łotewskiej, tworzą żołnierze z 15 Głównego Brygady Zmechanizowanej. Zawiszczy dysponują kompanią czołgów PT 91 Twardy. Dowódcą jednego z jej plutonów jest ppor. Radosław Bartuś, dowódcą załogi – st. kpr. Łukasz Karczewski, działonowym – szer. Bartosz Żelazny, a kierowcą – st. szer. Marcin Babowicz. ■

Marcin Babowicz: Nasze początki na poligonie też nie były łatwe. Tutaj ukształtowanie terenu jest nieco inne niż w Polsce. Jeździ się jak po plaży – piasek jest wszędzie! Doszliśmy jednak do wprawy i już nic nie powstrzyma naszych czołgów!

Czy macie czas, aby poznać miasto, porozmawiać z Łotyszami?

Bartosz Żelazny: Oczywiście. Zdarza się, że weekendy mamy wolne. Co jakiś czas są też organizowane wycieczki z przewodnikiem. Zwiedzaliśmy m.in. Rygę. To ważne, aby znać miejsce, w którym się służy. Często uczestniczymy też w imprezach sportowych. Mamy nawet swoją biegową drużynę. Rywalizację z sojusznikami traktujemy nie tylko jako sposób na poprawę kondycji, lecz także staramy się w ten sposób promować Polskę. No i dzięki temu jest okazja, aby zintegrować się z kolegami z NATO.

Łukasz Karczewski: Kanadyjczycy zadbali także o tzw. strefę relaksu. Mamy tu bilard, są piłkarzyki, a nawet jest boisko do hokeja. Ale chyba najczęściej żołnierzy można spotkać na siłowni. Są też organizowane wieczoro-

NASZYCH CZOŁGÓW!

Bartosz Żelazny: Poza tym dobrze się rozumiemy, bo zdążyliśmy się już poznać. Mamy co jakiś czas zawody, podczas których musimy wykazać się wiedzą dotyczącą naszych sojuszników. Odpowiadamy wówczas na pytania, kto jest premierem danego kraju, jaka waluta w nim obowiązuje, jaki jest najsłynniejszy sportowiec w danej dyscyplinie. Jeśli ktoś się pomyli – cały kontyngent robi pompki. Ale chodzi tu raczej o zabawę i integrację niż zamęczenie konkurencji.

Czyli że na Łotwie słowo „problem” nie istnieje?

Radosław Bartuś: Problemy może i są, ale staramy się ich nie wyolbrzymiać, tylko je rozwiązywać. Na początku na przykład mieliśmy kłopoty z łącznością. Każda nacja posługuje się innym systemem, a ich zintegrowanie wydawało się niemożliwe. Poradziliśmy sobie z tym jednak. Zostało utworzone jedno stanowisko – młodszego oficera operacyjnego, który zajmuje się m.in. koordynacją przepływu informacji.

ry filmowe, tak więc z kinem wojennym i historycznym jesteśmy na bieżąco.

Byliście już na misji, kiedy cały świat ekscytował się mundialem. Kibicowaliście?

Łukasz Karczewski: Oczywiście! Zorganizowaliśmy nawet międzynarodową strefę kibica!

Bartosz Żelazny: Rzeczywiście było dość emocjonująco. Jeśli chodzi o piłkę nożną, to jesteśmy bardzo podobni do Włochów i Hiszpanów. Oni podchodzą do tego tematu tak samo poważnie jak my.

Mówi się, że żołnierz musi dobrze zjeść, aby dobrze wykonywać obowiązki. Jak Was tu karmią?

Łukasz Karczewski: Mamy świetną stołówkę. Gotują przede wszystkim Kanadyjczycy, ale nasi, polscy kucharze także mają swój mały udział w przygotowywaniu posiłków. Jedzenie może jest trochę monotonne, ale na pewno smaczne. ■

Mają namierzyć cel, prowadzić rozpoznanie z powietrza i osłaniać walczące wojsko. 12 Baza Bezzałogowych Statków Powietrznych to jedyna jednostka w Polsce przeznaczona do tego rodzaju działań.

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

OKO NA WOJSKO



Trzecia zmiana Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Żołnierze prowadzą rozpoznanie wokół bazy w Ghazni za pomocą kamery termowizyjnej. Na ekranach w taktycznym centrum operacyjnym (Tactical Operations Center – TOC) zarejestrowano, że niemal każdego dnia w pobliżu jednej z wiossek położonej niedaleko bazy rebelianci podkopują pobocze przy drodze, żeby umieścić tam materiały wybuchowe. By zapobiec atakowi na siły koalicji, w miejsce aktywności rebeliantów zawsze wysyłano pododdział sił szybkiego reagowania. Terrorysty jednak byli szybsi – uciekali do wioski i ukrywali się w zabudowaniach.

Przełom nastąpił, gdy poza bazę wojskową wyjechała załoga wyposażona w bezzałogowy statek powietrzny (bsp) Orbiter. I gdy sytuacja się powtórzyła – rebelianci znowu próbowali podłożyć minę pułapkę – to rozpoznawczy dron nie tylko zarejestrował ich działanie, lecz także precyzyjnie namierzył, w której kalacie później się ukryli. „Wystarczyło zapukać do konkretnych drzwi”, mówi sierż. Marcin Kozłowski, operator bezzałogowego statku powietrznego Orbiter z 12 Bazy Bezzałogowych Statków Powietrznych w Mirosławcu. Podoficer przyznaje, że to właśnie na misji przekonał się, jaką rolę w zapewnieniu wojskom bezpieczeństwa odgrywa rozpoznanie powietrzne. „W Afganistanie załogi bsp obserwowały również teren, po którym przemieszczały się patrole. Jego obsługa wielokrotnie jeździła np. w rosomakach. Zatrzymywaliśmy się w odpowiednim miejscu i startowaliśmy orbiterem,

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKĘ
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU „WOJSKO
OD KULIS” PRZECZYTAJCIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWOLOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

który rozpoznawał teren z powietrza. Mogliśmy np. sprawdzić, czy na dachach domów, w wiosce, do której zmierzał patrol, nie widać karabinów maszynowych, snajperów i czy gdzieś nie został rozstawiony moździerz. Kiedy żołnierze wchodzili do wioski, osłanialiśmy ich z góry”, wspomina sierż. Kozłowski, który wówczas służył jeszcze w Dywizjonie Rozpoznania Powietrznego.

Kilka lat później, w 2016 roku, w wyniku połączenia dwóch pododdziałów – Dywizjonu Rozpoznania Powietrznego i 12 Komendy Lotniska – powstała jednostka wyposażona w bezzałogowce. „Jesteśmy jedyni i wyjątkowi. Intensywnie szkolimy się i przygotowujemy do przyjęcia nowego uzbrojenia. 12 Baza będzie w przyszłości jedną z najnowocześniejszych w siłach zbrojnych”, podkreśla płk pil. Łukasz Andrzejewski-Popow, dowódca jednostki.

NOWA HISTORIA

Kierownictwo sił zbrojnych parę lat temu uznało, że w armii należy powołać strukturę, która zintegruje systemy bezzałogowe wykorzystywane przez żołnierzy. W Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych utworzono Oddział Bezzałogowych Środków Walki, który podlegał bezpośrednio Inspektoratowi Sił Powietrznych. Powstała też koncepcja zuniifikowania procesu szkolenia personelu odpowiedzialnego za obsługę bezzałogowców. W październiku 2015 roku zadanie sformowania nowej jednostki otrzymał płk pil. Łukasz Andrzejewski-Popow, a w styczniu 2016 odbyła się uroczysta inauguracja działalności 12 Bazy Bezzałogowych Statków Powietrznych.



„To było wielkie wyzwanie. Musieliśmy przygotować ludzi, dokumenty i sprzęt. Ale się udało”, wspomina dowódca. 12 BBSP podlega bezpośrednio dowódcy 1 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego.

Jednostkę tworzy ponad pół tysiąca żołnierzy. Służą oni w dowództwie, sztabie, grupie działań powietrznych, grupach obsługi technicznej oraz rozpoznania i analizy danych. Zgodnie z zapowiedziami kierownictwa MON-u w Mirosławcu mają być wykorzystywane w przyszłości najnowsze systemy uzbrojenia. Gdy tak się stanie, struktura bazy jeszcze się rozrośnie. „Powstaną nowe eskadry odpowiedzialne za pozyskany sprzęt. Rozszerzymy także etaty pozostałych komponentów, odpowiedzialnych np. za wsparcie techniczne i logistykę, tak by eksploatacja nowoczesnych technologii przebiegała bez zarzutu”, dodaje dowódca. Zakłada się, że docelowo bazę w Mirosławcu ma tworzyć około 1,5 tys. żołnierzy.

Trzon bazy stanowi grupa działań powietrznych. „Tworzą ją przede wszystkim operatorzy bsp i technicy”, wyjaśnia mjr Małgorzata Krywiak, szef sekcji komunikacji społecznej 12 Bazy. Do ich głównych zadań należy zapewnienie dowódcom oraz sztabom brygad

i batalionów, a także kompanii dalekiego rozpoznania informacji rozpoznawczych w czasie maksymalnie zbliżonym do rzeczywistego. „Trzeba pamiętać, że jesteśmy jednostką wspierającą. To znaczy, że działamy na rzecz innych pododdziałów wojsk lądowych, np. artyleryjskich, zmechanizowanych lub zmotoryzowanych. Współpracujemy także z siłami powietrznymi, wojskami specjalnymi, a ostatnio również z marynarką wojenną. Nasi operatorzy szkolą się też np. z personelem taktycznych zespołów kontroli obszaru powietrznego, m.in. z Ośrodka Szkolenia Personelu Taktycznych Zespołów Kontroli Obszaru Powietrznego w Dęblinie”, podkreśla ppłk Wojciech Gryz, dowódca grupy działań powietrznych. Dodaje, że operatorzy niemal każdego tygodnia szkolą się na poligonach w całej Polsce. „Wykonujemy bardzo dużo zadań. Żołnierze są obecni podczas każdych dużych ćwiczeń wojskowych, np. manewrów »Dragon« czy »Anakonda«, a ostatnio działali choćby podczas »Saber Strike '18«”, uzupełnia ppłk Gryz.

PODNIĘBNA OBSERWACJA

Na niewielkie ćwiczenia poligonowe pododdziałów wojsk lądowych zwykle jest delegowa-



TRZY PYTANIA DO

Łukasz Andrzejewski- -Popowa

Na czym polega specyfika jednostki, którą Pan dowodzi?

12 Baza Bezzałogowych Statków Powietrznych to jedyna tego typu jednostka w armii, która wykorzystuje platformy bezzałogowe do zadań rozpoznawczych w przestrzeni powietrznej. Zgodnie z założeniami baza ma być jedną z najnowocze-

śniejzych jednostek w Polsce. Obecnie wykorzystujemy bezzałogowe statki typu mini-Orbiter 2014 2B, ale jesteśmy zobowiązani do przygotowania się do wdrożenia nowych systemów. W przyszłości część moich żołnierzy będzie mogła obsługiwać nowoczesne systemy klasy taktycznej, krótkiego i średniego zasięgu

oraz bezzałogowce operacyjne klasy MALE. Baza gwarantuje więc pracę z wykorzystaniem najnowocześniejszego sprzętu. Dajemy możliwość rozwoju zawodowego – od szeregowego aż po stopnie oficerskie. Bezzałogowce to dziedzina rozwojowa, więc inwestujemy w żołnierzy i w ich szkolenie.



12 BAZA BEZZAŁOGOWYCH STATKÓW POWIETRZNYCH W MIROŚLAWCU INWESTUJE W SZKOLENIA PERSONELU, KTÓRY PRZYGOTOWUJE SIĘ DO PRZYJĘCIA NOWYCH DRONÓW

ny jeden czteroosobowy zespół obsługi i jeden zestaw mini-bsp Orbiter, czasami także analitycy z grupy rozpoznania i analizy danych. „Do naszych zadań należy np. potwierdzenie lokalizacji celu. Proszę pamiętać, że my w niego nie uderzamy, tylko wskazujemy jego współrzędne albo oceniamy, czy artyleria precyzyjnie razila

określone cele. Możemy też – na polecenie dowódcy danego pododdziału – sprawdzać, czy żołnierze poprawnie wykonują swoje zadania, np. czy właściwie się zamaskowali”, wyjaśnia sierż. Kozłowski.

W ostatnich miesiącach specjaliści z Mirosławca ćwiczą się też w korygowaniu ognia artylerii lub statków powietrznych. „Dzięki obrazowi rejestrowanemu przez orbiter praktycznie w czasie rzeczywistym pokazujemy dowódcom skutki działania pilotów czy artylerzystów. Transmisja online umożliwia wprowadzanie koordynat i na bieżąco korygowanie kierunku otwarcia ognia”, tłumaczy mjr Krywiak.

Od kilku miesięcy 12 Baza współpracuje także z żołnierzami amerykańskich sił powietrznych. W Mirosławcu stacjonuje bowiem mobilny element rozpoznawczy United States Air Force wyposażony w dwa nieuzbrojone bezzałogowce MQ-9 Reaper. „Żołnierze naszej jednostki zabezpieczają działania amerykańskich lotników. Chodzi mi głównie o personel zabezpieczający loty oraz obsługę lotniska wojskowego w Mirosławcu. Taka współpraca jest dla nas ważna, bo możemy poznać specyfikę działania reaperów, co pomoże nam przygotować się do przyjęcia w przyszłości większych systemów bezzałogowych”, podkreśla dowódca 12 Bazy.

Żołnierze bazy teraz wykonują zadania z wykorzystaniem mini-bsp Orbiter 2014 drugiej generacji, czyli jednego z najnowszych bezzałogowców w siłach zbrojnych.



Jak można zostać żołnierzem 12 Bazy?

Przede wszystkim trzeba chcieć. Służbę znajdują u nas głównie absolwenci Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych na kierunku lotnictwo i kosmonautyka o specjalności bezzałogowe statki powietrzne, Wojskowej Akademii Technicznej po kierunku geodezja i kartografia o specjalności rozpoznanie obrazowe. W jednostce mamy także absolwentów Szkoły Podoficerskiej Sił Powietrznych i Studium Oficerskiego dla podoficerów Służby Inżynierijno-Lotniczej. Oczywiście wszyscy chętni do służby podoficerowie i szeregowi mogą się starać o wolne etaty w bazie. Takich żołnierzy skierujemy później do Dębina na specjalistyczne kursy z obsługi

platform bezzałogowych. Każdy chętny musi w pierwszej kolejności potwierdzić predyspozycje zdrowotne do służby przed wojskową komisją lekarską Wojskowego Instytutu Medycyny Lotniczej. Później kandydaci na operatorów przechodzą szkolenie naziemne, symulatorowe, a na koniec praktyczne.

Jakie kwalifikacje trzeba mieć, żeby służyć w Mirosławcu? Jakiego wykształcenia stawia Pan kandydatom?

Jeśli mówimy o operatorach, to pożądane jest wykształcenie techniczne. Powinni oni mieć wyobraźnię przestrzenną, tak by bez problemu orientowali się w położeniu bezzałogowca w powietrzu i potrafili go w nim umiejscowić. Powinny to być osoby

spostzegawcze, odporne na stres, potrafiące działać w zespole i w deficycie czasu. Ważna jest także podzielność uwagi i zdolność logicznego myślenia. Operatorzy muszą mieć dobrą koordynację ruchową i sprawność psychomotoryczną. Jeśli zaś chodzi o analityków... Cóż, takie osoby powinny mieć przede wszystkim smykałkę do poszukiwania na zdjęciach ważnych informacji. Danych, które dla przeciętnego człowieka są niewidoczne. Tak naprawdę jednak to wobec wszystkich swoich żołnierzy mam jedno wymaganie: lojalność i oddanie służbie. ■

Płk pil. ŁUKASZ ANDRZEJEWSKI-POPOW
jest dowódcą 12 Bazy Bezzałogowych
Statków Powietrznych.



12 BAZA BEZZAŁOGOWYCH STATKÓW POWIETRZNYCH W MIROŚLAWCU

Powstała na początku 2016 roku w wyniku połączenia 12 Komendy Lotniska oraz Dywizjonu Rozpoznania Powietrznego z 49 Bazy Lotniczej w Pruszczy Gdańskim. Nowa struktura święto obchodzi 4 września i dziedziczy m.in. tradycje kultywowane wcześniej przez te dwie jednostki, czyli

historyczne 8 Pułku Lotnictwa Szturmowego, 53 Pułku Lotnictwa Szturmowego, jednostek myśliwsko-szturmowych i myśliwsko-bombowych, dywizjonów dowodzenia lotami i wielu innych. Żołnierze 12 Bazy mają odznaki rozpoznawczą i pamiątkową. Odzwierciedla ona w symbolice i barwach charakter

zadań oraz specyfikę służby w 12 BBSP. Barwy niebieska i czerwona nawiązują do herbu Mirosławca, bezzałogowiec widoczny na pierwszym planie – do zadań bazy, natomiast liczba – do 12 Komendy Lotniska i nowo utworzonej 12 BBSP. Na odznace znajduje się także białoczerwona szachownica. ■

Mają do dyspozycji kilkanaście zestawów, w każdym są trzy sztuki. W Mirosławcu w przyszłości mają być wykorzystywane najnowsze systemy uzbrojenia – chodzi tu o zestawy bezzałogowe taktyczne średniego zasięgu i drony operacyjne klasy MALE (Medium Altitude, Long Endurance).

System mini-bsp Orbiter 2014 pozwala nie tylko na prowadzenie rozpoznania i dozoru danego obszaru, lecz także sprawdza się w niebezpiecznych misjach, gdzie istnieje duże ryzyko utraty zdrowia lub życia żołnierzy, np. w razie skażenia chemicznego. Orbiter można wykorzystywać także do ochrony wojsk własnych, m.in. gdy trzeba monitorować drogi patrolowania, prze-marszu lub odpoczynku wojsk. Ponadto obsługa bezzałogowców z Mirosławca przygotowana jest do wykonywania misji poszukiwawczo-ratowniczych, usuwania skutków klęsk żywiołowych bądź monitorowania sytuacji kryzysowych, takich jak pożary czy powódzie. „Orbiter ma wiele zalet. Dane z lotu może przekazywać w czasie zbliżonym do rzeczywistego. Tylko cztery osoby: dwóch techników, dowódca obsługi, operator, wystarczą, by w 15 minut z dowolnego miejsca uruchomić bsp. Nie potrzebujemy pasa startowego. To sprzęt lekki, mobilny,

bardzo cichy. Jeśli nie podejrzewasz, że krąży gdzieś wokół ciebie, to go nie zauważysz”, mówi ppłk Gryz.

WYCIAGNAĆ Z CIENIA

Służbę w 12 Bazie pełnią żołnierze różnych specjalności. Operatorzy dronów i technicy są absolwentami kursów z Centrum Szkolenia Inżynieryjno-Lotniczego w Dęblinie lub Ośrodka Szkolenia Obsługi Systemów Bezzałogowych Statków Powietrznych Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych, Szkoły Orłąt czy np. Wojskowej Akademii Technicznej. Niebawem do służby w bazie trafią także absolwenci nowego kierunku w WSOSP: lotnictwo i kosmonautyka o specjalności bezzałogowe statki powietrzne. Przyszli podporucznicy jako piloci-operatorzy będą przygotowani do obsługi dronów typu MALE.

Personel bazy ma duże doświadczenie misyjne. Operatorzy służyli w Iraku i Afganistanie, a także brali udział w operacji prowadzonej przeciwko tzw. Państwu Islamskiemu w Kuwejcie. Niedawno z misji na Bliskim Wschodzie wrócił st. chor. Sławomir Przybysz, specjalista z grupy rozpoznania i analizy danych 12 Bazy. Podczas półrocznej operacji analizował zdjęcia wykonane nad

JEDNOSTKA INWESTUJE W SZKOLENIA PERSONELU, KTÓRY PRZYGOTOWUJE SIĘ DO PRZYJĘCIA NOWYCH DRONÓW

SPRZĘT

12 Baza Bezzałogowych Statków Powietrznych jest wyposażona w kilkanaście zestawów bezzałogowych statków powietrznych. Są to mini-bsp Orbiter 2014 wersja 2B. Sprzęt ten może być wykorzystywany do zdobywania informacji, kontrolowania natarcia i obrony oraz działań opóźniających. Orbiterów 2B używa się podczas dozoru terenu, wskazywania celów, oceny skutków uderzeń i ochrony własnych pododdziałów. Statek waży niecałe 10 kg. Rozpiętość skrzydeł wynosi 2,94 m przy długości 1,42 m. Bezzałogowiec porusza się zwykle na wysokości od 150 m do około 900 m z prędkością nieprzekraczającą 100 km/h. W powietrzu może utrzymywać się do trzech godzin. Bsp Orbiter może być wyposażony w różnego rodzaju głowice, np. termiczną, treningową i ze stabilizowanymi kamerami. Statki bezzałogowe sterowane są za pomocą osobistej stacji kontroli.

ARCH. 12 B B S P (3)



Bezzałogowce Orbiter wykorzystywane były także podczas misji w Afganistanie. Na zdjęciu starsza wersja bsp w okolicznościowym malowaniu wykonanym przez techników.

Irakiem przez załogi polskich F-16. „To była bardzo wymagająca praca. Zwracaliśmy uwagę na detale, śladów obecności rebeliantów szukaliśmy nawet w cieniach”, opowiada i dodaje: „Gdy dostawaliśmy zdjęcia zrobione z góry, nie zawsze było widać takie szczegóły, jak np. wieżyczki budynków czy anteny satelitarne. Ale gdy ujęcie było z ukosa, to budynki lub przedmioty rzucały cień. I on jest dla analityków bardzo ważny. Skoro znalazłem cień anteny satelitarnej na budynku, to można było przypuszczać, że mieszka w nim ktoś bogatszy i ważniejszy. Może to również sugerować, że znajduje się tam jakieś dowództwo bądź miejsce sterowania”.

Na zdjęciach wykonanych przez polskie F-16 szukał też śladów na piasku, które mogłyby sugerować drogi przemieszczania rebeliantów, a także nierówności w skałach, wskazujących na wejście do górskich tuneli. „Codziennie analizowaliśmy fotografie dróg kolejowych, samochodowych, przydrożnych przepustów. Chodziło o zdobycie informacji o tym, jakie »niespo-

dzianki« mogą tam czekać na konwoje wojsk koalicji walczącej z tzw. Państwem Islamskim”, mówi. Podoficer przyznaje, że miał świadomość wagi wykonywanych obowiązków. „Praca analityków, w tym moja, została wykorzystana do pewnych ruchów, dzięki którym siły IS w Iraku zostały prawdopodobnie zniszczone albo w dużym stopniu osłabione. Analiza obrazowa umożliwiła dowódcom wojsk koalicyjnych podejmowanie słusznych decyzji w krótkim czasie. Mogliśmy obserwować sytuację na teatrze działań niemal w czasie rzeczywistym. Można powiedzieć, że mieliśmy oko nad Irakiem”, dodaje Przybysz. Po powrocie z misji podoficer wrócił do swojego pododdziału, gdzie zajmuje się analizą materiału filmowego rejestrowanego przez bps Orbiter.

Dowództwo 12 Bazy podkreśla, że tempo szkolenia cały czas rośnie. Jednostka inwestuje w przygotowanie personelu do przyjęcia nowych dronów. Niebawem żołnierze z Mirosławca wezmą także udział w manewrach „Anakonda '18”.



PATRONAT MINISTRA OBRONY NARODOWEJ
MARIUSZA BŁASZCZAKA



PATRONAT BISKUPA POŁOWEGO WOJSKA POLSKIEGO
GEN. BRYG. JÓZEFA GUZDKA

PATRONAT SZEFĄ BIURA BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO
MINISTRA PAWŁA SOŁOCHA



22. Bieg Przełajowy "O Nóż Komandosa"

im. gen. broni Włodzimierza Potasińskiego



06 października 2018 r.
Lubliniec - Przystań Obłacka



DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW

PATRONAT MEDIOALNY



Godzina 6.00. Z lotniska w Mielcu podnosi się samolot M28 Skytruck. W środku żołnierze dwóch sekcji rozpoznawczych, którzy za kilkanaście minut opuszczą pokład i po wylądowaniu w swoim rejonie odpowiedzialności przejdą do działania. Gdy maszyna osiąga pułap 4000 m, na niebie pojawiają się

PIOTR RASZEWSKI

LĄDOWANIE NA BOJOWO

**Przerzut sił drogą powietrzną,
nocna zasadzka z użyciem
noktowizji i kilkudniowe
prowadzenie rozpoznania.
Na poligonie w Nowej Dębie
wojskowi z Hrubieszowa
udowadniali, że zwiadowca
to żołnierz wszechstronny.**

niewielkie plamki. Po chwili czasy spadochronów desantowych skutecznie przesłaniają błękit nieba nad poligonem w Nowej Dębie. Mijają kolejne sekundy i wśród pokrytych wrzosami terenów lądują pierwsi zwiadowcy. Zwinnymi ruchami składają spadochrony i w pośpiechu chowają się za jednym z nielicznych wzniesień. Gdy grupa jest w komplecie, rusza do działania. Cicho, precyzyjnie, w określonym szyku, szybko przemieszcza się i znika za majaczącymi w oddali zabudowaniami.

ŻOŁNIERZ WSZECHESTRONNY

To zwiadowcy z Hrubieszowa, którzy kilka godzin wcześniej dostali zadanie dotarcia drogą powietrzną



Dla hrubieszowskich zwiadowców zgrupowanie w Nowej Dębie to jedno z najważniejszych ćwiczeń w całym cyklu szkoleniowym.

PIOTR RASZEWSKI



Żołnierze po desantowaniu od razu przeszli do szkolenia taktycznego i ogniowego.

w swój rejon odpowiedzialności rozpoznawczej. „Zwiadowca to żołnierz wszechstronny. Szczególny nacisk trzeba położyć jednak na to, by potrafił przetrwać w nieprzyjawnym terenie i żeby informacje, które zbierze, jak najszybciej dotarły do dowódcy. Dzięki temu może on podjąć właściwą decyzję i w odpowiednim czasie zareagować na zmieniającą się sytuację na polu walki”, tłumaczy płk Artur Jakubczyk, dowódca 2 Hrubieszowskiego Pułku Rozpoznawczego. „Moi żołnierze muszą działać na tyłach przeciwnika, dlatego podczas wrześniejszego szkolenia ćwiczymy desantowanie z dużych wysokości, dotarcie do obiektu i zajęcie go, prowadzenie rozpoznania oraz monitorowanie terenu”, dodaje dowódca 2 Pułku.

Dla hrubieszowskich zwiadowców zgrupowanie w Nowej Dębie to jedno z najważniejszych ćwiczeń w całym cyklu szkoleniowym. „Nasi żołnierze z reguły oddzielnie biorą udział w zajęciach taktycznych, w szkoleniach spadochronowo-desantowych i ćwiczeniach ogniowych na strzelnicach. Podczas tego zgrupowania łączymy te elementy w całość. Tutaj też zwiadowcy utrwalają sobie wszystkie elementy działania, których uczą się w ciągu roku”, zwraca uwagę mjr Tomasz Suchecki, dowódca zgrupowania poligonowego 2 Hrubieszowskiego Pułku Rozpoznawczego, i dodaje: „Wiadomo, że każde szkolenie różni się od działań bojowych, chociażby tym, że nie ma oddziaływania sił i środków przeciwnika, ale tutaj żołnierzom pokazujemy, jak może przebiegać konkretna operacja w realnym polu walki”.

Z kolei mjr Artur Gosiewski, szef służby spadochronowo-desantowej, zwraca uwagę, że już sam element desantowania różni się od codziennych szkoleń spadochronowych. „Chcieliśmy tu sprawdzić żołnierzy pod kątem działania metodą spadochronową w różnych warunkach i z różnego rodzaju zadaniami. Założyliśmy, że będą je wykonywały tu trzy grupy rozpoznawcze, a w składzie każdej z nich dwie sekcje. Nie był to skok dla samego skoku, bo takie zajęcia z praktycznego szkolenia spadochronowego prowadzimy cyklicznie w ciągu roku. Tym razem założyliśmy, że żołnierze po desanto-

waniu od razu przejdą do szkolenia taktycznego i ogniowego”, mówi mjr Gosiewski.

Zwiadowcy skakali z wysokości 2500 i 4000 m. „Dodatkowo mieliśmy dwie sekcje, które skakały z 400 m na spadochronach desantowych grupy A, czyli okrągłych, o małej sterowności. To żołnierze, którzy są na nieco innym poziomie szkolenia. Zależało nam jednak, by również oni wzięli udział w tych ćwiczeniach”, wyjaśnia szef służby spadochronowo-desantowej w 2 Pułku Rozpoznawczym w Hrubieszowie i dodaje: „Były również skoki tandemowe. Zazwyczaj wykonujemy je na spadochronach desantowych grupy D z osobami zupełnie nieprzeszkolonymi, bo dzięki temu podnosimy umiejętności pilotów tandemów. Tu szkoliliśmy jednak ratownika medycznego. To żołnierz etatowy pułku, który nie jest objęty szkoleniem spadochronowo-desantowym, a my musimy mieć możliwość dostarczyć go bezpiecznie w rejon odpowiedzialności rozpoznawczej”.

Zwiadowcy z Hrubieszowa skakali z pełnym oporządzeniem, z zasobnikami i bronią. „Skakaliśmy ze spadochronami z grupy B z kombinowanym systemem otwarcia. Byli tutaj żołnierze, którzy robili to pierwszy raz”, przyznaje mjr Gosiewski. O ile już sam skok sprawiał wiele trudności, o tyle jeszcze trudniejszym elementem było lądowanie. Na odpowiednim terenie i w precyzyjnie określonej odległości. „Na poligonie mamy komfort. Teren, na którym mogą lądować żołnierze, jest rozległy. Zakładamy jednak, że podczas skoków bojowych będzie on znacznie ograniczony. Co więcej, im jest on mniejszy, tym zwiadowca jest w mniejszym stopniu narażony na wykrycie przez siły przeciwnika”, zaznacza mjr Artur Gosiewski.

SIŁA RAŻENIA

W zgrupowaniu poligonowym wzięły udział dwie kompanie dalekiego rozpoznania i jedna rozpoznawcza. Choć desantowanie na poligonie w Nowej Dębie stanowiło punkt kulminacyjny dwutygodniowego szkolenia zwiadowców z Hrubieszowa, to równie ważne były zajęcia taktyczne i ogniowe. „Grupy dalekiego rozpoznania organizowały m.in. zasadzki czy napady. Wcześniej jednak mu-

JESTEŚMY GOTOWI PODJAĆ DZIAŁANIA

W BARDZO KRÓTKIM CZASIE, LICZONYM W GODZINACH

sialiśmy rozpoznać rejon, następnie zsynchronizować szczegółowo nasze działania, by na poszczególnych etapach realizacji każdy znał swoje zadania”, wyjaśnia schemat zajęć taktycznych ppor. Mateusz Klimiuk, dowódca 3 kompanii dalekiego rozpoznania. „Zawsze rozpisujemy sobie i rozrysowujemy, jak będziemy działać, ilu pojazdów użyjemy i jak będziemy dzielić ogień. Chodzi o to, by efekt ogniowy, kiedy już odsłaniamy swoje pozycje, trwał jak najkrócej i był możliwie najskuteczniejszy”, przekazuje podporucznik.

Podczas zajęć taktycznych zwiadowcy z Hrubieszowa korzystali również z obecności na poligonie w Nowej Dębie innych pododdziałów. „Nawiązaliśmy współpracę na przykład z dywizjonem artylerii samobieżnej z Jarosławia i po skoku szkolno-bojowym przystąpiliśmy do obserwacji jego działań. Żołnierze dywizjonu ćwiczyli, a my prowadziliśmy obserwację, wykonywaliśmy zdjęcia, podawaliśmy do naszego sztabu ich współrzędne, lokalizację i inne niezbędne dane”, zdradza kulisy szkolenia dowódca 3 kompanii dalekiego rozpoznania.

Kompania rozpoznawcza wykonywała zadania m.in. z użyciem opancerzonych pojazdów rozpoznawczych BRDM, natomiast kompanie dalekiego rozpoznania korzystały z quadów oraz hummerów wyposażonych w wielkokalibrowe karabiny maszynowe WKM-B 12,7 mm lub karabiny maszynowe PK 7,62 mm. Zwiadowcy używali też broni indywidualnej kalibru

5,56 mm i karabinów wyborowych Alex. „Zaczęliśmy od strzelań indywidualnych, potem mieliśmy ćwiczenia przygotowawcze do strzelań bojowych. Były to głównie działania sytuacyjne, kierowanie ogniem plutonu czy grupy rozpoznawczej”, wyjaśnia ppor. Mateusz Klimiuk. Z kolei mjr Tomasz Suchecki dodaje: „Skupialiśmy się na szkoleniu ogniowym, bo w Nowej Dębie mieliśmy znacznie większe możliwości niż w garnizonie. Są tu strzelnice przystosowane do strzelań sytuacyjnych, do kierowania ogniem przez całą grupę czy nawet kompanię”, wyjaśnia dowódca zgrupowania poligonowego. „Wszystko odbywało się tak, jak na realnym teatrze działań. Dlatego po skoku żołnierze przechodzili do zadań taktycznych, a później strzelań w dzień oraz w nocy z użyciem noktowizji”, podkreśla dowódca zgrupowania poligonowego.

W WYSOKIEJ GOTOWOŚCI

Jesienią zwiadowcy z Hrubieszowa będą przechodzili kolejne szkolenia poligonowe, choć dowódca pułku nie ukrywa, że plan szkoleniowy zostanie nieco zrewidowany. „W przygotowaniu naszych żołnierzy do działania chcę się oprzeć na najnowszych koncepcjach wykorzystania pododdziałów do prowadzenia dalekiego rozpoznania”, mówi płk Artur Jakubczyk, który na początku września przejął dowództwo w 2 Hrubieszowskim Pułku Rozpoznawczym.

„Znajdujemy się na wschodniej flance NATO. Przed nami, oprócz Straży Granicznej, nie ma już nikogo. Nasz pułk w starej nomenklaturze jest nazwany jednostką pierwszej kolejności użycia. Dlatego jesteśmy gotowi podjąć działania w bardzo krótkim czasie, liczonym w godzinach. Odpowiednio zaplanowane szkolenie pozwoli nam utrzymać tę zdolność na właściwym poziomie”, kończy płk Jakubczyk. ■



Jesienią zwiadowcy z Hrubieszowa będą przechodzili kolejne szkolenia poligonowe.

Na współczesnym polu walki żołnierz musi odnaleźć się w każdych, także ekstremalnych warunkach. Oprócz terenów górskich, arktycznych oraz pustynnych należy do nich środowisko wodne. Nawet przeprawa przez rzekę, co na pierwszy rzut oka wydaje się prostym zadaniem, może nieść ze sobą nie tylko wyzwania logistyczne, lecz także poważne zagrożenia. Sytuacja komplikuje się, gdy tę czynność wykonuje się skrycie lub pod ogniem nieprzyjaciela.

Mimo szkoleń, które są prowadzone we wszystkich jednostkach liniowych Wojska Polskiego, u wielu żołnierzy niebieska taktyka wciąż powoduje stres. Wywołuje go nie tylko brak wiedzy, lecz także zwykły lęk. Poza tym, jeżeli ktoś znajdzie się w wodzie obciążony oporządzeniem, przeciętne umiejętności pływackie mogą okazać się po prostu niewystarczające.

Właśnie z tych powodów saperzy nurkowie z 16 Tczewskiego Batalionu Saperów z 21 Brygady Strzelców Podha-

łańskich prowadzą cykliczne szkolenia na Jeziorze Tarnobrzeskim, podczas których uczą kolegów z innych pododdziałów działania w środowisku wodnym. Instruktor kładzie nacisk nie tylko na zagadnienia taktyczne oraz umiejętności praktyczne, takie jak odwracanie wywróconej łodzi, lecz także na ratownictwo wodne. Od tej wiedzy może zależeć własne bezpieczeństwo oraz zdrowie i życie kolegów.

NAJWAŻNIEJSZE JEST LUDZKIE ŻYCIE

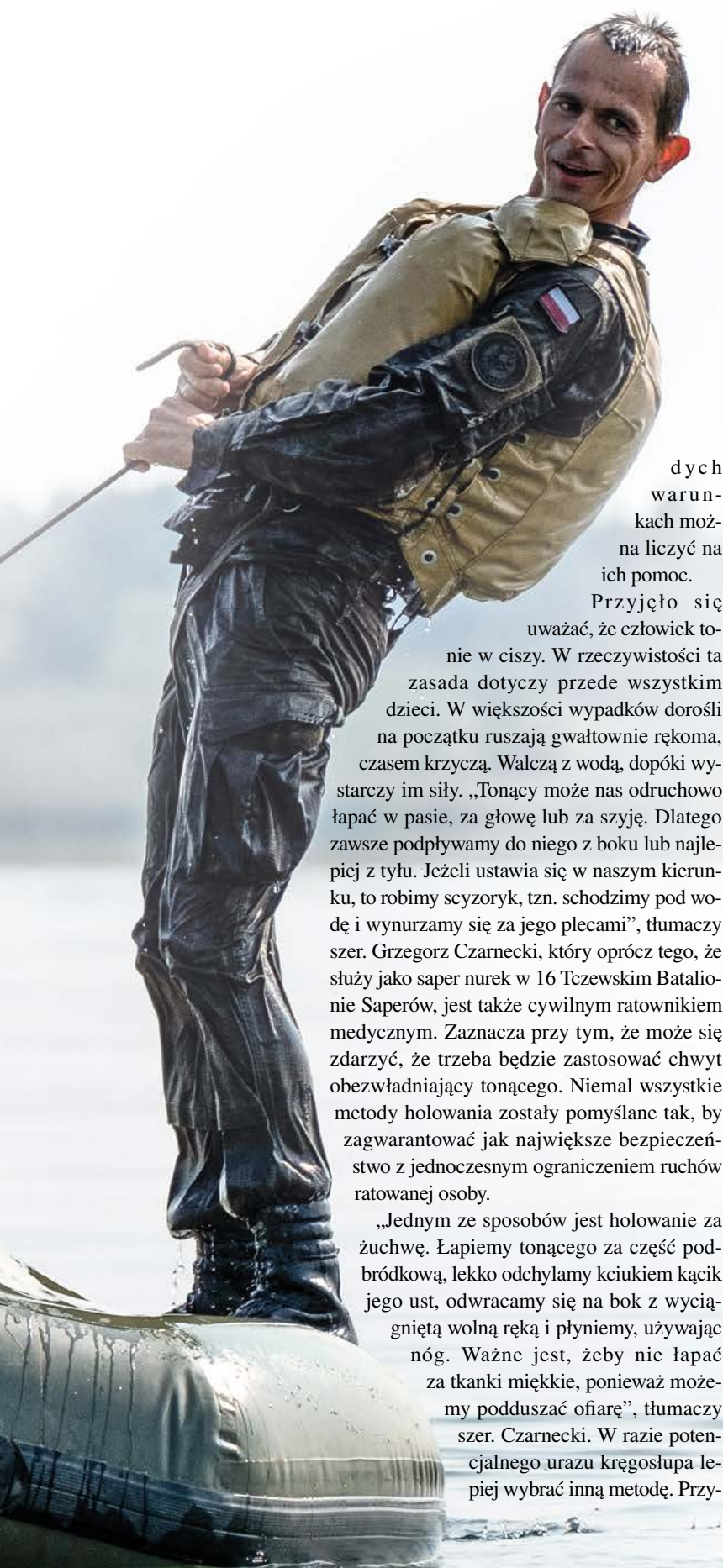
Jeżeli ktoś raz pływał w pełnym umundurowaniu, to wie, jak szybko nabiera ono wody. Już po kilku sekundach wdziera się ona w kieszenie i buty, a przemoczony materiał utrudnia każdy ruch. Gdy dodamy do tego ważącą kilka kilogramów broń, sytuacja bardzo szybko może się stać dramatyczna. Nawet podczas szkolenia zdarzają się wypadki lekkiego podtopienia, jednak wtedy nad ćwiczącymi czuwają instruktor oraz ratownicy. A przecież nie w każ-

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Zadania wykonywane w środowisku wodnym wymagają nie tylko opanowania niebieskiej taktyki, lecz także specjalistycznego przygotowania z ratownictwa.

Respekt do wody





dych warunkach można liczyć na ich pomoc.

Przyjęło się uważać, że człowiek tonie w ciszy. W rzeczywistości ta zasada dotyczy przede wszystkim dzieci. W większości wypadków dorośli na początku ruszają gwałtownie rękoma, czasem krzyczą. Walczą z wodą, dopóki wystarczy im siły. „Tonący może nas odruchowo łapać w pasie, za głowę lub za szyję. Dlatego zawsze podpływamy do niego z boku lub najlepiej z tyłu. Jeżeli ustawia się w naszym kierunku, to robimy scyzoryk, tzn. schodzimy pod wodę i wynurzamy się za jego plecami”, tłumaczy szer. Grzegorz Czarnecki, który oprócz tego, że służy jako saper nurek w 16 Tczewskim Batalionie Saperów, jest także cywilnym ratownikiem medycznym. Zaznacza przy tym, że może się zdarzyć, że trzeba będzie zastosować chwyt obezwładniający tonącego. Niemal wszystkie metody holowania zostały pomyślane tak, by zagwarantować jak największe bezpieczeństwo z jednoczesnym ograniczeniem ruchów ratowanej osoby.

„Jednym ze sposobów jest holowanie za zuchwę. Łapiemy tonącego za część podbródkową, lekko odchylamy kciukiem kącik jego ust, odwracamy się na bok z wyciągniętą wolną ręką i płyniemy, używając nóg. Ważne jest, żeby nie łapać za tkanki miękkie, ponieważ możemy podduszać ofiarę”, tłumaczy szer. Czarnecki. W razie potencjalnego urazu kręgosłupa lepiej wybrać inną metodę. Przy-

kładowo sposób żeglarski, polegający na tym, że łapie się tonącego pod łokcie i kładzie na klatkę piersiową.

Holowanie w wodzie dorosłego mężczyzny wymaga dużo wysiłku, ale zadanie to ułatwia znajomość odpowiedniej techniki. Gdy wiemy, jak ułożyć ciało, możemy uratować człowieka przerastającego nas gabarytami i obciążonego ekwipunkiem. Jeżeli jednak mamy możliwość rzucenia koła ratunkowego, liny lub nawet podania ręki z pomostu czy z łodzi, to powinniśmy ją wykorzystać. Decydując się na skok do wody, trzeba być pewnym swoich umiejętności i najlepiej robić to z asystą.

Według słów szer. Czarneckiego, już w wodzie możemy zacząć wykonywać wdechy pomocnicze. „Resuscytację osoby podtopionej zaczynamy właśnie od pięciu wdechów. Nie skupiamy się na wywoływaniu wymiotów, ale możemy się ich spodziewać. Jeżeli ofiara zwymiotuje oraz wróci jej oddech, układamy ją w pozycji bocznej, kontrolujemy parametry życiowe i czekamy na specjalistyczną pomoc”. Należy przy tym pamiętać, że w wypadku odzyskania przytomności poszkodowany może różnie reagować. Niektórzy są wystraszeni, wpadają w panikę lub nawet są agresywni. Dlatego zawsze należy pamiętać nie tylko o bezpieczeństwie ratowanego człowieka, lecz także własnym oraz osób postronnych.

ROLA DOWÓDCY

Żołnierze muszą być odpowiednio wyszkoleni z ratownictwa wodnego, ale też cały czas przygotowani do wdrożenia posiadanych umiejętności. W tym wypadku ciężar spoczywa przede wszystkim na dowódcy, który odpowiada za decyzje podejmowane na misji oraz za poziom współpracy wewnątrz swoich pododdziałów. „Dowódcy drużyny muszą mieć wiedzę, być przez cały czas elastyczni i jednocześnie pamiętać o tym, że w sytuacjach kryzysowych żołnierze będą czekać na ich decyzje. Dlatego podczas szkolenia wodnego przykładamy dużą uwagę do tego, jak oni radzą sobie w niespodziewanych sytuacjach”, wyjaśnia kpr. Bartłomiej Kawa, starszy nurek z 16 Tczewskiego Batalionu Saperów.

Scenariusz jest prosty. W czasie skrytego zajmowania brzegu jeden z żołnierzy niespodziewanie traci przytomność. Jego koledzy muszą

MICHAŁ ZIELIŃSKI





JEŻELI KTOŚ ZNAJDZIE SIĘ W WODZIE OBCIĄŻONY OPO-RZĄDZENIEM, PRZECIĘTNE UMIEJĘTNOŚCI PŁYWACKIE MOGĄ OKAZAĆ SIĘ PO PROSTU NIEWYSTARCZAJĄCE

najpierw zorientować się w sytuacji, a następnie przystąpić do ratowania ofiary, nie przerywając przy tym misji. Powodzenie tego zadania zależy od kilku czynników. Przede wszystkim trzeba jasno określić funkcje poszczególnych członków zespołu oraz cele misji jeszcze na odprawie. W jej trakcie dowódca musi zawsze panować nad sytuacją. Oznacza to, że przez cały czas powinien wiedzieć, gdzie znajdują się jego ludzie oraz w jakim są stanie. „W ćwiczy-nym elemencie nie byliśmy pod ostrzałem, jak w »Szeregowcu Ryane«, gdzie Amerykanie wysypują się na plażę w Normandii. To było skryte podejście, podczas którego ewidentnie widać, że dzieje się coś złego. Ostatnia chwila, kiedy dowódca może się zorientować, że brakuje jednego człowieka, następuje w czasie liczenia po wyjściu na brzeg. Ale jeśli żołnierz zobaczy, że jego kolega ma problemy, to powinien od razu zareagować”, podkreśla kpr. Kawa.

Podobne zachowanie obowiązuje także, gdy dochodzi do kontaktu z przeciwnikiem. Zgodnie z zasadami udzielania pomocy na polu walki powinniśmy zadbać przede wszystkim o własne bezpieczeństwo, ale jeżeli tylko jest taka możliwość, to lepiej od razu przeciągnąć rannego kole-gę w bezpieczne miejsce, niż po niego wracać. W przeciwnym wypadku nie tylko tracimy cenny czas, lecz także

narażamy się na większe niebezpieczeństwo. „Chcemy na-uczyć ludzi błyskawicznej reakcji na niespodziewane sytu-acje. Dążymy do tego, żeby ratowanie ludzkiego życia oraz zdrowia było naturalnym odruchem”. Kpr. Kawa do-daje, że codzienność może być równie zaskakująca. Po 20 latach wspólnej służby w najmniej odpowiednim momen-cie możemy się dowiedzieć, że nasz kolega nie potrafi pły-wać, poza tym nawet w najlepszych warunkach zdarzają się na przykład złamania kończyn. Także w wodzie.

Ze względu na ekstremalne środowisko pracy oraz za-dania, które muszą wykonywać nurkowie, nieodłącznym elementem ich służby jest doskonalenie własnych umieję-tności. Pod wodą nie tylko prowadzą rozpoznanie, lecz tak-



Tonący może nas odruchowo łapać w pasie, za głowę, czasem za szyję. Dlatego zawsze podpływamy do niego z boku lub najlepiej z tyłu.

MICHAŁ ZIELIŃSKI (4)

że podkładają oraz rozbrajają ładunki wybuchowe. Wszystko to może odbywać się w skażonych wodach, we wrakach zatopionych okrętów lub pod lodem. „To są trzy najbardziej niebezpieczne sytuacje. Wrak może się w każdej chwili przemieścić pod wpływem działania prądów wodnych lub z powodu niestabilnego podłoża, a z kolei w jego wnętrzu łatwo uszkodzić sprzęt. Łód natomiast może po prostu uniemożliwić wynurzenie”, tłumaczy kpr. Bartłomiej Kawa.

INNY ŚWIAT

Już od samego początku szkolenia nurkowego przykładają się olbrzymią wagę do umiejętności ratowania życia, zarówno własnego, jak i kolegów. Wszystkie systemy w wyposażeniu nurkowym są zdublowane, ale wciąż nie wyklucza to wystąpienia urazu pod wodą oraz awarii mechanicznych. Wówczas żołnierz musi polegać wyłącznie na własnym doświadczeniu. Nurkowie przyznają, że pod wodą zdarzają się niebezpieczne sytuacje, ale właśnie ze względu na wysoki poziom szkolenia niezwykle rzadko kończą się one w poważny sposób.

„Przed zejściem pod wodę sprawdzamy sprzęt oraz dokonujemy zanurzenia kontrolnego. Przez cały czas pły-

wamy w parach i obserwujemy swoje zachowanie. Jednocześnie jesteśmy połączeni liną i za jej pomocą możemy w wypadku słabej widoczności zasygnalizować problem”, opisuje szer. Grzegorz Czarnecki. Gdy dojdzie do niebezpiecznego zdarzenia, nurek czuwający na powierzchni ma maksymalnie minutę na to, by wspomóc akcją ratunkową. „W razie omdlenia zwiększam przepływ powietrza w automacie kolegi i rozpoczynam procedurę wynurzania. Całość musi przebiegać spokojnie, gdyż zbyt szybki powrót na powierzchnię grozi urazem ciśnieniowym”, dodaje Czarnecki.

Najczęstsze awarie występujące pod wodą polegają na utracie balastu lub niepożądanym napełnieniu kamizelki wypornościowej. W obu wypadkach doprowadza to do niekontrolowanego wynurzenia, które należy zatrzymać lub spowolnić. Pomagają w tym specjalne zawory, umożliwiające wyrzucenie zbędnego powietrza. Pomocne mogą się okazać także maksymalne wypuszczenie go z płuc oraz reakcja innego nurka. Zdarzają się także sytuacje odwrotne, w których skafander nabiera wody i powoduje opadanie na dno. „W takim wypadku możliwie szybko dopompowujemy kamizelkę wypornościową lub skafander. Jest to bardzo trudne, ponieważ musimy balansować między opadaniem w wyniku awarii i niekontrolowanym wynurzeniem”, tłumaczy kpr. Kawa i wspomina własne doświadczenia, gdy awarii uległ system zapatrujący go w tlen.

Za pierwszym razem zamarzał automat, czyli urządzenie podające sprężone powietrze. W czasie zanurzenia na większą głębokość może do tego dojść nawet latem, ponieważ w ciepłe dni temperatura wody poniżej 25 m oscyluje wokół 5°C. Drugi wypadek był znacznie poważniejszy. „To było jeszcze w czasach, kiedy nie mieliśmy podwójnych systemów. Przewód podający tlen odpadł od butli, a ja w pewnym momencie, zamiast powietrzem, zaciągnąłem się wodą. Obecnie po prostu odrzuciłbym jeden system i przeszedł na drugi, ale wtedy nie było takiej możliwości. Odruchowo chciałem uciekać na powierzchnię. Gdyby nie mój kolega, który przytrzymał mnie i podał tlen ze swojego automatu, to najprawdopodobniej doświadczyłbym urazu dekompresyjnego”.

Kpr. Kawa podkreśla, że w ratownictwie pomaga nie tylko trening i doświadczenie, lecz także opanowanie. Każdy człowiek czuje naturalny lęk przed wodą, jednak dzięki odpowiednim szkoleniom może go ograniczyć, a nawet wyciągnąć z niego korzyść. Jest jeszcze trzeci, najważniejszy czynnik. „Zawsze powinniśmy móc liczyć na kolegę obok i mieć pewność, że odpowiednio szybko zareaguje. Dlatego w wojsku nurkujemy w parach, a zadania wykonujemy w drużynach. Razem tworzymy jedność”.



**Eskalacja terroryzmu wymusiła
na armiach NATO intensyfikację szkolenia
z obrony przed bronią masowego rażenia.**

BOGUSŁAW POLITOWSKI

SZKOLENIE WYSOKIEGO RYZYKA

Na poligonie w Drawsku Pomorskim powstało centrum szkoleniowe, umożliwiające wszechstronne przygotowanie żołnierzy do obrony przed bronią masowego rażenia (OPBMR). Pod względem nowoczesności i innowacyjności rozwiązań jest to jedyny taki obiekt w Europie i drugi na świecie. Podobny istnieje tylko w Teksasie w Stanach Zjednoczonych. Specjaliści z Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia Inspektoratu Rodzajów Wojsk Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych prace koncepcyjne nad utworzeniem nowoczesnego ośrodka szkoleniowego rozpoczęli kilka miesięcy po podpisaniu zobowiązań praskich, podjętych podczas szczytu NATO w 2002 roku. Budowa rozpoczęła się pod koniec 2012 roku, ale prace testowe i kontrolne zakończą się dopiero w 2019 roku, po zamknięciu programu szkolenia pilotażowego.

„Jest to najbardziej nowoczesny i zarazem najbardziej zaawansowany technicznie obiekt szkoleniowy, jaki mamy na poligonie”, mówi płk Marek Gmurski, komendant Centrum Szkolenia Wojsk Lądowych. I dodaje, że od początku w prace zostali zaangażowani naukowcy z Wojskowej Akademii Technicznej. „W tunelu skażeń zastosowano wiele nowatorskich rozwiązań. Niektóre urządzenia sprowadzono z zagranicy”. Gospodarz poligonu przyznaje, że do części prac trudno było znaleźć wykonawców.

UWAGA, SKAŻONY TEREN

Nowy obiekt zajmuje teren o powierzchni ponad 8 km². Całość podzielono na sektory, każdy został przystosowa-

ny do innego rodzaju zajęć. Najważniejszy jest tunel skażeń, w którym będą używane bojowe środki chemiczne i promieniotwórcze. Przypomina on wielką hermetyczną halę, na tyle dużą, że specjalistycznym pojazdem rozpoznania chemicznego może tam wjechać cała drużyna.

Gdy wóz znajdzie się w środku, zostanie rozpylony środek trujący lub wyłożony materiał promieniotwórczy. Wówczas urządzenia pojazdu lub przenośne przyrządy rozpoznania skażeń zasygnalizują obecność w środowisku niebezpiecznej substancji. Żołnierze będą musieli wysiąść, pobrać próbki, sporządzić odpowiednie meldunki i przesłać je przełożonym. W tej hali wojskowi będą ćwiczyli także likwidowanie wykrytych skażeń. W jednej z pięciu komór tunelu znajduje się strefa, gdzie zostanie dokładnie sprawdzone, czy procedurę odkażania przeprowadzono skutecznie. Specjaliści wojsk chemicznych będą mogli także skontrolować stan urządzeń filtrowentylacyjnych oraz szczelność pojazdów rozpoznania chemicznego.

Zanim powstał ośrodek, szkolenie odbywało się w wyznaczonym rejonie poligonu, gdzie stosowano niewielkie ilości bojowego środka trującego w postaci iperytu technicznego. „Na wolnym powietrzu, do specjalnych metalowych rynienek wypełnionych piaskiem załoga laboratorium chemiczno-radiometrycznego nanosiła kilka kropel iperytu. Ręczne przyrządy wykrywania skażeń rejestrowały jego obecność, ale trudno było mówić, że żołnierze działali na skażonym terenie. Teraz będą mieli świadomość, że wykonują zadania

PRASKIE ZOBOWIĄZANIE

W Pradze 21–22 listopada 2002 roku odbył się szczyt NATO, podczas którego zapadły m.in. decyzje odnośnie do wzmocnienia zdolności sojuszu do obrony przed cyberatakami oraz koncepcji wojskowej obrony przed terroryzmem. Wówczas powstało także zobowiązanie, nazywane praskim, w sprawie zdolności wojskowych (Prague Capabilities Commitment – PCC) podjęte w celu polepszenia efektywności obrony przed atakiem chemicznym, biologicznym, radiologicznym i nuklearnym.



W NOWYM OBIEKCIE MOŻE SIĘ SZKOLIĆ RÓWNOCZEŚNIE 400 ŻOŁNIERZY, WYKORZYSTUJĄCYCH STO POJAZDÓW SPECJALISTYCZNYCH, TRANSPORTOWYCH I BOJOWYCH.

W CENTRUM ZBUDOWANO NIEZALEŻNĄ KANALIZACJĘ Z SYSTEMEM OCZYSZCZANIA ŚCIEKÓW I SYSTEMY FILTROWENTYLACYJNE

w środowisku naprawdę niebezpiecznym”, mówi płk Bogusław Kot, zastępca szefa Zarządu OPBMR Inspektoratu Rodzaju Wojsk DGRSZ

Na terenie ośrodka znajduje się również rejon, gdzie z rozpoznania skażeń będą się szkoliły pododdziały wszystkich rodzajów wojsk oraz zespoły pobierania prób z pododdziałów ratownictwa chemicznego. Odrębnym miejscem jest plac likwidacji skażeń ludzi, uzbrojenia i sprzętu. Szkolący się mogą również skorzystać ze specjalnego terenu zurbanizowanego, gdzie uczą się ewakuacji poszkodowanych z budynków mieszkalnych, hal przemysłowych czy laboratoriów, a nawet ze śmigłowca i wagonów kolejowych.

Na terenie nowego ośrodka powstało także miejsce ochrony przed środkami zapalającymi z prawdziwego zdarzenia. Żołnierze doskonalą się tam nie tylko w pokonywaniu napalmowego toru przeszkód, co nie jest żadną nowością, lecz także w ewakuacji ludzi, na przykład z wnętrza pojazdów, a także, co ważne, zabezpieczania się przed działaniem środków zapalających. Oprócz tego na kolejnym placu załogi wozów bojowych mogą ćwiczyć stawianie zasłon dymnych za pomocą wyrzutni granatów dymnych zamontowanych na pojazdach.

Ośrodek został przystosowany do treningów z wykorzystaniem systemów zbiorowej ochrony przed skażeniami Ozyrys. Dla ćwiczących przygotowano też ukrycia dla czołgów, pojazdów terenowych oraz transporterów opancerzonych. Są tam stanowiska dla specjalistycznych instalacji rozlewczych IRS, a także posterunki obserwacyjne, służące m.in. do nauki określania oraz pomiaru wysokości i szerokości czy lokalizacji „grzyba”, czyli obłoku powstającego po wybuchu jądrowym.

Na terenie nowego obiektu znajdują się dwie przestronne sale wykładowe przeznaczone do nauki podejmowania działań z OPBMR, a także budynek, w którym można zakwaterować do 20 osób.

POLIGON PRO EKO

Już na etapie tworzenia planów budowy ośrodka pomyślano o ekologii. Dlatego zbudowano niezależną kanalizację z systemem oczyszczania ścieków, systemy filtrowentylacyjne i wszystko, co niezbędne, aby żadne substancje chemiczne nie mogły przedostać się do środowiska. Większość placów ćwiczeń została wybetonowana.

Paradoksalnie dbałość o środowisko sprawiła, że obiekt ma pewne wady. Szkolenie wojsk nie może się bowiem odbywać z zachowaniem taktycznych odległości. Żołnierze, którzy w warunkach bojowych ustawialiby pojazdy i wykonywali zadania w trudnym terenie, najczęściej w lasach między drzewami, tutaj mają do dyspozycji betonowe podłoże. Kpt. Natalia Żukowska, dowódca 1 kompanii chemicznej z 6 Batalionu Chemicznego Sił Powietrznych ze Śremu, którego żołnierze zainaugurowali cykl pilotażowego szkolenia specjalistycznego w nowym ośrodku, przyznaje jednak, że robi on wrażenie. Jej zdaniem niewątpliwym plusem jest to, że będzie można się szkolić z użyciem prawdziwych bojowych środków trujących i substancji promieniotwórczych. „Co prawda, szkolenie nie odbywa się w realistycznych warunkach, ale ośrodek jest miejscem bardzo dogodnym do zgrywania drużyn i plutonów oraz umożliwia dowódcom korygowanie wszystkich błędów żołnierzy”, podsumowała kapitan. ■



Jacek Bednarz



Dlaczego zostałem krwiodawcą?

Przygodę z krwiodawstwem rozpocząłem 33 lata temu. Byłem wtedy podchorążym pierwszego roku Wyższej Szkoły Oficerskiej Inżynierii Wojskowej im. gen. Jakuba Jasińskiego we Wrocławiu. Po porannym apelu, gdy jeden z wykładowców powiedział nam, o co chodzi w krwiodawstwie, duża grupa podchorążych poszła oddać krew. Wtedy po raz pierwszy ogarnęło mnie miłe uczucie, że ktoś tak zwyczajnie pomogłem. Do-

MICHAŁ NIWICZ

stałem kilka czekolad i dwa dni dodatkowego urlopu. Po donacji przysługiwało nam pół stugramowej paczki ziarnistej kawy, w 1985 roku towaru deficytowego. Rzadko który podchorąży pił wtedy naturalną kawę. Nie mieliśmy ani młynka, ani czajnika. Za symboliczną kwotę odstępowaliśmy kawę pielęgniarkom.

Pamiętam też, jak kiedyś po koleżę z plutonu przyjechała w nocy karetka na sygnale. Jego rzadkiej grupy

krw uratowała rannego w wypadku. Patrzyliśmy na tego żołnierza z szacunkiem, a on powtarzał, że żaden z niego bohater.

Można powiedzieć, że oddawanie krwi weszło mi w krew. Zachęcałem żołnierzy służby zasadniczej do odwiedzania punktów krwiodawstwa w Stargardzie, Szczecinie i w ich miejscach zamieszkania.

W 2001 roku zostałem członkiem Wojskowego Klubu HDK w Szczecinie. Znalazłem się wśród podobnych mi pasjonatów i zapaleńców. Zgodnie z naszym mottem: „Pomaganie mamy we krwi” organizujemy akcje przy okazji świąt resortowych i państwowych. Rejestrujemy kolejne setki potencjalnych dawców szpiku kostnego. Z zabawkami i czekoladami odwiedzamy dzieciaki w placówkach wychowawczych.

Teraz przygotowujemy się do obchodów trzydziestolecia naszego klubu. Największą satysfakcją nie jest dla mnie Kryształowe Serce i inne odznaczenia, które z dumą noszę, lecz świadomość, że bezinteresownie komuś pomagam. ■

HONOROWY
KRWIODAWCA

KPT. JACEK
BEDNARZ

Służba: 2 Stargardzki Batalion
Saperów

- krwiodawca od 1985 roku
- oddał 79 l krwi oraz jej składników
- prezes Wojskowego Klubu Honorowych Dawców Krwi w Szczecinie

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

BONIFIKATA CZY ŚWIADCZENIE MIESZKANIOWE?

Dwa lata temu razem z mężem, żołnierzem zawodowym, wykupiliśmy na preferencyjnych warunkach od miasta mieszkanie – kawalerkę o powierzchni 25 m². O tym, że jeśli żołnierz lub jego małżonka wykupią od państwa, WAM-u lub jednostki samorządu terytorialnego lokal mieszkalny z bonifikatą, to nie przysługuje im świadczenie mieszkaniowe, dowiedzieliśmy się w momencie podpisania przez męża nowego kontraktu. Teraz chcielibyśmy zamienić mieszkanie na większe. Jestem jednak osobą niepracującą, dlatego nie bierzemy pod uwagę kredytu. Czy są jakieś możliwości przywrócenia świadczenia mieszkaniowego? Czy sprzedaż mieszkania, darowizna rodzicom lub zwrot do gminy byłyby podstawą do przywrócenia wspomnianego świadczenia?

→ **Zagadnienia związane m.in. ze świadczeniem mieszkaniowym zostały uregulowane w ustawie z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej.** Skoro zatem żołnierz zawodowy nabył od jednostki samorządu terytorialnego lokal mieszkalny z bonifikatą, ziściła się przesłanka z art. 21 ust. 6 pkt 3 wspomnianej ustawy, zgodnie z którą nie przysługuje mu prawo do zakwaterowania. Taka

interpretacja została także potwierdzona przez orzecznictwo, chociażby w wyroku z 12 lutego 2015 roku, gdzie Naczelny Sąd Administracyjny wskazał: „Jeżeli żołnierzowi lub jego małżonkowi kiedykolwiek udzielono pomocy ze środków publicznych na cele mieszkalne, to fakt ten stanowi przeszkodę w realizacji prawa do zakwaterowania unormowanego w art. 21 ust. 1 ustawy z 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej” (sygn. akt I OSK 1037/13). W tej sprawie była też rozważana kwestia sprzedaży lokalu nabytego uprzednio z bonifikatą. Zdaniem NSA, w świetle art. 21 ust. 6 pkt 3 ustawy o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych RP istotne jest wyłącznie wcześniejsze skorzystanie z pomocy finansowej państwa w zaspokojeniu potrzeb mieszkaniowych. W pani wypadku zatem nie może być mowy o ponownym przyznaniu świadczenia mieszkaniowego. ■

DAMIAN MAZANOWSKI

Kancelaria Radców Prawnych S.C.

K. Przymęcka & J.P. Przymęcki

Podstawa prawna: art. 21 ust. 1, 2 i 6 pkt 3 ustawy z 22 czerwca 1995 roku o zakwaterowaniu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej (DzU z 2018 poz. 133 z późn. zm.).

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

PROCENTY ZA MISJĘ

W latach 2011–2012 i 2014–2015 służyłem jako obserwator wojskowy Misji Stabilizacyjnej ONZ MONUSCO w Demokratycznej Republice Konga. Czy w związku z tym mogę liczyć na dodatek do emerytury? Czy coś mi się należy w związku z tą służbą?

→ **Tak. Powyższą kwestię regulują przepisy rozporządzenia Rady Ministrów.** Podwyższa się to świadczenie o 0,5% podstawy wymiaru za każdy rozpoczęty miesiąc pełnienia służby w strefie działań wojennych w polskich kontyngentach wojskowych wydzielonych z Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej. Dotyczy to również żołnierzy kierowanych do pełnienia służby w tej strefie z polskich przedstawicielstw wojskowych oraz polskich zespołów łącznikowych przy organizacjach międzynarodowych i międzynarodowych strukturach wojskowych albo bezpośrednio z międzynarodowych organizacji oraz struktur wojskowych i obcych jednostek wojskowych (§ 4 pkt 2 rozporządzenia). Niewątpliwie udział w charakterze

obserwatora wojskowego w misji MONUSCO w Demokratycznej Republice Konga pełnionej w latach 2011–2012 i 2014–2015 można zaliczyć do służby pełnionej przy Organizacji Narodów Zjednoczonych. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Podstawa prawna: rozporządzenie Rady Ministrów w sprawie szczególnych warunków podwyższania emerytur wojskowych z 15 lipca 2011 roku (DzU nr 159 poz. 946) – § 4 pkt 2).

Podstawę prawną funkcjonowania polskich sił w Kongu stanowiły: ustawa z 17 grudnia 1998 roku o zasadach użycia lub pobytu Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej poza granicami państwa (DzU nr 162 poz. 1117 oraz z 2004 roku nr 210 poz. 2135); postanowienie prezydenta RP z 27 kwietnia 2006 roku o użyciu Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Demokratycznej Republice Konga; postanowienie prezydenta RP z 22 listopada 2006 roku o przedłużeniu użycia Polskiego Kontyngentu Wojskowego w operacji wojskowej Unii Europejskiej w Demokratycznej Republice Konga oraz w Republice Gabońskiej; rezolucja Rady Bezpieczeństwa ONZ 1671 z 26 kwietnia 2006 roku; postanowienie Rady UE 2006/319/CFSP z 27 kwietnia 2006 roku.

ODWOŁANIE OD ORZECZENIA

Jestem żołnierzem narodowych sił rezerwowych, w 2017 roku ukończyłem szkolenie w ramach służby przygotowawczej. Potem pojawiła się możliwość otrzymania etatu w jednostce wojskowej. W marcu przeszedłem badania. Niestety okazało się, że miałem pozytywny wynik badania na obecność opiatów. Nie spodziewałem się tego, tym bardziej że nigdy nie miałem do czynienia z narkotykami czy innymi substancjami psychoaktywnymi. Odwołanie do Centralnej Wojskowej Komisji Lekarskiej nic nie dało i dostałem kategorię niezdolny do służby. Czy można w jakiś sposób ją zmienić? Czy mogę złożyć wniosek z prośbą o powtórne badanie?

→ **Kandydat na żołnierza zawodowego w narodowych siłach rezerwowych może na nowo wdrożyć procedurę przyjęcia do służby.** Z uwagi na dość okrojony stan faktyczny podany przez autora pytania trudno jest określić, jakie konkretnie zarzuty zostały przez niego po-

stawione w odwołaniu. Na ostateczne orzeczenie właściwej komisji lekarskiej w części dotyczącej oceny zdolności do służby przysługuje skarga do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie. Trzeba to zrobić w ciągu 30 dni, licząc od dnia następnego, w którym doręczono orzeczenie CWKL-u. Skargę adresujemy na Wojewódzki Sąd Administracyjny w Warszawie, lecz wysyłamy ją listem poleconym bezpośrednio na adres Centralnej Komisji Lekarskiej w Warszawie. Skarga zostaje przekazana do sądu przez organ, który wydał decyzję w drugiej instancji. Należy też pamiętać, aby dokument został podpisany i wysłany w dwóch egzemplarzach. W wypadku wydania wyroku, na mocy którego dojdzie do uchylenia orzeczenia CWKL-u, organ ten będzie zobligowany do ponownego rozpoznania sprawy. Sąd ma również uprawnienia do uchylenia orzeczenia organu orzeczniczego pierwszej instancji. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Radcy Prawnego Egida

Podstawy prawne: ustawa z 30 sierpnia 2002 roku – Prawo o postępowaniu przed sądami administracyjnymi (DzU nr 153, poz. 1270 z późn. zm.) – art. 50 § 1, art. 53 § 1, art. 54 § 1 oraz art. 134 § 1 i art. 135.

SPRAWY ŻOŁNIERZY

STRZELNICE W POWIECIE konkurs MON-u

**Trwa nabór wniosków do monowskiego programu budowy strzelnic.
Konkurs zostanie rozstrzygnięty 19 października.**

Zainicjowany w MON-ie program „Strzelnica w powiecie” jest odpowiedzią na zwiększające się wśród Polaków zainteresowanie sportem strzeleckim oraz kwestiami bezpieczeństwa. Pod koniec sierpnia resort ogłosił konkurs – adresowany do jednostek samorządu terytorialnego (gminy, powiatu lub województwa) – na budowę nowych obiektów lub remont już istniejących. Podmioty, które wygrają konkurs, będą mogły otrzymać od MON-u dotację w wysokości do 80% wartości projektu.

W odniesieniu zarówno do budowy, jak i rewitalizacji strzelnic już istniejących, MON postawiło oferentom konkretne wymagania w dwóch wariantach. W pierwszym dofinansowanie na budowę może wynieść maksymalnie 800 tys. zł, a na remont – 400 tys. W tym wypadku wymagane jest m.in., aby na obiekcie w jednym czasie mogło się szkolić minimum sześć osób, by można było wykonywać strzelania na odległość do 100 m oraz by była możliwość prowadzenia ich z różnych linii otwarcia ognia.

W drugim wariancie dotacja może być wyższa – maksymalnie 1,2 mln na budowę lub 600 tys. zł na remont – ale też trzeba spełnić większe wymagania. Powinno być miejsce do strzelania jednocześnie dla co najmniej dziesię-

ciu osób, na odległość do 200 m, z użyciem dziewięciu podnośników figur bojowych. Strzelnice w obu wariantach muszą mieć utwardzone stanowiska. Każdy z obiektów powinien też umożliwić strzelanie z małokalibrowej i średniokalibrowej broni osobistej, z wykorzystaniem amunicji kalibru nie większego niż 7,62 mm i amunicji pistoletowej kalibru nie większego niż 9 mm.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi 19 października. Komisja w pierwszej kolejności będzie brała pod uwagę lokalizację w tych powiatach, na których terenie znajdują się garnizony, a brakuje tam strzelnic wojskowych, gdzie zostały sformowane oddziały wojsk obrony terytorialnej, a także tam, gdzie są prowadzone klasy wojskowe, zwłaszcza te biorące udział w programie MON-u.

Samorząd, który otrzyma dotację, będzie zobowiązany do nieodpłatnego udostępniania wybudowanej lub wyremontowanej strzelnicy na potrzeby wojska (100 godzin w miesiącu), organizacji proobronnych (do 30 godzin w miesiącu) oraz uczniów szkół, które prowadzą działalność dydaktyczno-wychowawczą w dziedzinie obronności państwa (do 30 godzin w miesiącu). W tym roku MON przeznaczy na program 40 mln zł. PG ■

BĘDZIE KRÓCEJ I BARDZIEJ PRAKTYCZNIE

**Nowy program szkolenia podstawowego
dla kandydatów na żołnierzy.**

Jak dotychczas, program szkolenia podstawowego, obejmującego m.in. naukę regulaminów, musztry, podstaw łączności, logistyki i zasad

posługiwania się bronią, trwał trzy miesiące. Okazało się jednak, że zarówno treści, jak i czas trwania wymagają zmian.

Dlatego przedstawiciele Zarządu Planowania Użycia Sił Zbrojnych i Szkolenia (P3/P7) Sztabu Generalnego WP we współpracy z przedstawicielami jednostek szkolnictwa wojskowego przygotowali nowelizację programu.

Zakłada ona, że szkolenie podstawowe będzie trwało siedem tygodni i zostanie ukierunkowane przede wszystkim na praktyczne przygotowanie ochotników. Kandydaci na żołnierzy więcej czasu poświęcą na

Zmiany w przepisach awansowych

MON przygotowało przepisy określające procedury awansu terytorialsów oraz ćwiczących rezerwistów.

Chodzi o nowelizację rozporządzenia MON-u z 30 kwietnia 2010 roku w sprawie mianowania na stopnie wojskowe. Jedną ze zmian w projekcie jest ta, która dotyczy żołnierzy terytorialnej służby wojskowej. Jak dotąd, nie było podstaw prawnych awansowania ich na kolejne stopnie.

Projekt zakłada, że mianowanie żołnierzy OT na kolejny stopień wojskowy będzie mogło nastąpić nie wcześniej niż po roku od ostatniego awansu. Na starszego szeregowego w WOT będzie mógł zostać mianowany żołnierz, który m.in. osiągnie bardzo dobre wyniki z wykonywania zadań służbowych oraz dyscypliny wojskowej.

W przypadku awansu na pierwszy stopień podoficerski (kaprała) żołnierz będzie musiał dodatkowo odbyć kurs podoficerski i zdać egzamin. By awansować w ramach tego korpusu, terytorials będzie musiał mieć też m.in. pozytywną opinię służbową, kwalifikacje wojskowe wymagane na danym stanowisku oraz co najmniej trzyletni staż służby czynnej. Na podobnych zasadach będą się odbywać

awanse w korpusie oficerskim. Tu konieczne będzie odbycie kursu oficerskiego i zdanie egzaminu, ważne też będą bardzo dobre wyniki z wykonywania zadań służbowych oraz dyscypliny wojskowej. Kolejne stopnie oficerskie będą mogli zdobywać wyłącznie żołnierze, którzy mają za sobą pięć lat służby czynnej.

Projekt przewiduje również zmiany w awansach rezerwistów. Obecnie mogą być mianowani żołnierze rezerwy, którzy aktualnie nie odbywają ćwiczeń wojskowych. Po zmianach przepisów na awans będą mogli liczyć także ci, którzy w danym momencie biorą udział w ćwiczeniach. Zwiększą się jednocześnie wymogi do awansu. Obecnie jedynym czynnikiem warunkującym mianowanie na kolejny stopień wojskowy jest czas szkolenia. Propozycje zakładają, że dojdzie również wymóg otrzymania bardzo dobrej oceny z opinii służbowej.

Projekt wprowadza też zmiany mające ograniczyć mianowanie żołnierzy czynnej służby wojskowej tylko do kolejnego wyższego stopnia wojskowego. Obecnie w rozporządzeniu mowa o mianowaniu na wyższy stopień, bez precyzowania, że musi to być jeden stopień w górę.

Projektowana nowelizacja na nowo określa też zasady mianowania osób niepodlegających obowiązkowi służby (z racji ukończonego wieku lub stanu zdrowia). Resort obrony zaproponował możliwość awansu do wyższego stopnia wojskowego bez konieczności bezwzględnego przestrzegania rygoru zachowania kolejności stopni wojskowych. PG

**MIANOWANIE
ŻOŁNIERZY OT
na kolejny stopień
wojskowy będzie
mogło nastąpić
nie wcześniej niż po**

1 roku
od ostatniego
awansu.

taktykę, zajęcia terenoznawstwa czy szkolenie medyczne, a także na treningi strzeleckie. Novum w programie będą elementy kursu SERE poziomu A. W programie została natomiast ograniczona liczba godzin zajęć teoretycznych, zwłaszcza z tych przedmiotów, które nie są bezpośrednio związane z przygotowaniem wojskowym. Chodzi tu m.in. o kształcenie obywatelskie, szkolenie prawne oraz BHP. To ostatnie na przykład ma być prowa-

dzzone przed zajęciami praktycznymi ze sprzętem wojskowym.

Przyjęte zmiany pozwolą na unifikację szkolenia kandydatów na żołnierzy na potrzeby wszystkich korpusów osobowych. Krótszy kurs podstawowy będzie miał pozytywny wpływ także na szkolenie ochotników służby przygotowawczej. W przypadku przygotowania elewów na potrzeby korpusu szeregowych, trwało ono w sumie cztery miesiące (trzy – szkolenie podstawowe

plus miesiąc specjalistyki). W praktyce żołnierz uczący się przez miesiąc np. na operatora maszyn inżynieryjnych, nie spełniał wymagań, by otrzymać uprawnienia nadawane przez instytucje cywilne. Przyjęte rozwiązania pozwolą więc wydłużyć szkolenie specjalistyczne tak, by po dwóch miesiącach żołnierz spełniał warunki do przystąpienia do egzaminu potwierdzającego nabycie umiejętności niezbędnych do otrzymania uprawnień. PG

ARSENAŁ

/ PRZEGLĄD



MICHAŁ NIWICZ

KRZYSZTOF WILEWSKI

TARGOWISKO RÓŻNOŚCI

Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego to już **marka sama w sobie**. W tym roku na kieleckich targach znów podpisano lukratywne kontrakty i pokazano ciekawe nowości zbrojeniowe.



P

rawie 35 tys. zwiedzających i aż 625 wystawców z 31 krajów. Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego w Kielcach to trzecia co do wielkości impreza wystawiennicza branży obronnej w Europie. Większe od polskich są tylko targi Eurosatory w Paryżu oraz Defence and Security Equipment International w Londynie. Tegoroczna edycja nie zawiodła gości. Podobnie jak przed rokiem, podpisano ważne kontrakty zbrojeniowe.

UMOWY I KONFERENCJE

Największą pod względem wartości umową zawartą w czasie targów była ta na dostawę 11 produkowanych przez należącą do Polskiej Grupy Zbrojeniowej spółkę PIT-Radwar mobilnych trójwspółrzędnych radarów średniego zasięgu NUR-15M Odra. Urządzenia, które umożliwiają określenie zarówno wysokości czy odległości, jak i azymutu śledzonego obiektu, mają zastąpić używane przez siły powietrzne radary NUR 31, dostarczające dane o odległości i azymucie celu, oraz wysokościomierze NUR-41.

W Kielcach podpisano również uroczyscie, w obecności ministra obrony narodowej Mariusza Błaszczaka, kolejne trzy umowy związane z kontraktem na dostawę zestawów rakietowych średniego zasięgu Patriot. Dwie dotyczyły szkolenia naszych żołnierzy z obsługi tej broni – w USA i w Polsce, trzecia była związana ze sprzedażą urządzeń kryptograficznych MIDS systemu Link-16.

W czasie kieleckich targów odbyło się w tym roku aż 18 konferencji naukowych i sympozjów. Trzy ministerstwa: Obrony Narodowej, Spraw Zagranicznych oraz Przedsiębiorczości i Technologii, zaprosiły np. przedstawicieli przemysłu obronnego na spotkanie poświęcone pozyskiwaniu środków z Europejskiego Funduszu Obronnego oraz Europejskiego Programu Rozwoju Przemysłu Obronnego, a Inspektorat Wsparcia Sił Zbrojnych na seminarium „Biznes z wojskiem to pewne pieniądze”, mające na celu przybliżenie przedstawicielom firm meandrów wojskowych norm i przepisów, regulujących pozyskiwanie nie tylko nowego uzbrojenia i sprzętu wojskowego, lecz także różnego typu usług, w tym szkoleniowych i serwisowo-naprawczych.

KIELECKIE NAGRODY

Od 21 lat podczas Międzynarodowego Salonu Przemysłu Obronnego jury składające się z przedstawicieli Sił Zbrojnych RP, formacji mundurowych, Biura Bezpieczeństwa Narodowego oraz ministerstw: Obrony Narodowej, Spraw Zagranicznych, Spraw Wewnętrznych i Administracji, Nauki i Szkolnictwa Wyższego, a w tym roku również Przedsiębiorczości i Technologii, nagradza Defenderami produkty uznane za najbardziej perspektywiczne, najbardziej innowacyjne. Od kilku zaś lat rozwiązania najbardziej zwiększające bezpieczeństwo polskich żołnierzy honoruje również prezydent RP, a nagrodę specjalną wręcza szef resortu obrony narodowej.



Podobnie jak w poprzednich latach, przyznano dziesięć Defenderów.



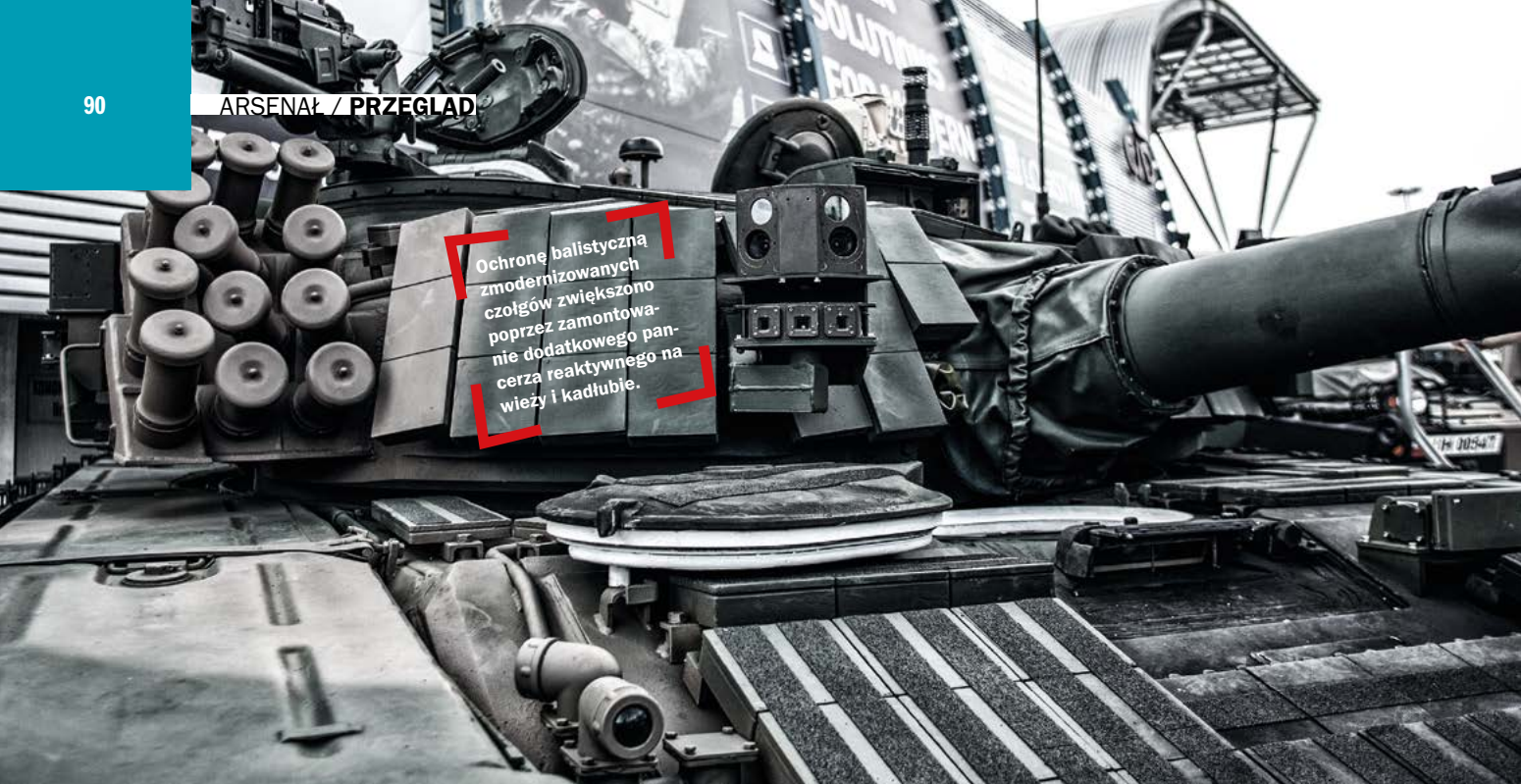
Zwierzchnik sił zbrojnych RP, prezydent Andrzej Duda, obejrzał kielecką ekspozycję.

W KIELCACH PODPISANO UROCZYŚCIE, W OBECNOŚCI MINISTRA OBRONY NARO- DOWEJ MARIUSZA BŁASZCZAKA, KOLEJNE TRZY UMOWY ZWIĄZANE Z KONTRAKTEM NA DOSTAWĘ **ZESTAWÓW RAKIETOWYCH ŚREDNIEGO ZASIĘGU PATRIOT**

W tym roku zwierzchnik sił zbrojnych RP wyróżnił Ośrodek Badawczo-Rozwojowy Centrum Techniki Morskiej SA z Gdyni za okrętowy system zarządzania walką SCOT (Ship Combat Tactical), a minister obrony narodowej – firmę Rosomak SA, wchodzącą w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej, i WB Electronics, spółkę Grupy WB, za wóz dowodzenia na podwoziu kołowego transportera opancerzonego Rosomak.

Podobnie jak w poprzednich latach, przyznano dzieśięć Defenderów. Otrzymały je: Aviomat – za radioteodolitowy system sondażowy atmosfery RSSA BAR; Teldat – za system wspomagania dowodzenia SWD C3IS Jaśmin; PCO – za optoelektroniczny zestaw modernizacyjny do czołgu Leopard 2A4; Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych z Warszawy – za system informa-

tyczny wspierający proaktywne zarządzanie bezpieczeństwem lotów w Służbie Ruchu Lotniczego SZRP Turawa-MATS; Arpol Narzędzia Profesjonalne – za wyposażenie kontenerowego warsztatu remontu uzbrojenia; konsorcjum Wojskowej Akademii Technicznej, ITWL oraz MSP Marcin Szender – za system oceny strzelań do celów powietrznych TP-1; konsorcjum Meska i Wojskowego Instytutu Technicznego Uzbrojenia – za pocisk raketowy M-21 Feniks HE; konsorcjum WAT-u, Akademii Marynarki Wojennej, PIT-Radwaru oraz Zakładów Mechanicznych Tarnów – za 35-milimetrowy okrętowy system uzbrojenia (OSU-35); Lubawa – za lekki kombinizon odłamkoodporny i trudnopalny; Advanced Protection Systems – za wielosensorowy system detekcji i neutralizacji dronów Ctrl+Sky. ■



Ochronę balistyczną zmodernizowanych czołgów zwiększono poprzez zamontowanie dodatkowego pancerza reaktywnego na wieży i kadłubie.

ZAKŁADY MECHANICZNE BUMAR-ŁABĘDY SA

ODMŁODZONY PT-91



Na MSPO można było zobaczyć dwie wersje zmodernizowanego czołgu PT-91 zaproponowane przez Zakłady Mechaniczne Bumar-Łabędy SA.

Wozach PT-91M2 wersji A1 i A2 zmieniono układ napędowy, w tym zamontowano dwa różne, mocniejsze silniki. Obie wersje wyposażono też w pomocnicze źródło zasilania (APU).

Ochronę balistyczną zmodernizowanych czołgów zwiększono poprzez zamontowanie dodatkowego pancerza reaktywnego na wieży i kadłubie (kasety Erawa-2 w wersji aluminiowej trzeciej generacji) oraz pancerza prętowego, który chroni boki i tył przedzia-

łu silnikowego. Poza tym w PT-91M2 została wzmocniona ochrona przeciwmiotowa dna kadłuba.

Jako uzbrojenie zmodernizowanego czołgu zakład z Gliwic zaproponował słowacką armatę 125 mm/L48 typu 2A46MS. W wersji A1 na wieży umieszczono moduł uzbrojenia RCWS, a w A2 wielokalibrowy karabin maszynowy WKM-B na amunicję 12,7x99 mm NATO oraz zmodernizowany przez specjalistów z Gliwic automat załadowania AZ-1. Oba zmoder-

nizowane egzemplarze wyposażono w nowe systemy stabilizacji i systemy kontroli ognia (izraelski TIFCS w A1 lub francuski Savan-15 w A2). Skuteczność ognia mają zwiększyć nowe, stabilizowane dwupłaszczyznowo, zintegrowane dzieńno-nocne celowniki działonowego i przyrządy dzieńno-nocne dowódcy – panoramiczny i pasywny (zapasowy). Dodatkowo PT-91M2A2 ma dzieńno-nocny system obserwacji dookólnej SOD Atena z PCO SA. WRT ■

WOJSKOWE ZAKŁADY ELEKTRONICZNE

Lanca na drony



Przenośny system Lanca 2.0 do zwalczania bezałogowych statków powietrznych został zaprezentowany przez Wojskowe Zakłady Elektroniczne. Jego modułowa budowa

umożliwia dokonywanie w nim szybkich zmian, rozbudowę i konfigurowanie. Inną cechą Lancy jest szeroki zakres częstotliwości pracy oraz analogowa i cyfrowa modulacja sygnału.

System neutralizuje drony na dystansie do **1000 m**. Wszystko, co potrzebne do działania Lancy, znajduje się w jej wnętrzu, a jej masa pozwala na obsługę przez jedną osobę. TWR ■



SZCZĘŚNIK POJAZDY SPECJALNE

Terenowy autobus

Firma Szczęśnik Pojazdy Specjalne zaprezentowała czterokołowy autobus Torsus Praetorian przeznaczony do transportu ludzi i sprzętu w trudnych warunkach terenowych.

Ma on napęd na wszystkie koła, zbudowano go na podwoziu MAN TGM 13.240 o dopuszczalnej masie całkowitej 13,5 t, z sześciocylindrowym silnikiem MAN D0836LFL40 o mocy 240 KM, zapewniającym mu prędkość 117 km/h. Zasięg „pretorianina”,

w zależności od warunków terenowych, wynosi 200–350 km. Po prawej stronie kadłuba umieszczono dwoje pojedynczych drzwi, z przodu i między osiami. Po lewej stronie są drzwi kierowcy. Na MSPO pokazano autobus, którego wnętrze skonfigurowano dla 31 pasażerów. WW ■



BAE SYSTEMS

Oferta dla Polski

Propozycją BAE Systems dla Wojska Polskiego są nowe lub używane (po remoncie) pojazdy M88A2 HERCULES. Wóz o masie bojowej 63,5 t jest wyposażony w dwie wyciągarki – główną, z liną o długości 85,3 m i uciagu 63,5 t, i pomocniczą, o uciagu 2,7 t. Żuraw ma udźwig 31,75 t. WR ■



PIT-RADWAR SA

Przyszłość obrony powietrznej

Wczasie targów zaprezentowano prototyp stacji systemu pasywnej lokalizacji (SPL), nad którym pracuje konsorcjum firm na czele z liderem, warszawskim PIT-Radwarem SA. W przyszłości SPL ma być elementem modernizowanego systemu polskiej obrony powietrznej. Wyjątkowością SPL jest to, że łączy w sobie dwa podsystemy pasywnej lokalizacji PCL (Passive Coherent Location), wykorzystujące sygnały emitowane przez tzw. nadajniki okazjonalne, czyli fale elektromagnetyczne, których źródłami może być np. telefon komórkowy oraz PET (Passive Emitter Tracking), wykrywający emi-

sje pochodzące z urządzeń znajdujących się na pokładach statków powietrznych. W zestawie operacyjnym będą cztery takie stacje. W ■

AMZ KUTNO

SZÓSTA ODSŁONA TURA

Nowa wersja samochodu opancerzonego Tur.

Skonstruowano go na podwoziu ciężarówki marki Ford, której dopuszczalna masa całkowita wynosi do 10,5 t. Jako napęd wozu Tur VI wybrano silnik wysokoprężny V8 turbo Diesel 6.7L o mocy 362 KM z automatyczną, pięciostopniową skrzynią biegów. W Kielcach prezentowano wersję z pięciodrzwiową opancerzoną kabiną, w której mieści się dziesięć osób, w tym kie-

rowca. Prototyp otrzymał ochronę balistyczną i przeciwninową na poziomie I według STANAG 4569, ale istnieje możliwość jej zwiększenia. Na każdym boku pancernego kadłuba umieszczono pięć luków strzelniczych z wizjerami. Oprócz wersji patrolowo-interwencyjnej samochód Tur VI może być też m.in. opancerzoną sanitarką lub pojazdem do przewożenia niewybuchów. WT ■

ARTUR ORZECZOWSKI



Stacja na podwoziu samochodu ciężarowego Jelcz 882.53 8x8.

MICHAŁ NIWICZ (6)



ITWL

Hybrydowy dracoX

Instytut Techniczny Wojsk Lotniczych pokazał hybrydowy, bezzałogowy statek powietrzny pionowego startu i lądowania DracoX. Aparat, będący wspólnym projektem ITWL i Avatar Technologies, jest połączeniem samolotu i wielowirnikowca. Dron o masie startowej 11 kg (ładowność 3,5 kg) może być wyposażony w głowicę optoelektroniczną, która podczas startu i lądowania jest schowana wewnątrz kadłuba. Głowica może mieć jeden, dwa lub trzy sensory – światła dziennego, termowizji i dalmierz laserowy (o zasięgu

do 4 km). Istnieje też możliwość zamontowania kamery multispektralnej lub aparatu fotograficznego o wysokiej rozdzielczości. DracoX jest wyposażony w pięć silników elektrycznych. Cztery zostały zamontowane parami na wysięgnikach z przodu i z tyłu skrzydeł, co pozwala mu wznosić się i opadać pionowo. Piąty, ze śmigłem ciągnącym, umożliwia dronowi lot z prędkością do **130 km/h**. Długość trwania lotu wynosi dwie godziny. W skład zestawu oprócz drona wchodzi naziemna stacja kontroli i system antenowy. WW ■

WITU

WYSTRZAŁOWA INKA

Wojskowy Instytut Techniczny Uzbrojenia pojawił się z modelem pistoletu PW Inka 9x19 mm, działającym na zasadzie krótkiego odrzutu lufy.



Broń ma mechanizm spustowy pojedynczego/podwójnego działania (SA/DA) z kurkiem zewnętrznym. W chwycie, którego wielkość można dopasowywać do rozmiarów dłoni strzelca za pomocą specjalnych nakładek, jest 15-nabojowy magazynek. PW Inka ma przyrządy celownicze otwarte, szczerbinkowe, z możliwością regulacji, i wymienną muszkę. Dzięki zastosowaniu trytu przyrządy są widoczne w nocy. Wykonanie szkieletu z tworzywa sztucznego pozwoliło obniżyć masę pistoletu – z pustym magazynkiem waży on **771 g**. TED ■

Nazwa pistoletu pochodzi od pseudonimu Danuty Siedzikówny.

GERMAZ

FALCATA DLA AEROMOBILNYCH

Na stoisku spółki Germaz można było zobaczyć wielozadaniowy pojazd terenowy oferowany wojskom aeromobilnym.

Jego producentem jest hiszpańska firma Einsa. Nazwa pojazdu, Falcata, pochodzi od broni białej używanej przez starożytnych wojowników z Półwyspu Iberyjskiego. Za dwuosobową kabiną jest platforma ładunkowa. Można nią przewozić ładunki o masie 1000 kg. Taką samą ładowność ma przeznaczona

dla tego pojazdu przyczepa. Falcata została wyposażona w silnik wysokoprężny Ford DT224 Euro 5 o mocy 122 KM chłodzony cieczą, i sześciobiegową, manualną skrzynię biegów oraz układ napędowy 4x4. Pojazd może poruszać się z prędkością do 120 km/h. Zestaw jest przystosowany do desantowania

na spadochronach, na platformie desantowej, z samolotów lub śmigłowców. Można go przewozić m.in. transportowcami CN-235 oraz śmigłowcem CH-47 Chinook. Falcate, ważącą 3 t wraz z ładunkiem, można przerzucić podwieszoną na haku pod śmigłowcem. WRT ■



HUTA STAŁOWA WOLA

ULEPSZONY BORSUK

Od czterech lat Huta Stalowa Wola wraz z konsorcjantami pracuje na zlecenie polskiej armii nad nowym, pływającym bojowym wozem piechoty o kryptonimie Borsuk. Pojazd zgodnie z zaleceniami wojska ma ważyć nie więcej niż 25 t i być wyposażony w bezzałogowy system wieżowy uzbrojony w 30- lub 40-milimetrową armatę oraz przeciwpancerne pociski kierowane Spike. Efekt prac badawczo-rozwojowych inżynierów ze Stalowej Woli po raz pierwszy publicznie został zaprezentowany na MSPO w ubiegłym roku. Na targach HSW pokazała, co udało się jej specjalistom osiągnąć przez 12 miesięcy prac. Konstrukcja pokazana w tym roku to demonstrator technologii, który przeszedł nie tylko próby trakcyjne i badania balistyczne, ale też najtrudniejszy test – ze względu na jego masę wynoszącą 25 t – czyli sprawdzian pływalności. KW

NA MSPO MOŻNA
BYŁO ZOBACZYĆ PO RAZ
PIERWSZY KTO ROSOMAK
W WERSJI WOZU DOWODZENIA.
WIADOMO O NIM NIESTETY TYLKO TYLE,
ŻE ZOSTAŁ OPRACOWANY NA POTRZEBY
WIELONARODOWEJ DYWIZJI PÓŁNOCNY
WSCHÓD Z ELBLĄGA I NASZA ARMIA KUPIŁA
DLA NIEJ SIEDMIU TAKICH KONSTRUKCJI.
KOSZTOWAŁY ONE 80 MLN ZŁ. NIE MA OFI-
CJALNYCH DANYCH NA TEMAT SPECYFIKA-
CJI TECHNICZNEJ. WIADOMO JEDYNIEM,
ŻE ROSOMAKI ZBUDOWANO NA
BAZIE WOZÓW EWAKUACJI
MEDYCZNEJ. KW

ZAKŁADY MECHANICZNE W TARNOWIE

Wsparcie dla terytorialsów

Skonstruowany przez specjalistów z Zakładów Mechanicznych w Tarnowie lekki moździerz piechoty **LMP-2017** to broń przeznaczona dla pododdziałów lekkiej piechoty, a także oddziałów powietrzno-desantowych oraz aeromobilnych. Ważącym 6,5 kg moździerzem można wystrzelić ogniem ciągłym aż 40 granatów do celów oddalonych o maksymalnie 1300 m. Cechą wyróżniającą tę broń jest to, że można w niej błyskawicznie wymienić lufę i dzięki temu strzelać dwoma typami amunicji: dwukilogramowymi pociskami kalibru 60,4 mm (czyli standardową amunicją NATO) oraz amunicją kalibru 59,4 mm (czyli używaną obecnie przez polską armię do moździerzy LM-60D i LM-60K kalibru 60 mm). Na MSPO tarnowska firma pokazała nie tylko nowe celowniki do moździerzy – cieczerowy i cyfrowy, lecz także przygotowany na rynek niemiecki moździerz na dwójnogu i z płytą oporową. Dzięki tym rozwiązaniom zasięg LMP-2017 wzrasta aż do 3 km. Odbyna się to niestety kosztem wagi broni, która zwiększa się do około 20 kg. KW



POJAZD MOŻE
PORUSZAĆ SIĘ
Z PRĘDKOŚCIĄ
DO 120 KM/H

MICHAŁ NIWICZ (4)



TRWAJĄ PRACE NAD UDOSKONALENIEM **POCISKÓW GBI**. NA 2020 ROK PLANOWANY JEST PIERWSZY JEDNOCZESNY TEST DWÓCH POCISKÓW GBI PRZECIWKO DWÓM RÓŻNYM CELOM.

RAFAŁ CIASTOŃ

TARCZA KONTRA MIECZ

Amerykanie będą pracować nad systemami do zwalczania nowych rodzajów broni strategicznych rywali.

Już od zakończenia II wojny światowej Amerykanie pracują nad systemami obrony antybalistycznej. Grupa oficerów US Army Air Force, która przybyła na Stary Kontynent 4 lipca 1945 roku, by badać użycie pocisków V-2 przeciwko Wielkiej Brytanii, rekomendowała rozwój takich systemów i prace nad nimi ruszyły już rok później. W ciągu 70 lat wielokrotnie zmieniały się koncepcje architektury tarczy – raz miała ona służyć obronie terytorium całego państwa, innym razem – jedynie obronie baz pocisków strategicznych.

Oczywiście wraz z postępem technologicznym zmieniały się także pomysły na rakiety przechwytyjące oraz sposób ich rozmieszczenia. Z ostatnią dużą rekonfiguracją mieliśmy do czynienia w 2009 roku, po objęciu urzędu prezydenta USA przez Baracka Obamę. W rezultacie przeprowadzonego wówczas przeglądu skasowano m.in. programy pocisków KEI (Kinetic Energy Interceptor) oraz MKV (Multiple Kill Vehicle), wycofano się z pomysłu budowy w Polsce trzeciej bazy pocisków GBI (Ground Based Interceptor), a także zamrożono, a w konsekwencji de facto skasowano program ABL (Airborne Laser), działła laserowego przenoszona przez odpowiednio zmodyfikowane samoloty Boeing B-747. Cztery lata później, w związku z nową oceną zagrożenia ze strony Korei Północnej, zrezygnowano z rozwoju pocisku SM-3 Block IIB. Czy za prezydentury Donalda Trumpa system Missile Defense (MD) czekają kolejne zmiany?

PRECYZJA TRAFIENIA

Systemy antybalistyczne muszą ewoluować podobnie jak pociski balistyczne, czyli tak jak zmienia się to, przeciwko czemu zostały one stworzone. Jeśli spojrzymy na ten wyścig tarczy i miecza w perspektywie historycznej, nasunie się wniosek, że jeszcze do niedawna górą był miecz – systemy przechwytyjące musiały polegać na głowicach jądrowych (amerykańskie Sprint i Spartan, radzieckie 53T6 i 51T6), nie gwarantowały one bowiem precyzji trafienia umożliwiającej zniszczenie celu za pomocą konwencjonalnej głowicy fragmentującej, nie mówiąc już o kinetycznej. Dziś to się zmieniło.

Należy jednak odróżnić systemy szczebla taktycznego, takie jak np. Patriot PAC-1, który sprawdził się użyty przeciwko przestarzałym technologicznie pociskom rodziny SCUD jeszcze podczas operacji „Pustynna burza” w 1991 roku, od strategicznych, które miałyby zwalczać pociski o zasięgu międzykontynentalnym, takich jak GBI. Na obecnym etapie ich rozwoju można przyjąć, że pociski

tego typu są najprawdopodobniej w stanie przechwycić międzykontynentalne rakiety balistyczne, takie jak północnokoreańskie Hwasong-14 i -15. Choć można wątpić, czy byłyby w stanie chronić terytorium USA przed bardziej zaawansowanymi technologicznie głowicami, zwłaszcza hipersonicznymi.

Aby zniszczyć cel, należy przede wszystkim odpowiednio wcześniej go wykryć i namierzyć. Dlatego amerykańskie stacje radarowe są rozmieszczone w kilku zakątkach globu, m.in. w bazach Thule na Grenlandii, Fylingdales w Wielkiej Brytanii, a także w trzech innych w USA. Częścią systemu jest również umieszczony na pływającej platformie radar Sea Based X-1, operujący na Pacyfiku.

Posługując się przykładem tego ostatniego, łatwo można zrozumieć, jak istotna dla zebrania informacji o wystrzelonym pocisku jest lokalizacja sensora. W styczniu 2018 roku, w obliczu zapowiadanych przez Pjongjang kolejnych testów balistycznych, platforma została przesunięta z Pearl Harbor w pobliże Półwyspu Koreańskiego. Amerykańskie radary pracujące na rzecz

systemu MD znajdują się także w Izraelu, Turcji, Japonii, Korei Południowej oraz oczywiście na krążownikach i niszczycielach systemu Aegis BMD.

Jeszcze w trakcie kampanii wyborczej prezydent Trump zapowiadał, że sensory zostaną umieszczone w optymalnej dla obrony antybalistycznej lokalizacji – przestrzeni kosmicznej. Takie rozwiązanie pozwoliłoby na wykrycie startu wrogiego pocisku wystarczająco wcześniej, aby

umożliwić podjęcie próby jego zniszczenia jeszcze w pierwszej, silnikowej fazie lotu. I właśnie to, obok pozbycia się luk w zdolnościach detekcji, stanowi koronny argument przemawiający na korzyść takiego rozwiązania. Oczywiście dane z kosmicznych sensorów mogłyby być przesyłane nie tylko do pocisków GBI i przyszłych efektorów atakujących cele w fazie silnikowej, lecz także do okrętów i naziemnych stanowisk Aegis BMD oraz do baterii THAAD i Patriot, zwiększając w ten sposób znacząco ich efektywność.

POLITYCZNA NIEZGODA

Amerykańska Agencja Obrony Antyrakietowej (Missile Defense Agency – MDA) przeprowadza teraz przegląd antyrakietowych systemów. Wkrótce zostanie przedstawiony raport określający, jakie zdolności powinny być rozwijane. Już dziś jednak Kongres zobowiązał Pentagon zapisami ustawy o zadaniach obrony narodowej (National



**SYSTEMY ANTYPALI-
STYCZNE MUSZĄ
EWOLUOWAĆ PODOB-
NIE JAK POCISKI BALI-
STYCZNE, CZYLI TAK
JAK ZMIENIA SIĘ TO,
PRZECIWKO CZEMU
ZOSTAŁY STWORZONE**

ABY ZNISZCZYĆ CEL, NALEŻY PRZED WSZYSTKIM ODPOWIEDNIO WCZEŚNIE GO WYKRYĆ I NAMIERZYĆ

Defense Authorization Act) do wdrożenia prac mających na celu rozwój pocisków kinetycznych odpalanych z powietrza i z okrętów, przeznaczonych do zwalczania rakiet balistycznych tuż po ich starcie.

Demonstrator takiej technologii, pocisk przenoszony przez drony, miałby być zaprezentowany do końca 2021 roku. Jeśli ten projekt okazałby się wystarczająco perspektywiczny, w kolejnym roku budżetowym mogłyby się rozpocząć testy. Chociaż MDA nie wnioskowała o fundusze na ten cel, Kongres przeznaczył na niego 50 mln dolarów amerykańskich. Izba Reprezentantów odrzuciła jednak wniosek Senatu o przeznaczenie kolejnych 85 mln dolarów na rozwój lasera podobnego przeznaczenia.

MDA prezentuje konserwatywne podejście do obrony antybalistycznej, koncentrując się częściowo na wzmacnianiu posiadanych już zdolności, częściowo zaś na ich ulepszaniu. W tym kontekście warto przypomnieć o planach rozmieszczenia 20 dodatkowych pocisków GBI (według obecnych założeń łącznie będzie ich 64) czy rozmieszczenia na Pacyfiku dwóch kolejnych radarów do namierzania pocisków balistycznych.

Kontynuowane są również prace nad udoskonaleniem pocisków GBI. W przyszłości ich głowice EKV (Exoatmospheric Kill Vehicles) zostaną zastąpione przez RKV (Redesigned Kill Vehicles). Na 2020 rok planowany jest pierwszy jednoczesny test dwóch pocisków GBI przeciwko dwóm różnym celom. Trwają również prace nad programem Common Kill Vehicle, którego efektem ma być uzyskanie możliwości zwalczania kilku celów za pomocą jednego pocisku przechwytyjącego, przenoszącego tzw. Multi-Object Kill Vehicle. Czy wśród priorytetów MDA znajdują się programy, których zainicjowanie zaleca Kongres? Wydaje się, że tak, i to z kilku co najmniej powodów.

WYPRZEDZIĆ RYWAŁA

System MD w wymiarze narodowym czy też strategicznym ma służyć obronie przed pociskami wystrzelonymi z takich państw jak Korea Północna czy Iran. W sferze deklaratywnej nic nie ulega zmianie, ale Stany Zjednoczone dostrzegają nowe rodzaje zagrożeń, których dziś nie mogą zwalczać. Chodzi na przykład o głowice hipersoniczne, w zasadzie niemożliwe do przechwycenia przez systemy oparte na kinetycznych interceptorach, zwalczają-

ce cel w końcowej fazie lotu. Dwa najbardziej obiecujące rozwiązania w tej dziedzinie to systemy laserowe oraz pociski atakujące cel w fazie wznoszenia. Oba wymagają odpowiedniego rozmieszczenia – muszą być dostępne niemal natychmiast i w stosunkowo niewielkiej odległości od miejsca startu wrogiego pocisku. Wymagają też sieci sensorów zdolnych do namierzenia i śledzenia celu. I choć proliferacja technologii balistycznych postępuje dziś szybciej niż w latach zimnej wojny, czego dowodem jest rozwój północnokoreańskich pocisków międzykontynentalnych i odpalanych spod wody, to systemy hipersoniczne rozwijają – oprócz Stanów Zjednoczonych – jedynie Chiny i Rosja.

Zarówno najnowsza strategia bezpieczeństwa narodowego, jak i strategia obronna USA w odniesieniu do tych dwóch państw posługuje się terminami „strategiczny rywal” oraz „mocarstwo rewizjonistyczne”. W pierwszym z tych dokumentów pojawia się także stwierdzenie o powrocie rywalizacji wielkich mocarstw. Niezależnie więc od politycznych deklaracji Amerykanie bez wątpienia będą pracować nad systemami do zwalczania nowych rodzajów broni „strategicznych rywali”. Jednocześnie sieć kosmicznych sensorów oraz pocisków lub laserów zwalczających rakiet balistycznych w fazie wznoszenia wzmocni ich zdolności obrony antybalistycznej w wymiarze taktycznym czy też operacyjno-taktycznym, w tym również do przeciwdziałania zagrożeniom wynikającym z wdrażania przez niektóre państwa tzw. strategii antydostępowej.

W styczniu 2018 roku w Pentagonie utworzono stanowisko podsekretarza obrony do spraw badań i wsparcia technicznego. Objął je Michael Griffin, orędownik rozwoju nowych zdolności, m.in. w dziedzinie obrony antybalistycznej. Według niego powinny być rozwijane zarówno kinetyczne, jak i laserowe systemy do zwalczania pocisków balistycznych w silnikowej fazie lotu. Twierdzi również, że główną przeszkodą ograniczającą ich wdrożenie nie były kwestie technologiczne, lecz brak woli politycznej. Griffin zwrócił także uwagę na trudności związane z wdrażaniem innowacji i przekuwaniem ich w dostępne operacyjnie rozwiązania. Prace nad kosmicznymi sensorami systemu MD oraz zdolnościami niszczenia obiektów balistycznych w pierwszej fazie lotu mają dziś poparcie wielu polityków, co dobrze im wróży na przyszłość. ■

Główny organizator



Współorganizatorzy:



IV KONFERENCJA OPTOELEKTRONICZNA

FOTONIKA WIODĄCĄ TECHNOLOGIĄ XXI WIEKU

WYBRANE TEMATY KONFERENCJI:

Fotonika wobec wyzwań współczesnego pola walki
Wyzwania wobec nowoczesnych systemów optoelektronicznych
Potencjał polskiej fotoniki w służbie bezpieczeństwa kraju i obywateli
Fotonika wobec wyzwań XXI w. i wiele innych

14-15.11.2018

Hotel Windsor w Jachrance

Już dziś zarezerwuj czas i zapisz się na konferencję

www.optoelektroniczna.pl

Patronat:

Patronat medialny:



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



Defence **24**



KRZYSZTOF WILEWSKI

Gdy inżynierowie z Kałasznikowa bawili się przednio, pokazując światu wykpiwany przez internautów model robota Igorka, rosyjscy żołnierze testowali w Syrii na bojowo już wdrożone do służby roboty lądowe.

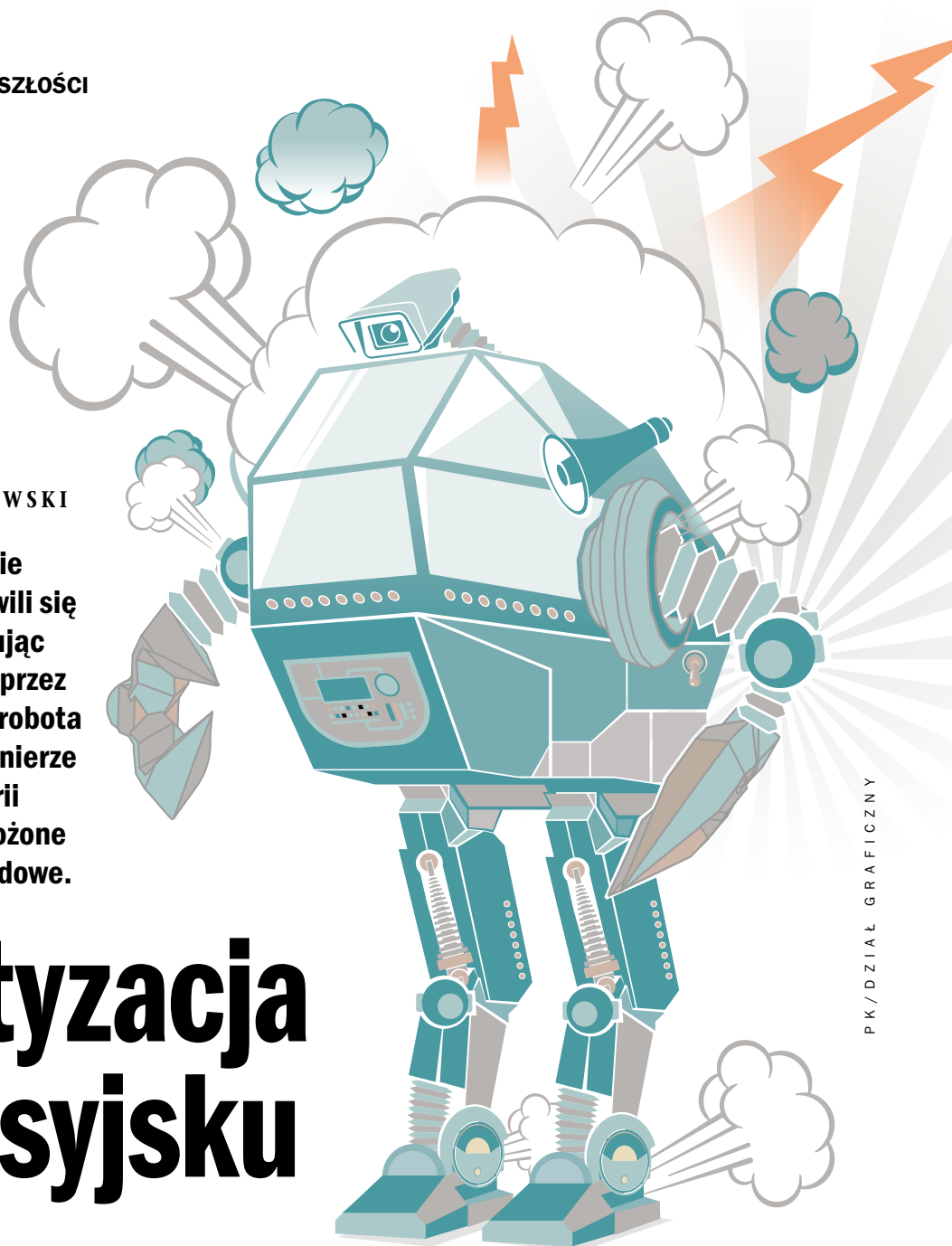
Robotyzacja po rosyjsku

Kiedy na odbywających się w sierpniu w Moskwie targach zbrojeniowych International Military-Technical Forum ARMY 2018 koncern Kałasznikowa zaprezentował model gigantycznego, bo ponadczterometrowego, robota o zdrobniałej nazwie Igorek, przez internet przetoczyła się fala kpín. Żartowano, że maszyna przypomina niezdarne Mecha ED-209 z filmu „Robocop” (1987 rok) i prędzej się przewróci, niż pójdzie sama. I rzeczywiście, patrząc na jej budowę, wielgachne nogi, dużą kabinę i małe manipulatory (ręce), trudno nie uśmiechnąć się pod nosem na myśl o rosyjskiej wizji robotyzacji pola walki. Tyle tylko, że gdy inżynierowie z Kałasznikowa bawili się przednio, pokazując Igorka światu, rosyjscy żołnierze testowali w Syrii na bojowo już wdrożone do służby

roboty lądowe, bardzo podobne do konstrukcji opracowywanych na Zachodzie. W ich przypadku zdecydowanie żartów już nie ma.

PRZED W SZYSTKIM: CHRONIĆ

O tym, że pole walki w przyszłości będzie areną walk robotów, jest dziś przekonana zdecydowana większość wojskowych ekspertów. Koronnym argumentem za użyciem tych urządzeń jest dbałość o człowieka. Wysyłając w bój maszynę, nie ryzykujemy bowiem życia żołnierza. A ono, inaczej niż w czasie wojen z początku ubiegłego stulecia, ma dużą wartość. Czy któryś ze współczesnych generałów lub polityków podpisałby się pod decyzją o bitwie, w której poległoby kilkadziesiąt tysięcy żołnierzy, tylko po to, aby przesunąć front o kilometr czy dwa?



A tak wyglądało „dowodzenie” podczas pierwszej wojny światowej, w której najwyższą rangą oficerowie częstokroć zachowywali się jak dzieci bawiące się lupą w mrowisku.

Życie żołnierza nabrało obecnie takiej wartości, że trwający wyścig zbrojeń to walka na opracowanie nie bardziej śmiertelnej broni, lecz technologii mających albo chronić wojowników przed ranami i śmiercią – przykładem są chociażby pojazdy minoodporne – albo zastąpić ich w najbardziej niebezpiecznych misjach. Do tego zaś idealnie nadają się roboty. Możemy je w ogromnym skrócie podzielić albo ze względu na środowisko, w jakim działają: na lądowe, morskie i powietrzne, albo na sposób, w jaki się przemieszczają: na latające, pływające, jeżdżące i chodzące.

PRZEGAPIONA REWOLUCJA

Choć pionierami robotyzacji pola walki byli saperzy i dziś nie ma chyba na świecie armii, która nie korzystałaby z mniej lub bardziej zaawansowanych maszyn pirotechnicznych, to w ostatnich latach byliśmy świadkami innej, „robotycznej” rewolucji. Mowa o dronach, z naciskiem na te najbardziej zaawansowane, czyli maszyny uderzeniowe. Państwa zachodnie wyłożyły miliardy dolarów w rozwój tego typu rozwiązań i dziś mają do dyspozycji ich pełną paletę. Dlaczego należy podkreślić, że mówimy o państwach zachodnich? Dlatego że Rosja, czy się to komuś podoba, czy nie, drugie obok Ameryki supermocarstwo atomowe o aspiracjach geopolitycznych sięgających każdego zakamarka globu, rewolucję dronową, mówiąc kolokwialnie, przespała. Niedawno przyznał to wprost minister obrony Siergiej Szojgu, który nie był w stanie ukryć, iż aby dogonić Zachód w tej kwestii, Rosjanie musieli niezbędne technologie po prostu kupić. Głównie od Izraelczyków, choć nie tylko.

Zdecydowanie inaczej ma się sprawa z dronami lądowymi, których technologicznej rewolucji, a właściwie jej początków, właśnie jesteśmy świadkami. Potwierdzeniem niech będzie fakt, że jednym z najciekawszych, i budzącym największe zainteresowanie wojskowych, eksponatów tegorocznych paryskich targów zbrojeniowych Eurosatory był bojowy robot lądowy THeMIS.

Rosjanie nawet specjalnie nie ukrywają, że chcą znacząco zrobotyzować swoje wojska lądowe i – co najważniejsze – zamierzają to robić z pomocą rodzimych firm i technologii. Dlatego branżowi eksperci nie śmiali się,



ROSJA STAWIA ZDECYDOWANIE NA ROBOTYZACJĘ WOJSK LĄDOWYCH, Z NACISKIEM NA JEJ BOJOWY WYMIAR, I NIE SĄ TO PRACE TEORETYCZNE, LECZ PRAKTYCZNE

gdy na tegorocznych moskiewskich targach zbrojeniowych International Military-Technical Forum ARMY 2018 koncern Kałasznikowa zaprezentował Igorka, a w tym czasie Rosjanie testowali m.in. maszyny Uran-9.

ŻARTÓW NIE MA

Uran-9 to robot, który wygląda jak miniaturowy czołg. Umieszczony na podwoziu gąsienicowym system uzbrojenia ma nie tylko 30-milimetrową armatę 2A72, ale także karabin maszynowy kalibru 7,62 mm

oraz wyrzutnie przeciwpancernych pocisków kierowanych 9M120 Ataka (w kodzie NATO AT-9 Spiral-2). O tym, że Rosjanie używają uranów-9 w Syrii, świat dowiedział się dzięki nagraniu, które umieszczono w internecie. Widać na nim rosyjską maszynę w trakcie walk o jedno z miast. Jakby tego było mało, kilka tygodni temu ktoś umieścił w sieci prezentację z naukowej konferencji, na której przedstawiono wnioski i doświadczenia z użycia urana-9 na Bliskim Wschodzie (sic!).

A te nie są zbyt optymistyczne. Uran-9 ma problemy ze stabilną łącznością z operatorem i niewielkim zasięgiem (tylko około 500 m w mieście), nietrwałym zawieszeniem, zacinającą się armatą, wadliwym systemem sterowania ppk i – co najważniejsze – brakiem stabilizacji uzbrojenia. Nisko oceniane są również jego systemy rozpoznawcze. Wnioski autorów prezentacji są proste. Trzeba pracować nad nowymi rozwiązaniami optoelektronicznymi i elektronicznymi.

Istotne jest to, że nie będą to prace wyłącznie na rzecz urana-9. Jak to zwykle bywa w przypadku Rosjan, którzy najczęściej prowadzą równolegle kilka prac badawczo-rozwojowych nad danym typem broni (co nierzadko kończyło się wprowadzeniem ich wszystkich do uzbrojenia), także i w przypadku robotów lądowych rozwijanych jest kilka projektów. „Companion”, „Nerehta”, „Taczanka B” to tylko nazwy, które wyciekły w ten czy inny sposób.

Można oczywiście żartować z rosyjskich robotów, ale faktem jest, że Rosja stawia zdecydowanie na robotyzację wojsk lądowych, z naciskiem na jej bojowy wymiar, i nie są to prace teoretyczne, lecz praktyczne. Rosyjskie roboty walczą w Syrii i z tych walk są wyciągane wnioski, stanowiące zaczątek do dalszych badań. A pokazany w Moskwie Igorek, mimo zapewnień koncernu Kałasznikowa, że za dwa lata będzie gotowy prototyp, trzeba potraktować jako żart, lecz maskirowkę. ■


**T-14
ARMATA**

Dziewięć pierwszych seryjnych wozów ma trafić do wojska w tym roku.

TADEUSZ WRÓBEL

Dwa tory, jeden kierunek

Choć Rosjanie inwestują w uzbrojenie nowej generacji, to modernizacja czołgów starszych typów pozwala im uzyskać tanim kosztem i w miarę szybko sprzęt dla rozbudowywanych sił ciężkich.

Rosja wycofała się z restrukturyzacji wojsk lądowych, którą przeprowadzono za czasów, gdy ministrem obrony był Anatolij Serdiukow. Tym zaś, co spowodowało jej uruchomienie, były wnioski z krótkiego konfliktu z Gruzją. Serdiukow chciał armii lżejszej i mobilniejszej, dlatego odszedł od struktury dywizyjnej odziedziczonej po Związku Sowieckim na rzecz samodzielnych brygad pancernych i strzelców zmotoryzowanych. Serdiukow jednak przestał być ministrem obrony, a jego następca zaczął się wycofywać z tej reformy, na co było przyzwolenie polityczne Kremla. Niebawem przystąpiono do przywracania dużych, ciężkich związków taktycznych, dywizji pancernych i zmechanizowanych. Przykładem nowego trendu było odtworzenie w listopadzie 2014 roku w Zachodnim Okręgu Wojskowym 1 Gwardyjskiej Armii Pancernej. W jej skład weszły m.in. 2 Gwardyjska Tamańska Dywizja Zmechanizowana, 4 Gwardyjska Kantemirowska Dywizja Pancerna i 6 Samodzielna Brygada Pancerna. Rosja nie ukrywa, że wzmacnianie potencjału militarnego na zachodnich granicach ma związek z pogorszonymi stosunkami z NATO i Ukrainą.

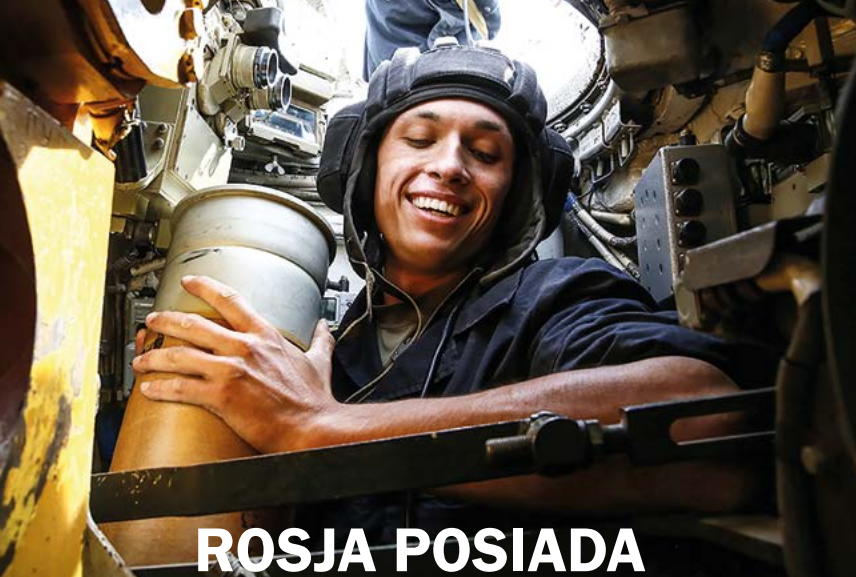
GRA ARMATA

29 lipca 2018 roku w wypowiedzi do rosyjskich mediów wicepremier ds. przemysłu zbrojeniowego i kosmicznego Jurij Borysow odniósł się do programów pancernych. Polityk stwierdził, że nie ma potrzeby masowego wprowadza-

nia do sił zbrojnych nowych czołgów T-14 Armata czy kołowych transporterów opancerzonych Bumerang. Zdaniem Borysowa bardziej opłacalne, jeśli chodzi o relację koszt-efekt, jest modernizowanie pojazdów starszej generacji.

Tymczasem gdy czołg T-14 Armata został zaprezentowany publicznie 9 maja 2015 roku podczas defilady wojskowej na placu Czerwonym, padły zapowiedzi, że do 2020 roku kupionych zostanie ponad 2 tys. tych wozów. Co więcej, T-14 miał być przedstawicielem całej rodziny pojazdów opartych na wspólnej platformie. Jedną z pokazanych wówczas w Moskwie maszyn był ciężki bojowy wóz piechoty T-15. Jednak w następnych latach przedstawiciele resortu obrony zaczęli bardziej wstrzemięźliwie wypowiadać się o zakupach nowego uzbrojenia. Sankcje nałożone przez Zachód na Rosję po jej inwazji na Ukrainę, ale też niższe ceny ropy naftowej, spowodowały bowiem problemy gospodarcze i Moskwa musiała ograniczyć programy zbrojeniowe. Pojawiły się doniesienia, że producent T-14, Uralaska Fabryka Wagonów w Niżnym Tagile, mocno nie doszacował realnej ceny swego nowego czołgu. Niemniej, choć nie masowo, to T-14 Armata będzie jednak produkowana – pierwszych sto czołgów zamówiono już wiosną 2016 roku. 21 sierpnia tego roku serwis internetowy Tvzvezda.ru podał informację pochodzącą od Borysowa, że rozpoczęły się dostawy T-14 do sił zbrojnych.

Następnego dnia na forum Armia 2018 wiceminister obrony Aleksiej Kriworuczko podał, że jego resort zamó-



MO FEDERACJI ROSYJSKIEJ (2)

ROSJA POSIADA KILKANAŚCIE TYSIĘCY CZOŁGÓW, ALE TYLKO NIEWIELKA CZĘŚĆ Z NICH JEST W JEDNOSTKACH LINIOWYCH



Obecnie
dla Rosjan
największym
poligonem
jest wojna
domowa w Syrii.

wił dotychczas 132 pojazdy T-14 i T-15. Dziesięć pierwszych seryjnych wozów ma trafić do wojska w tym roku. Z kolei dostawy pozostałych potrwać do końca 2021 roku. Prawdopodobnie jako pierwsze otrzymają nowy sprzęt elitarne dywizje wspomnianej 1 Gwardyjskiej Armii Pancerniej, która stoi na straży Moskwy na kierunku zachodnim.

TANIO I SZYBKO

„Tak naprawdę nie potrzebujemy masowej wymiany sprzętu, te modele są dość kosztowne w porównaniu z obecnymi”, powiedział w lipcu wicepremier Borisow. Podał też, że cena T-14 to równowartość 4 mln dolarów, podczas gdy zmodernizowany T-72B3 jest prawie dwa razy tańszy. Cenowo lepiej od czołgu Armata wypada też T-90. Co ciekawe, kilka lat wcześniej ten sam polityk mówił coś całkowicie przeciwnego – że nie ma możliwości dalszej modernizacji starych wozów i „potrzebny jest skok jakościowy”.

Należy jednak pamiętać, że od początku obecnej dekady Rosjanie nie koncentrowali się wyłącznie na pracach nad czołgiem nowej generacji, lecz unowocześniali już posiadane pojazdy. Od 2010 roku jest prowadzona modernizacja licznych w siłach zbrojnych T-72B. Pierwsze

unowocześnione wozy w standardzie T-72B3 otrzymały silnik o większej mocy (1000 KM). Kluczową zmianą był montaż nowej armaty 2A46M5 kalibru 125 mm i systemu kierowania ogniem Kalina. Później wprowadzono nową amunicję podkalibrową. W standardzie T-72B3M czołg otrzymał jeszcze mocniejszy silnik. Unowocześniono system kierowania ogniem. Dotychczas modernizacji poddano już prawdopodobnie ponad tysiąc maszyn.

Przed dwoma laty zapadła decyzja o modernizacji około 400 czołgów T-90, które trafiły do wojsk lądowych w ostatniej dekadzie XX wieku. Informację o tym rosyjskie media podały we wrześniu 2016 roku, powołując się na wypowiedź szefa naczelnego dyrektoriatu czołgów rosyjskiego resortu obrony, gen. por. Aleksandra Szewczenki. Uralska Fabryka Wagonów zapowiedziała, że zmodernizowane wozy T-90M Proryw-3 zaczną być dostarczane do jednostek w tym roku. One też otrzymały nowe silniki. Ich wieże mają konstrukcję modułową i odrębny magazyn amunicji. Zamontowano w nich tę samą armatę co w zmodernizowanych T-72. Na wieży T-90M znalazł się zdalnie sterowany karabin maszynowy kalibru 12,7 mm. Inną nowością jest modułowy pancerz reaktywny Relikt.

Najdłużej Rosjanie zastanawiali się nad modernizacją czołgów T-80, bowiem w czasach sowieckich były one produkowane na Ukrainie. Problemów przysparzał nietypowy w przypadku rosyjskich wozów napęd, turbina gazowa. Ta jednak okazała się lepszym rozwiązaniem w warunkach arktycznych niż silnik wysokoprężny. Ostatecznie więc pojawiła się zapowiedź modernizacji osiemdziesiątek. W jej ramach pojazdy te upodobnią się do wersji T-72B3. Zmodernizowane czołgi otrzymały oznaczenie T-80BWM.

Modernizacja czołgów starszych typów pozwala Rosjanom uzyskać tanim kosztem i w miarę szybko nowy sprzęt dla rozbudowywanych sił ciężkich. Gdy uwzględni się to, że programy modernizacyjne będą kontynuowane, można przyjąć, że rosyjskie wojska lądowe będą dysponowały co najmniej 2 tys. czołgów o znacznie większych walorach bojowych niż wcześniejsze wersje. Podczas wprowadzania zmian brane są pod uwagę doświadczenia z ostatnich konfliktów, w których wykorzystywano pojazdy produkcji sowieckiej i rosyjskiej. ■



CYBERSEC

EUROPEJSKIE
FORUM CYBERBEZPIECZEŃSTWA

@CYBERSECEU

#CSEU18

THE QUEST FOR CYBER TRUST

KRAKÓW, 8-9.10.2018

Zarejestruj się:
www.cybersecforum.eu/krakow

RAFAŁ
CIASTOŃ

Władca karabinów



Bolesław Jurek urodził się w 1904 roku w Opocznie, w rodzinie kolejarza. Po ukończeniu w 1923 roku szkoły średniej w pobliskich Końskich przez pięć lat kontynuował naukę w Państwowej Szkole Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. Następnie zatrudnił się w warszawskiej Fabryce Karabinów, gdzie pracował, aż do wybuchu II wojny światowej, stopniowo awansując, by w 1935 roku objąć posadę kierownika Działu Konstrukcji Broni Biura Studiów.

Pierwszą konstrukcją inż. Jurka był lotniczy karabin maszynowy wz. 33, będący modyfikacją ckm Browning wz. 30, używanego przez oddziały piechoty. Zmiany dotyczyły m.in. systemu chłodzenia (lufa chłodzona powietrzem zamiast wodą), zasilania czy zastosowania osłabiacza odrzutu i zwiększenia szybkostrzelności. Do maja 1939 wyprodukowano 672 sztuki tej broni, a montowano ją na samolotach P-7, P-11, PZL-23 Karaś oraz RWD-14 Czapla. W 1936 roku konstruktor rozpoczął prace nad najcięższym karabinem maszynowym (tzw. model A), kalibru 20 mm, który miał stanowić uzbrojenie tankietek oraz być używany jako broń przeciwlotnicza w piechocie i kawalerii. Prototyp został ukończony rok później, a w 1938 roku przeszedł próby. Jednak produkcję seryjną w zakładach w Sanoku uruchomiono dopiero w lipcu 1939 roku. Przed wybuchem wojny wytworzono ponad 50 egzemplarzy tej broni, z czego połowa trafiła do tankietek. Jurek opracował również projekt kolejnego karabinu nkm (model D), który miał być bronią lotniczą, jednak do maja 1939 roku zbudował jedynie prototyp.

W 1932 roku inż. Jurek wyjechał na studia do Tuluz, w latach 1937–1939 kształcił się także na Wydziale Mechanicznym Politechniki Warszawskiej, odbył również kilka wyjazdów stażowych do francuskich i belgijskich fabryk uzbrojenia. W czasie okupacji hitlerowskiej początkowo pozostawał bezrobotny, ale w 1941 roku został zatrudniony w fabryce Avia, gdzie pracował do sierpnia 1944 roku, wówczas bowiem jako robotnik przymusowy został wywieziony na Śląsk. Gdy skończyła się wojna, początkowo wrócił do Opoczna, gdzie podjął pracę w starostwie. Jednak już jesienią 1945 roku zaczął wykładać w Szkole Inżynierskiej im. H. Wawelberga i S. Rotwanda w Warszawie, z którą był związany, aż do jej połączenia z PW sześć lat później, kiedy to został zatrudniony na Wydziale Mechanicznym Konstrukcyjnym PW. Rok później uzyskał tytuł magistra, którego nie zdążył zdobyć przed wojną, w 1955 roku zaś docenta. Przez pewien czas pracował również w Zakładach Mechanicznych Ursus, przyczyniając się do uruchomienia produkcji ciągników.

Po wojnie inż. Jurek opracował dwie konstrukcje strzeleckie: pistolet maszynowy AJ-56 na radziecki nabój 7,62x25 TT (istniał również projekt na nabój Parabellum) oraz karabinek samoczynny SJ-57 na nabój 7,62x39, nie weszły one jednak do produkcji seryjnej.

Konstruktor kontynuował karierę naukową. Od 1951 roku pracował na stanowisku zastępcy profesora na PW, w latach 1956–1960 był dziekanem Wydziału Samochodów i Ciągników, a od 1960 roku, po zmianie nazwy wydziału na Wydział Maszyn Roboczych i Pojazdów, kierował tam Katedrą Części Maszyn „B”. Jako wykładowca i autor podręcznika „Części maszyn” przyczynił się do powstania tej dyscypliny akademickiej. Zmarł w 1971 roku, spoczął na Cmentarzu Bródnowskim.



RAFAŁ CIASTOŃ jest doktorantem Akademii Sztuki Wojennej, ekspertem Fundacji im. Kazimierza Pułaskiego.

STRATEGIE

/ ROSJA

VADIM SAVITSKY, ALEXEY ERESHKOV / MO FEDERACJI ROSYJSKIEJ





ANDRZEJ WILK

POKAZ SZTUCZEK WOJENNYCH

Choć były to największe i najbardziej spektakularne rosyjskie ćwiczenia od lat, to ich przeprowadzenie nie wydrenowało całego potencjału tamtejszych sił zbrojnych.





R

osyjskie ćwiczenia „Wostok”, do których zaangażowano blisko 300 tys. żołnierzy, zyskały spektakularną oprawę medialną, a przez organizatorów zostały porównane do największych w okresie zimnej wojny manewrów „Zapad ’81”. Co ciekawe, równocześnie kanałami nieoficjalnymi Rosjanie sami podjęli działania na rzecz zdezwuowania rangi i skali „Wostoku”. Takie informacje spotkały się z ochoczym przyjęciem, szczególnie w Europie. Zachodnie gremia eksperckie mają zaś spore problemy z wytłumaczeniem, jakim cudem stojącą podobno na skraju gospodarczego załamania Rosję stać na tak kosztowną formę prężenia mięśni. W rozważaniach nad rzeczywistą skalą przedsięwzięcia zabrakło jednak miejsca na odnotowanie, że „Wostok ’18” to najbardziej widowiskowa część procesu szkolenia armii rosyjskiej, ale to zaledwie jeden jego element, podczas gdy ćwiczenia wojskowe trwają permanentnie we wszystkich regionach Federacji Rosyjskiej.

GRA LICZBAMI

Ćwiczenia szczebla strategicznego prowadzone są w Rosji nieprzerwanie od połowy poprzedniej dekady, naprzemiennie na kolejnych kierunkach – wschodnim („Wostok”), centralnym („Cientr”), południowym („Kaukaz”) i zachodnim („Zapad” i „Tarcza Związku”, oba organizo-

wane wspólnie z armią białoruską). Traktowane są przede wszystkim jako sprawdzian przygotowania sztabów na szczeblu związku operacyjnego (armia, korpus) i wyższym oraz zdolności do przemieszczania zgrupowań wojsk między teatrami działań wojennych. Szkolenie szczebla taktycznego, aczkolwiek najbardziej widowiskowe, nie stanowi ich istoty i de facto nie różni się od innych ćwiczeń poligonowych, niemających nad sobą szyldu ćwiczenia strategicznego.

„Wostok” od początku dekady odróżnia od pozostałych przedsięwzięć deklarowana liczebność, przekraczająca przyjęty w ramach tzw. środków budowy zaufania Organizacji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie poziom 12,5 tys. żołnierzy (standardowo przyjmowany na potrzeby ćwiczeń na pozostałych kierunkach strategicznych). Nie oznacza to, że liczbę uczestniczących w manewrach żołnierzy z założenia należy uznać za zawyżoną lub zaniżoną. Raczej można podejrzewać, że Rosjanie stosują tu coś na kształt kreatywnej księgowości, która w wypadku ćwiczeń w Europie i Azji Środkowej uwzględnia wyłącznie wybrane aspekty szkolenia poligonowego. Jeśli zaś chodzi o „Wostok”, wskazuje liczebność pododdziałów nie tylko bezpośrednio toczących symulowane starcie zbrojne na poligonach, lecz także podnoszących stany gotowości bojowej i wychodzących w rejonny ześrodkowania oraz odpowiedzialnych za szeroko rozumiane zabezpieczenie działań. O ile za-

W ćwiczenia „Wostok” zaangażowano blisko

300 tys.
żołnierzy.

CO NAJMNIEJ
OD LUTEGO 2013
ROKU, KIEDY ROZPOCZĘŁY
SIĘ PIERWSZE TZW.
NIEZAPOWIEDZIANE SPRAW-
DZIANY GOTOWOŚCI BOJOWEJ,
ROSYJSKIE WOJSKO JEST
W STADIUM PERMANENT-
NYCH PRZYGOTOWAŃ
DO WOJNY.

11–17 WRZEŚNIA MIAŁA MIEJSCE TZW. FAZA AKTYW- NA NAJWIĘKSZEGO PRZEDSIĘWZIĘCIA SZKOLENIOWEGO SIŁ ZBROJNYCH FE- DERACJI ROSYJ- SKIEJ, POD KRYPT- TONIMEM **WOSTOK '18**



107

tem deklarowana liczebność „Wostoku '10” na poziomie 20 tys. żołnierzy z jednego tylko okręgu wojskowego (wschodniego) nie dawała powodu do zastanowienia, o tyle już odsłona z 2014 roku, kiedy to było zaangażowanych 155 tys. żołnierzy ze Wschodniego i Zachodniego Okręgu Wojskowego, dała podstawy do podważania faktycznej liczby uczestników ćwiczeń „Kaukaz '16” i „Zapad '17”. Zważywszy na świeżą jeszcze pamięć rosyjskiej agresji zbrojnej przeciwko Ukrainie, tudzież bliskość wschodniej flanki NATO, w obu wypadkach zostały one uznane za bardzo zaniżone.

Tymczasem w związku z deklarowaną przez organizatorów „Wostoku '18” liczbą 297 tys. żołnierzy, tysiąca samolotów, śmigłowców i bezzałogowców, 36 tys. różnego rodzaju pojazdów oraz 80 okrętów i jednostek zabezpieczenia mamy do czynienia z sytuacją odmienną – podaną liczebność uznano za zawyżoną. Zestawienie głównych uczestników ćwiczeń – wojsk Wschodniego i Centralnego Okręgu Wojskowego (łącznie sześć armii ogólnowojskowych oraz dwie lotnicze i obrony powietrznej), Floty Oceanu Spokojnego oraz Floty Północnej, zarówno liczby żołnierzy, jak i wyposażenia, pozwala jednak uznać podawane dane za wiarygodne. Kwestią otwartą pozostaje zaś liczebność pododdziałów zaangażowanych bezpośrednio w przedsięwzięcia poligonowe.

Biorąc pod uwagę sytuację z lat poprzednich, liczba ćwiczących na poligonach – także z racji ich wielkości – oscylowała w granicach 20–25% ogółu zaangażowanych żołnierzy. Uzyskana w ten sposób wielkość 60–75 tys. to i tak mniej niż w czasie „Zapadu '81” (100 tys. sowieckich żołnierzy). Jednak „Wostok '18” to i tak największe przedsię-

wzięcie szkoleniowe od zakończenia zimnej wojny. W odróżnieniu od poprzednich ćwiczeń szczebla strategicznego armii rosyjskiej były to pierwsze manewry o charakterze dwustronnym, w których starły się ze sobą wojska (faktycznie dowództwa) dwóch okręgów wojskowych. Nawet gen. Walerij Gierasimow, szef Sztabu Generalnego Sił Zbrojnych FR, podkreślał, że nie są to zwykłe ćwiczenia na jednym kierunku strategicznym. Aczkolwiek uwagę obserwatorów przykuwało głównie starcie reprezentantów Centralnego i Wschodniego Okręgu Wojskowego (z gościnnym udziałem żołnierzy chińskich i mongolskich) na poligonie Cugoł w Zabajkale, notabene samo w sobie będące gigantycznym przedsięwzięciem, angażującym na jednym poligonie 25 tys. żołnierzy, 7 tys. pojazdów oraz 250 statków powietrznych sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej.

LOGISTYKA RZĄDZI

O strategicznym rozmachu tych manewrów świadczą działania wspierające i zabezpieczające – do przerzutu wojsk wykorzystano ponad 60 składów kolejowych (łącznie 1,5 tys. wagonów i platform), 50 samolotów transportowych oraz kilkadziesiąt jednostek pomocniczych marynarki wojennej. Jednostki Floty Północnej z zaokrętowanymi żołnierzami brygady piechoty morskiej i brygady arktycznej w drodze do rejonów działania miały do pokonania 4 tys. mil, a te centralnego podporządkowania z europejskiej części Rosji – 7 tys. km. Na potrzeby ćwiczeń na liczącym 2,8 tys. km odcinku od Władywostoku do Anadyru na Czukotce oraz 3,5 tys. km od Ułan Ude do Pietropawłowska Kamczackiego została rozwinięta sieć łączności, w której stacjonarne linie wzmocniono systemami i stacjami polo-



DZIŚ ĆWICZENIA TAKIE JAK „WOSTOK '18” NIE SĄ JUŻ SENSACJĄ, LECZ NORMĄ



wymi (łącznie utworzono 150 polowych węzłów łączności). Przy dziewięciu poligonach (pięciu ogólnowojskowych oraz czterech lotniczych i obrony powietrznej) rozwinęto ponad 80 polowych składów materiałów pędnych i smarów oraz amunicji. Ogółem w manewry zaangażowano 36 tys.

żołnierzy pododdziałów zabezpieczenia materiałowo-technicznego. Nawet jeśli się przyjmie, że wszystkie elementy manewrów były dużo wcześniej starannie przygotowane i przećwiczone, trudno podważyć zdolność armii rosyjskiej do przemieszczania zgrupowań wojsk pomiędzy teatrami działań wojennych i zabezpieczenia ich działań.

WIELKA MOBILIZACJA

Ćwiczenia „Wostok '18” były kolejnym już w ostatnich latach przedsięwzięciem, w którym rosyjska armia szkolila się kompleksowo z prowadzenia regularnej operacji militarnej. Zwraca uwagę, że tak jak w wypadku rzeczywistego konfliktu, pododdziały rozpoznania i walki radioelektronicznej przystępowały do działania jeszcze przed fazą aktywną, w okresie przemieszczania pododdziałów ogólnowojskowych i wsparcia do rejonów działań.

Na największą, jak dotychczas, skalę wykorzystano też odpowiedzialne za maskowanie operacyjne formacje, których pododdziały zostały rozwinięte na wszystkich poligonach wyznaczonych do przeprowadzenia manewrów (oprócz standardowych nadmuchiwanym wozów bojowych jednostki inżynieryjne wykorzystały także imitatory systemów S-300 i Iskander).

Istotny jest tu cywilny element manewrów. Po raz drugi (pierwszy raz miało to miejsce eksperymentalnie w 2016 roku) w strategicznych ćwiczeniach sił zbrojnych Federacji Rosyjskiej zostało uwzględnione wykonanie planów mobilizacyjnych – w podmiotach administracyjnych na terenie ćwiczeń utworzono sztaby obrony, pięć największych dalekowschodnich przedsiębiorstw kompleksu obronno-przemysłowego rozpoczęło wykonywanie zadań w reżimie pracy czasu wojny, ogółem zmobilizowano 21 instytucji i ponad 4 tys. rezerwistów.

SKALA ZAANGAŻOWANIA

Niemniej jednak, choć to były największe i najbardziej spektakularne ćwiczenia od wielu lat, ich przeprowadzenie nie wydrenowało całego potencjału sił zbrojnych FR. We wrześniu 2018 roku różnej skali przedsięwzięcia szkoleniowe trwały praktycznie nieprzerwanie także na pozostałych kierunkach strategicznych. Na początku miesiąca po raz pierwszy od zakończenia zimnej wojny tamtejsze marynarka wojenna i siły powietrzne zorganizowa-

ły duże manewry we wschodniej części basenu Morza Śródziemnego. Zaangażowano w nie 26 okrętów (w tym dwa podwodne) i jednostek pomocniczych oraz 34 samoloty (w tym dwa bombowce strategiczne) i śmigłowce, a jednym z elementów ćwiczeń był de-

sant morski na wybrzeżu syryjskim.

Szczególną uwagę zwracają jednak rozpoczęte w pierwszym tygodniu września i kontynuowane już po zakończeniu „Wostoku '18” ćwiczenia w obwodzie kaliningradzkim oraz na Krymie. Skalą zaangażowanych sił i środków nie odbiegają od „Zapadu '17” i „Kawkazu '16”. Oba zgrupowania zostały też wzmocnione – służba medyczna w obwodzie kaliningradzkim dostała pierwszy tego rodzaju w rosyjskiej marynarce szpital mobilny, z kolei na Krymie rozmieszczono trzeci już dywizjon obrony powietrznej wyposażony w systemy S-400.

Z perspektywy wschodniej flanki NATO na odnotowanie zasługują ćwiczenia jednostek 1 Armii Pancernej. Począwszy od 5 września na poligony, m.in. cyfrowe Mulino, wyruszały pododdziały elitarnych dywizji – 2 Tamańskiej Dywizji Zmechanizowanej i 4 Kantemirowskiej Dywizji Pancernej. Z kolei 17 września na 15 poligonach Południowego Okręgu Wojskowego rozpoczęły się manewry batalionowe – łącznie zaplanowano 30 przedsięwzięć dwustronnych z udziałem 45 tys. żołnierzy. Permanentne ćwiczenia lotnictwa i obrony powietrznej od początku września trwały także w największym lotniczo-rakietowym kompleksie poligonowym Kapustin Jar pod Astrachaniem.

Jeszcze dekadę temu zorganizowanie przez armię rosyjską manewrów o skali porównywalnej z „Wostokiem '18”, z równoczesnym utrzymaniem intensywnego tempa szkolenia wojsk w pozostałych rejonach Rosji, mogłoby uchodzić za sensację (de facto ówczesne siły zbrojne nie byłyby do czegoś takiego zdolne), obecnie – mimo wywołanego zamieszania w mediach – należy je uznać za normę.

Co najmniej od lutego 2013 roku, kiedy rozpoczęły się pierwsze tzw. niezapowiedziane sprawdziany gotowości bojowej, rosyjskie wojsko jest w stadium permanentnych przygotowań do wojny, a przekraczanie kolejnych barier ilościowych i jakościowych nie wprowadza pod tym względem nowej jakości. Kwestią otwartą pozostaje, kiedy władze w Moskwie ponownie odczują potrzebę zbrojnego rozwiązania problemu, z którym nie radzą sobie innymi sposobami, a także, gdzie to nastąpi. ■

ANDRZEJ WILK jest głównym specjalistą do spraw wojskowych aspektów bezpieczeństwa międzynarodowego w Ośrodku Studiów Wschodnich, w którym pracuje od 1999 roku.

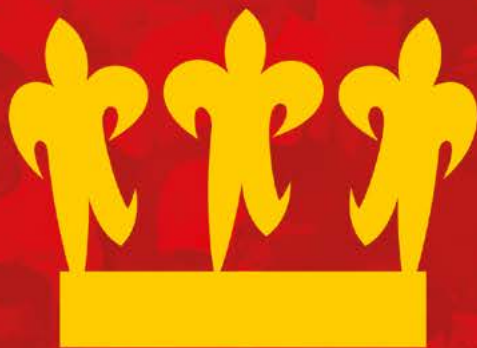
**Pobiegnij
w 100-lecie
Wolności!**



TRIADA BIEGOWA
ZABIEGAJ O PAMIĘĆ



STOLICA
WOLNOŚCI
1918-2018



BIEG NIEPODŁĘGŁOŚCI

WARSZAWA, 11 listopada 2018 r.

Zapisy już od 6 października!

www.aktywnawarszawa.pl  AKTYWNA WARSZAWA

SPONSOR STRATEGICZNY:



Bank Polski

SPONSOR TECHNICZNY:



OFICJALNY NAPÓJ:



PARTNER MEDYCZNY:



Michel Temer, prezydent Brazylii, 28 sierpnia 2018 roku podpisał dekret o gwarancji prawa i porządku. Na mocy tego dokumentu żołnierze otrzymali uprawnienia do wykonywania obowiązków policyjnych na terenach graniczących z Wenezuelą. Jego przepisy już wprowadzono w życie. Nie podano jednak, ilu żołnierzy wysłano na pogranicze. Temer podjął decyzję o użyciu wojska w tym rejonie po tym, gdy w mieście Pacaraima w stanie Roraima doszło do ataków mieszkańców na obozowiska wenezuelskich uchodźców. Nie jest to odosobniony wypadek, bo wielka fala emigracji z Wenezueli stanowi też problem dla innych państw Ameryki Łacińskiej.

TADEUSZ WRÓBEL

STAN UPADKU

**Kryzys polityczno-gospodarczy
w Wenezueli przestał być problemem
wewnętrznym tego państwa.**

Hugo Chávez, który doszedł do władzy w wyniku wyborów w 1998 roku, obiecywał reformy i poprawę życia większości mieszkańców Wenezueli. Początkowo prowadził umiarkowaną politykę zagraniczną i gospodarczą. W 2001 roku jednak ostro skrytykował operację militarną w USA przeprowadzoną po zamachach 11 września. W kwietniu następnego roku doszło do nieudanej próby obalenia Cháveza przez część wojskowych. Wówczas oskarżył on Stany Zjednoczone o to, że wspierały puczystów.

Od tego czasu Hugo Chávez zaczął zacieśniać relacje z lewicowymi rządami w regionie: na Kubie, w Nikaragui i Ekwadorze. Nawiązał też bliższe kontakty politycz-

no-gospodarcze z Rosją i Chinami. W ekonomii zaczął odchodzić od polityki trzeciej drogi w kierunku rozwiązań socjalistycznych.

CHWIEJNE CENY ROPY

Niemniej jednak w połowie poprzedniej dekady wzrost gospodarczy w Wenezueli wynosił kilkanaście procent rocznie. Stałe wpływy z eksportu ropy naftowej, której ceny od 1998 roku rosły, zapewniały środki na reformy społeczne, poprawiające sytuację życiową wielu Wenezuelczyków. Jednocześnie rządowi udało się zgromadzić w tym okresie dużą rezerwę walutową. Od przełomu 2007 i 2008 roku rozpoczął on nacjonalizację nie-



MIRCEA MATIES/FOTOLIA
PK/DZIAŁ GRAFICZNY

NA WIOSNĘ 2018 ROKU ROCZNA STOPA INFLACJI ZBLIŻYŁA SIĘ DO 14 000%. OD POCZĄTKU ROKU DO LIPCA ODNOTOWANO JEJ WZROST O 83 000%

których gałęzi przemysłu, tak by ograniczyć wpływy zagranicznych koncernów.

W 2013 roku cierpiący na chorobę nowotworową Chávez zmarł. Prezydentem Wenezueli został wówczas namaszczony przez niego Nicolás Maduro. Wkrótce sytuacja gospodarcza kraju bardzo się pogorszyła. Wenezuela boleśnie odczuła skutki monokultury gospodarczej opartej na ropie naftowej, a z jej sprzedaży pochodziło 96% dochodów państwa. Spadek cen tego surowca na światowych rynkach spowodował, że rządowi zaczęło brakować pieniędzy, a jednocześnie gwałtownie rosła inflacja. Na początku 2016 roku Maduro ogłosił ekonomiczny stan wyjątkowy. Według raportu parlamentarnej komisji finansów z wiosny 2018 roku, roczna stopa inflacji zbliżyła się do 14 000%. Od początku roku do lipca odnotowano jej wzrost o 83 000%.

Konsekwencją hiperinflacji jest gigantyczny wzrost cen. Brakuje żywności, farmaceutyków, a nawet wody pitnej. Niedostatek energii elektrycznej z kolei spowodował ograniczenia w funkcjonowaniu wielu zakładów. Ponownie zaczęło rosnąć bezrobocie. Szacuje się, że w ubóstwie żyje prawdopodobnie 80% Wenezuelczyków. Nic dziwnego zatem, że w spauperyzowanym kraju ponownie zwiększyła się przestępczość.

WIELKA EMIGRACJA

Taka sytuacja spowodowała, że Wenezuelczycy zaczęli masowo opuszczać kraj. Stéphane Dujarric, rzecznik prasowy ONZ, podał, że do czerwca 2,3 mln Wenezuelczyków, czyli około 7% spośród liczącej 32,4 mln populacji, było za granicą. Kilkaset tysięcy udało się do Kolumbii. Podobnie było z Peru, Ekwadorem i Chile. Kil-

kadziesiąt tysięcy osób przeszło przez granicę z Brazylią. Dane te są już nieaktualne, bo każdego dnia Wenezuelę opuszczają tysiące ludzi. „Nie jest to już kwestia wewnętrznej polityki danego kraju, ale wykracza poza granice wielu krajów i zagraża łaďdowi na całym kontynencie”, stwierdził w wystąpieniu telewizyjnym prezydent Temer.

Napływ emigrantów z Wenezueli wywołał problemy w państwach Ameryki Południowej. Są to niezamożne kraje, więc tamtejsi mieszkańcy, często żyjący w ubóstwie, traktują ich jako rywali w dostępie do ograniczonej pomocy społecznej i medycznej. Wystarczy zatem iskra, by doszło do antyimigranckich rozruchów, jak te z 18 sierpnia w Pacaraimie.

Władze niektórych krajów próbują powstrzymać napływ uchodźców. W Ekwadorze i Peru zaczęto wymagać od nich paszportów, chociaż wcześniej do przekroczenia granicy wystarczył dowód osobisty. Ta metoda nie spodobała się jednak Kolumbii, która ma najdłuższą granicę z Wenezuelą, bo to oznacza, że mniej spośród migrantów będzie mogło przenieść się do innych państw.

Na wiele miesięcy przed dekretem prezydenta Temera sąsiedzi Wenezueli zaczęli wzmacniać siły policyjne i wojskowe na swych granicach. W lutym 2018 roku uczyniła to Gujana, ze względu na wzrost aktywności wenezuelskich gangów przemycających broń, by wymienić ją na żywność. Wtedy też zwiększenie liczby patroli granicznych zapowiedziała Brazylia. Podobne środki od lat stosuje Kolumbia, bo złe relacje między tymi państwami nie są niczym nowym. Na początku lutego 2018 roku wysłano jednak na pogranicze dodatkowo 2120 żołnierzy i 880 funkcjonariuszy.

Władze kolumbijskie zarzucały Chávezowi, że wspierał lewackie partyzantki w ich kraju. Prezydent Wenezueli uważał natomiast, że rząd z Bogoty jest ślepym wykonawcą poleceń Waszyngtonu. Gdy 4 sierpnia 2018 roku podczas uroczystości wojskowych doszło do próby zamachu na Madurę z użyciem dronów, ten odpowiedzialnością za atak obarczył „prawicowe elementy” w Kolumbii.

RYSY NA MONOLICIE

Hugo Chávez i Nicolás Maduro przetrwali próby obalenia, bo lojalna pozostała wobec nich większość ludzi z resortów siłowych. Niemniej jednak pogłębiający się kryzys gospodarczy przyczynia się do pogarszania morale wojskowych i funkcjonariuszy. Część oficerów i żołnierzy porzuciła służbę. Powodem były nienadające za inflacją wynagrodzenia, a także niedobory żywności, a nawet umundurowania. Według organizacji pozarządowych, w 2017 roku co najmniej





Zamieszki na ulicach Caracas przeciwko rządowi Nicolása Madury wywołują chaos w mieście.



Upadek rządów MADURY byłby prawdopodobnie równoznaczny z powrotem Wenezueli w orbitę wpływów USA, a tego nie chcą ani w Moskwie, ani w Pekinie.

10 tys. wojskowych, głównie tych, którzy zyskali już uprawnienia emerytalne, wyraziło chęć odejścia ze służby. Wówczas nie wszyscy zamierzali emigrować, niektórzy chcieli przejść do sektora prywatnego.

Co ciekawe, od 2015 roku zaczęła rosnąć liczba żołnierzy, których osadzono w więzieniu po oskarżeniu o zdradę, dezercję, bunt lub inne przestępstwa. Agencja Reuters podała, że w pierwszych czterech miesiącach 2018 roku były 172 takie osoby, czyli trzy i pół razy więcej niż w tym samym okresie 2017 roku. Zresztą oskarżenia te czasami nie były bezpodstawne, bo zdarzały się poważne wystąpienia przeciwko obecnej władzy. Grupa dysydentów pod dowództwem oficera Gwardii Narodowej kpt. Juana Carlosa Caguaripano zaatakowała 6 sierpnia 2017 roku Fort Paramacay w mieście Naguanagua. Miesiąc wcześniej zaś zbuntowany oficer policji Óscar Pérez porwał śmigłowiec i ostrzelał z niego budynki państwowe w Caracas.

Na początku lutego 2018 roku ówczesny sekretarz stanu USA Rex Tillerson powiedział, że wojskowi wenezuelscy mogą usunąć Maduro. Ten zaś dotąd kupuje lojalność generałów, powierzając im lukratywne stanowiska w aparacie państwowym, w tym w strukturach zajmujących się dystrybucją żywności. Wysocy rangą wojskowi znaleźli się we władzach koncernu PDVSA.

SPIRALA UZALEŻNIEŃ

Przed laty, gdy sytuacja gospodarcza w Wenezueli była dobra, Rosja i Chiny chętnie robiły z nią interesy. Wtedy Chávez obawiał się zbrojnej interwencji USA, więc od Rosjan nabywał broń. Moskwa z kolei chętnie udzielała mu na to kredytów. Do Wenezueli trafiły też

miliardy dolarów z Chin. Nie były to jednak prezenty. W ramach spłaty Pekin i Moskwa dostają wenezuelską ropę naftową. W efekcie, wobec problemów ze zwiększeniem produkcji, władzom w Caracas pozostaje na sprzedaż za gotówkę około połowy dziennego wydobycia.

Rosja i Chiny wspierają Wenezuelę ekonomicznie od czasu wybuchu kryzysu gospodarczego. Jesienią 2017 roku Moskwa zgodziła się na restrukturyzację 3,5 mld dolarów długu rządowego Caracas. Nie wiadomo jednak, czy FR i ChRLD będą skłonne przekazać większe fundusze bez gwarancji ich odzyskania. Zwłaszcza że Rosja, która też jest eksporterem surowców energetycznych, odczuła skutki spadku cen ropy naftowej. A sytuację gospodarczą pogarszają sankcje nałożone na nią przez państwa zachodnie po agresji na Ukrainę.

NIEPEWNA PRZYSZŁOŚĆ

Wenezuela ma jednak pewne atuty, takie jak chociażby koncesje wydobywcze. W grudniu 2017 roku Nicolás Maduro udzielił spółce Rosnieft zezwolenia na eksploatację dwóch największych wenezuelskich złóż gazu na Morzu Karaibskim. Poza tym na miliardy dolarów zadłużony jest w Rosji państwowy koncern naftowy Petróleos de Venezuela. Jeśli nie będzie w stanie zwrócić pieniędzy, może przejść pod kontrolę Moskwy.

W tej układance jest jeszcze aspekt polityczny. Upadek rządów Madury byłby prawdopodobnie równoznaczny z powrotem Wenezueli w orbitę wpływów USA, a tego nie chcą ani w Moskwie, ani w Pekinie. Możliwe zatem, że Rosjanie i Chińczycy będą wspierać obecną ekipę w Caracas jak najdłużej. Tyle że jak najmniejszym kosztem. ■

Podczas swego wystąpienia na Forum Europejskim w austriackim miasteczku Alpbach pod koniec sierpnia prezydent Kosowa Hashim Thaçi zadeklarował: „We are not problematic guys”. Mówiąc „my”, miał na myśli siebie oraz prezydenta Serbii Aleksandra Vučića, który siedział na scenie tuż obok. Przysłuchująca się wypowiedzi Thaçiego publiczność, w większości dziennikarze i komentatorzy polityczni, wybuchła śmiechem. Rozbawienia nie krył również Vučić, kiedy Thaçi, najwyraźniej zaskoczony reakcją zgromadzonych osób, wyjaśniał nieporadną angielszczyzną: „We try to do agreement”.

Cała ta scena może zostać uznana za zabawną, stanowi jednocześnie ironiczny (aczkolwiek ironia byłaby niezamierzona) komentarz do tego, czym właściwie zajmują się serbscy i kosowscy politycy: próbowaniem (z naciskiem na to właśnie słowo) „zorganizowania” jakiejś umowy.

TABLICE NIEZGODY

Doskonałym przykładem tego, jak w rzeczywistości wyglądają działania „mało problematycznych”, jak chce Thaçi, „gości” z Bałkanów, było wakacyjne zamieszanie wokół granic Kosowa. Dość nieoczekiwanie stały się one gorącym tematem w mediach europejskich, pisała o tym również polska prasa. Ciekawe są okoliczności tej sprawy. Otóż pod koniec lipca w okolicach wsi Karačevë/Karačevë we wschodnim Kosowie służby ustawiły znaki informujące o granicach terytorialnej odpowiedzialności jednostek KFOR-u oraz misji UNMIK. Mieszkańcy wsi poskarżyli się jednak mediom w Prisztinie, informując, że jeśli granice będą przebiegać tak, jak informują tabliczki KFOR-u, to ich domy znajdą się po stronie serbskiej, w gminie Bujanovac.

Temat błyskawicznie podchwyciły media regionalne, robiąc z niewielkiego w sumie problemu lokalnego – duży problem polityczny. Prasa zaczęła grzmieć, że oto właśnie rękami żołnierzy KFOR-u wytyczana jest granica między Serbią a Kosowem, że bezprawnie są ustawiane tablice graniczne, regulowane stare linie administracyjne itp. Liczba komentarzy w prasie serbskiej i kosowskiej szybko rosła, w pewnym momencie prorosyjski portal Komersant.rs

wplątał w to także Unię Europejską. Ogłosił mianowicie, że kolejnym wymogiem, który UE postawi przed rządami Serbii i Kosowa, będzie kwestia wytyczenia granic. Nic już nie pomagały wyjaśnienia lokalnych urzędników, że w Karačevie wymieniono jedynie stare, mało czytelne tablice na nowe. Medialna machina poszła w ruch, a sprawą granic zaczęli się już interesować politycy.

ROBERT SENDEK

Krojenie granic na nowo

Głośno było w ostatnich tygodniach o możliwych zmianach granic na Bałkanach. Dużo w tym jednak myślenia życzeniowego, gdyż nie wydaje się, aby w najbliższym czasie taka korekta była możliwa.

SKORYGOWAĆ BŁĘDY

Pod wpływem doniesień medialnych głos w sprawie granic Kosowa zabrał również prezydent Hashim Thaçi, proponując ich „korektę”. Miałyby ona polegać na przyłączeniu do Kosowa tzw. doliny Preševa oraz gminy Medveda. Tu wyjaśnienie: dolina Preševa to dwie pograniczne gminy w południowej Serbii, których siedzibami są miasteczka Preševo oraz Bujanovac. Z kolei Medveda położona jest nieco bardziej na północ, poza geograficzną doliną Preševa. Zwykle Preševo, Bujanovac i Medveda wymieniane są łącznie w związku z faktem, iż Albańczycy stanowią tam większość mieszkańców.

Mówiąc o korekcie granic, Thaçi zaznaczył, iż występuje z tą propozycją na wniosek samych zainteresowanych, czyli Albańczyków z doliny Preševa. Co najciekawsze, słowem nie wspomniał, co Serbia miałaby otrzymać w zamian za odstąpienie trzech gmin, tym bardziej że, jak sam wcześniej stwierdził, podział Kosowa, wymiana terytoriów ani autonomia dla kosowskich Serbów nie wchodzi w grę.

Koncept „korekty granic” podchwycili ze swej strony również Serbowie, choć ujęli go nieco inaczej. Nikt w Belgradzie nie brał na poważnie propozycji Thaçiego odnośnie do przyłączenia do Kosowa trzech gmin w południowej Serbii, chodziło o coś innego. Od dłuższego czasu mówi się bowiem w Serbii o tym, że władze serbskie powinny w jakiś sposób uzyskać realny wpływ na północne Kosowo. Jest to region, gdzie większość mieszkańców stanowią Serbowie, którym nie po drodze jest z władzami w Prisztinie. Domagają się oni dla siebie autonomii, na co z kolei nie chcą się zgodzić Albańczycy. Gdy zatem w mediach wypłynął koncept „korekty granic”, Serbowie mieli na myśli raczej wyłączenie spod władzy Prisztiny północnego





Kosowa, niż oddawanie Prisztinie kontroli nad gminami w południowej Serbii.

Ktoś jednak skojarzył, że plany obydwu stron można w jakiś sposób połączyć, pojawiła się więc w mediach koncepcja „wymiany terytoriów”. Z grubsza rzecz biorąc, chodziłoby w niej o to, by Serbowie uzyskali północne Kosowo, w zamian zaś oddaliby Albańczykom dolinę Preševa i Medvedę. Pomysł ten ma swoich zwolenników, argumentujących, że to dobre rozwiązanie skomplikowanej kwestii Kosowa i szansa na ułożenie niełatwych stosunków serbsko-albańskich. Tego zdania jest na przykład Wolfgang Petritsch, austriacki dyplomata, pełniący jeszcze w latach dziewięćdziesiątych

funkcję ambasadora w ówczesnej Jugosławii. Petritsch był mocno zaangażowany w sprawy regionu, gdyż jako przedstawiciel Unii Europejskiej uczestniczył m.in. w kończących wojnę w Kosowie rozmowach pokojowych w Rambouillet i Paryżu, później zaś pracował kilka lat jako wysoki przedstawiciel ONZ w Bośni i Hercegowinie.

Wielu komentatorów politycznych pochyliło się nad sprawą ewentualnej korekty granic, wskazując jej wady i zalety. Temat ten pojawił się również w dyskusji podczas Forum Europejskiego w Alpbach, w którym uczestniczyli Aleksandar Vučić i Hashim Thaçi. Trudno jednak uznać, by obydwaj bałkańscy politycy, mó-



Korekta granic według prezydenta Kosowa HASHIMA THĄCIEGO miałaby polegać na przyłączeniu do Kosowa tzw. doliny Preševa oraz gminy Medveda.

**WIEŚ VOJTESH
W KOSOWIE. ALBAŃCZY-
CY BLOKUJĄ DROGĘ NA PLA-
NOWANEJ TRASIE PRZEJAZDU
PREZYDENTA SERBII ALEKSANDRA
VUČIĆA, KTÓRY CHCE ODWIEDZIĆ
LEŻĄCĄ NA PÓŁNOCY KOSOWA
WIOSKĘ BANJĘ, ZAMIESZKANĄ
W WIĘKSZOŚCI PRZEZ
SERBÓW. 9 WRZEŚNIA
2018 ROKU.**



więc o korekcie granic, mieli na myśli to samo. W komentarzach prasowych po zakończeniu forum pojawiało się jednak stwierdzenie, że zmiana granic na Bałkanach przestała być tematem tabu.

WYTYCZYĆ NA NOWO

Sprawa ewentualnej wymiany terytoriów czy korekty granic jest bardziej skomplikowana i trudniejsza do przeprowadzenia, niż mogłoby się wydawać. Z pewnością wyszłaby też poza dwustronne stosunki serbsko-albańskie. Procedura taka musiałaby na przykład oznaczać zaakceptowanie przez Serbów niepodległości Kosowa. Aby bowiem plan wymiany terytoriów miał sens, rząd serbski musiałby go zawrzeć z równorzędnym partnerem, a nie z samym sobą – do tego bowiem sprowadziłaby się umo-

wa, jeśli uznajemy, że Kosovo to część składowa Serbii. Tymczasem na uznanie Kosowa przez Belgrad na razie się nie zanosi.

Inna sprawa, że większość dyplomatów europejskich jest raczej niechętna jakimkolwiek zmianom granic na Bałkanach. Precedens z ewentualną zmianą granic Kosowa mógłby – ich zdaniem – oznaczać otwarcie puszek Pandory we wciąż niezbyt stabilnym regionie. Bo skoro można zmieniać i przesuwac granice w Kosowie, to czemu nie gdziekolwiek indziej? Przeciwnicy kreślenia granic na nowo argumentują, że skoro będzie można do Kosowa przyłączyć zamieszkaną przez Albańczyków dolinę Preševa, to czemu do Serbii nie przyłączyć Republiki Serbskiej? To zaś oznaczałoby z kolei faktyczny rozpad Bośni i Hercegowiny, gdyż Republika Serbska jest członem konstytucyjnym tego kraju. Jeśli uda się to przeprowadzić, na pewno z podobnymi pomysłami na poprawienie świata i map swych krajów wystąpi wielu innych polityków w regionie, czego efektem będzie stały wzrost napięcia, a być może nawet konflikt nie tylko dyplomatyczny. Wytyczania nowych granic nie chcą również przeciwnicy polityczni Thaçiego na kosowskiej scenie politycznej. Ramush Haradinaj, obecny premier Kosowa, z miejsca odrzucił możliwość podziału republiki czy wymiany terytoriów z Serbią.

GRECJA I MACEDONIA PRZYKŁADEM

Wydaje się jednak, iż problem korekty granic, względnie wymiany terytoriów między Kosowem a Serbią, to tylko mocno nagłośniony temat zastępczy. Konkretnych propozycji, precyzujących, na czym mogłaby polegać ewentualna umowa graniczna, nie ma. Wiele zaś przemawia przeciwko podejmowaniu tej trudnej kwestii. Ważniejsze w całej historii jest to, że poruszając tak trudne i kontrowersyjne sprawy, politycy serbscy i kosowscy w ogóle ze sobą rozmawiają. Serbowie i Albańczycy jako sąsiedzi są na siebie skazani. I jako sąsiedzi będą musieli się porozumieć, wypracować jakiś rodzaj współistnienia akceptowany przez obie strony. Dlatego tak ważne jest utrzymywanie wzajemnych kontaktów, organizowanie spotkań i prowadzenie rozmów, nawet na tematy zastępcze. Wszystko to, o ile nie prowadzi do przemocy, jest rodzajem udeptywania drogi do ewentualnego porozumienia w przyszłości.

Nadzieję, że możliwa jest jakaś umowa satysfakcjonująca zarówno Serbów, jak i kosowskich Albańczyków, wyrażają urzędnicy unijni. Przywołują oni w tym kontekście przykład Macedonii i Grecji. Dzięki woli politycznej premierzy obydwu tych krajów, Aleksis Tsipras i Zoran Zaev, osiągnęli w czerwcu 2018 roku historyczne porozumienie, kończące wieloletni – i zdawałoby się niemożliwy do rozwiązania – spór o nazwę „Macedonia”. ■

TOMASZ OTŁOWSKI

**Wojnę z Państwem Islamskim wygra ten,
kto wykaże się większą odpornością na
zadawane straty oraz zdolnością adaptacji
do szybko zmieniających się uwarunkowań
strategicznych i politycznych.**

Poszarpane sztandary dżihadu

Środa 25 lipca 2018 roku zapisze się w historii społeczności i gmin południowosyryjskiej prowincji Suweida jako jeden z najgorszych dni w historii. Ta granicząca z Jordanią część Syrii, zamieszкана w większości przez Druzów (mniejszościową grupę wyznaniowo-etniczną), dotychczas uniknęła koszmarów wojny domowej, będących udziałem mieszkańców innych prowincji kraju. Stało się tak głównie dzięki poparciu, którego społeczność druzyjska od dekad udziela rządów alawickiego klanu Asadów. W ósmym roku konfliktu syryjskiego ów koszmar dotknął jednak także Suweidę – właśnie 25 lipca setki zdeterminowanych, fanatycznych napastników przyniosło do tej prowincji, w doskonale zaplanowanej serii ataków, śmierć i zniszczenie. W rezultacie walk i zamachów zginęło niemal 300 osób,



ROMAN DEKAN/FOTOLIA

głównie cywilów, a kilkaset odniosło rany. Kolejnych kilkadziesiąt – głównie kobiety i dzieci – napastnicy uprowadzili jako zakładników, a ich los pozostaje nieznyany.

Rankiem 21 sierpnia 2018 roku, w dzień Id al-Adha (muzułmańskie Święto Ofiarowania), świąteczny nastrój w Kabulu prysł niczym mydlana bańka. Pociski moździerzowe, wystrzeliwane z kilku odrębnych lokalizacji, z regularną częstotliwością spadały przez niemal pół godziny na kwartał wokół pałacu prezydenckiego, gdzie Aszraf Ghani wygłaszał okolicznościowe przemówienie świąteczne. Afgańskim siłom bezpieczeństwa dopiero po trzech godzinach udało się zneutralizować napastników i przywrócić względny spokój w centrum stolicy.

UŚPIONY POTWÓR

Oba incydenty łączy organizacyjna przynależność napastników – wszyscy byli członkami Państwa Islamskiego (IS). Ta ekstremistyczna organizacja, powstała

w 2014 roku w Lewancie jako kolejna generacja sunnickiego ruchu dżihadu, cechuje się znacznie większą bezwzględnością i brutalnością od swych poprzedników, w tym Al-Kaidy. Latem 2014 roku IS zrealizowało jeden ze swych najważniejszych celów strategicznych, powołując do życia tzw. kalifat (quasi-państwo muzułmańskie) na części terenu Iraku i Syrii.

Ostateczna likwidacja centrali IS w Lewancie – jego administracyjnego, politycznego i militarnego centrum ze stolicą w syryjskim mieście Rakka – trwała niemal trzy lata. Wymagała zaangażowania oraz zgodnego współdziałania niechętnych sobie na co dzień aktorów lokalnej i globalnej sceny międzynarodowej: Amerykanów i Rosjan, Arabów znad Zatoki Perskiej i Irańczyków, Turków i Kurdów, a nawet Izraelczyków. Najpierw, w latach 2015–2016, po powstrzymaniu żywiołowej ekspansji struktur IS, zaczęto odzyskiwać z jego rąk pojedyncze skrawki terenu, głównie w Iraku.

W lutym 2016 roku odzyskano Ar-Ramadi, w czerwcu wyzwolono z rąk kalifatu osławioną Falludżę. W lipcu 2017 roku odbito Mosul, największe kontrolowane kiedykolwiek przez islamistów miasto. Później stopniowo wyrwano kalifatowi kolejne tereny, w Iraku i w Syrii. Jesienią 2017 roku ostatecznie zdobyto samozwańczą stolicę IS, syryjską Rakkę, a w ciągu kolejnych miesięcy zlikwidowano ostatnie punkty oporu radykałów wzdłuż doliny Eufratu po obu stronach granicy.

Centrala kalifatu skurczyła się do kilku niewielkich skrawków terytorium na odludnych, pustynnych obszarach pogranicza syryjsko-irackiego. To właśnie z jednej z takich trudno dostępnych enklaw pochodzili napastnicy, którzy w lipcu 2018 roku zaatakowali Suweidę. Stamtąd też wyruszają terrorystyczne komando, dokonujące zamachów w zachodniej Syrii oraz w szyickich prowincjach centralnego i południowego Iraku. Według różnych szacunków, liczba bojowników IS, ukrywających się gdzieś na irackiej i syryjskiej pustyni, wciąż waha się między 1,5 tys. a nawet 30 tys. Wśród nich jest wielu zdesperowanych i fanatycznych islamistów z zagranicy (także z Zachodu), którzy nie mają już dokąd ani jak wracać. Jak zwykle, prawda co do liczebności członków IS w Lewancie leży zapewne gdzieś pośrodku, co i tak oznacza, że rzekomo ostatecznie rozbita centrala kalifatu wciąż stanowi śmiertelne zagrożenie dla całego regionu.

Co więcej, wszystko wskazuje na to, że koniec chwały centrum kalifatu przeżył jego twórca i przywódca – samozwańczy kalif Ibrahim, czyli Abu Bakr al-Bagdadi. Choć na przestrzeni czterech lat już kilkanaście razy ogłaszano jego śmierć, to najwyraźniej on nadal żyje i kieruje Państwem Islamskim, czego dowodzi opublikowane w sierpniu 2018 roku nagranie z odezwą do członków i sympaty-




**KALIFAT TO NIE TYLKO
SAMO UGRUPOWANIE,
LECZ TAKŻE TRUDNA
DO ZWALCZENIA IDEA
ROZPALAJĄCA
WYOBRAŹNIĘ I EMOCJE
MILIONÓW
MUZUŁMANÓW NA
CAŁYM ŚWIECIE**

ków IS. Potwierdza to obawy, że Państwo Islamskie wciąż jest kierowane przez dotychczasowych liderów, jak zawsze zdeterminowanych i radykalnych, a obecnie jeszcze dodatkowo sfrustrowanych klęską w walce z niewiernymi.

MACKI KALIFATU

Poza tym jest nie tylko centrala w Lewancie, lecz są także rozsiane po całym świecie lokalne odgałęzienia – prowincje (wilajety) kalifatu. Od Maghrebu, Libii i Sahelu, przez Afrykę Zachodnią (Nigeria) i Wschodnią (Kenia, Somalia), Synaj, Jemen, Kaukaz, Afganistan i Pakistan, aż po Azję Południowo-Wschodnią (Filipiny i Indonezja) – wszędzie tam powstały w ostatnich czterech latach odnogi kalifatu. W większości były to lokalne komórki i ugrupowania dżihadystyczne, dotychczas wierne Al-Kaidzie.

Jeszcze dwa lata temu kalifat mógł się pochwalić kilkunastoma takimi zamorskimi wilajetami, a teraz pozostało ich już najwyżej osiem. Spośród nich zaledwie trzy lub cztery liczą się jako relatywnie wartościowe – a więc niebezpieczne dla ich otoczenia – ekspozytury Państwa Islamskiego. Chodzi o wilajet Al-Fizzan w Libii, As-Sinai na Synaju oraz Al-Chorasan w regionie afgańsko-pakistańskim. Dużą aktywność wykazuje też najmłodszy wilajet – Al-Falabin, obejmujący południowe Filipiny.

LIBIJSKI PRZYZCÓŁEK

Terytorium Libii, na którym już od ponad siedmiu lat toczy się chaotyczna i brutalna wojna plemiennie-etniczna, zapewnia idealne warunki do działalności islamskich ekstremistów. Nic zatem dziwnego, że także i Państwo Islamskie podjęło próbę wykorzystania takiej sytuacji. Tym bardziej że Libia już od lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku była regionalnym centrum aktywności sunnickiego dżihadyzmu. Po obaleniu Muammara Kaddafiego islamisci – tak jak w Syrii – szybko zdominowali szeregi rebeliantów, narzucając antyreżimowej rewolucji swe cele religijne. Szybko też uzyskali znaczącą pozycję w kraju, budując na zajętych terenach zręby własnej państwowości.

O tym, jak ważna była wówczas Libia dla strategii IS, świadczy to, że właśnie w Dernie powstała latem 2014 roku pierwsza zamorska kolonia kalifatu – wilajet Al-Barqa. W następnym roku islamisci utworzyli w tym kraju kolejne dwie prowincje libijskie: Al-Tarabulus i Al-Fizzan. Jeszcze trzy lata temu mówiło się o nich jako o najbardziej prawdopodobnych zastępczych lokalizacjach dla członków najwyższego kierownictwa IS w razie upadku centrali w Lewancie. Wskutek niekorzystnego dla kalifatu przebiegu wydarzeń libijskiej wojny domowej aktywność ośrodków w tym kraju została jednak niemal całkowicie zlikwidowana, a rola samego IS poważnie zmarginalizowana.



WZROST AKTYWNOŚCI PAŃSTWA ISLAMSKIEGO W RÓŻNYCH CZĘŚCIACH ŚWIATA OZNACZA, ŻE OSTATECZNE POKONANIE TEGO UGRUPOWANIA MOŻE NASTĄPIĆ W BARDZO ODLEGŁEJ PRZYSZŁOŚCI

Stało się to już w 2016 roku, czyli znacznie wcześniej niż zniszczono macecznik Państwa Islamskiego w regionie syryjsko-irackim. Najnowsze doniesienia z północnej Afryki sugerują jednak, że ogłoszenie klęski islamistów w Libii było przedwczesne. Od kilku miesięcy już wiadomo, że systematycznie zwiększają oni swą aktywność operacyjną w tym kraju. Co ważne, podejmują ją także na terenie kilku sąsiednich państw – Algierii, Nigru i Czadu, a nawet Mali i Sudanu.

MILITARYZACJA PÓŁWYSPU

Wątpliwości, jeśli chodzi o skuteczność działania, nie ma w wypadku wilajetu As-Sinai. Ta jedna z najstarszych odnog kalifatu złą zyskała sławę, gdy w 2015 roku przeprowadziła zamach na samolot rosyjskich linii Metrojet z turystami wracającymi z Egiptu do Rosji. Od tego czasu jej zbrodnicza aktywność wciąż się nasila, a egipskie siły bezpieczeństwa nie są w stanie poradzić sobie z tą islamiistyczną rebelią. I to pomimo zaangażowania znacznych sił

i środków – na półwyspie Synaj rozmieszczono już niemal 45 tys. żołnierzy armii egipskiej, czyli 10% całości jej sił.

Jest to o tyle znamienne, że od czasu zawarcia przez Egipt pokoju z Izraelem (1979 rok) ten teren jest obszarem zdemilitaryzowanym i wszelka podejmowana tam egipska aktywność wojskowa wymaga zgody Tel Awiwu-Jaffy. Izraelczycy, zaniepokojeni aktywnością IS na Synaju, chętnie udzielają Egipcjanom takich zezwoleń, zresztą sami też od kilku miesięcy są bezpośrednio zaangażowani w militarne operacje skierowane przeciwko grupom wilajetu As-Sinai. Rebelia IS na Synaju trwa jednak w najlepsze, a jej macki zaczynają już sięgać afrykańskiej części Egiptu.

SYMBOL RELIGIJNY

Równie aktywnie i skutecznie swoje działania prowadzi od ponad trzech lat wilajet Al-Chorasan, obejmujący terytorium historycznej krainy Chorasana (dzisiejsze tereny Pakistanu, Afganistanu oraz części Iranu, Indii i Azji Środkowej). Ten region ma dla sunnickich dżihadystów olbrzymie znaczenie symboliczne i religijne. Zgodnie z zapowiedziami Mahometa to właśnie z Chorasana „u końca czasów” ma wyruszyć na Jerozolimę, pod czarnymi sztandarami dżihadu, zwycięska wyprawa wyznawców Allaha.

Nic zatem dziwnego, że kontrola nad tą częścią świata ma fundamentalne znaczenie zarówno dla Al-Kaidy (aktywnej tu zresztą już od połowy lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku), jak i dla Państwa Islamskiego. Sprawia to, że tereny Azji Południowej i Środkowej stają się kolejną areną konfrontacji tych dżihadystycznych ugrupowań. Rok 2018 ma zaś wszelkie szanse, aby zapisać się w annałach jako rekordowy pod względem skali aktywności struktur kalifatu u podnóża Hindukuszu.

SIŁA NA FILIPINACH

Równie szybko rozwijają się struktury Państwa Islamskiego w Azji Południowo-Wschodniej. Do najważniejszych i najbardziej niebezpiecznych należą filipińskie organizacje Abu Sajjafa (jeszcze do niedawna powiązana z Al-Kaidą) i grupa Maute (znana jako Islamskie Państwo Lanao, a wcześniej jako Islamski Front Wyzwolenia Moro). O tej drugiej było głośno w 2017 roku, kiedy zajęła dwustutysięczne miasto Marawi na filipińskiej wyspie Mindanao i niemal przez pół roku je okupowała. Akcja ta, choć ostatecznie zakończyła się klęską dżihadystów, pokazała wyraźnie ich potencjał i możliwości operacyjne na Filipinach. Uświadomiła też władzom w Manili, że IS cieszy się zaskakująco dużym poparciem wśród muzułmańskiej części ludności kraju.

Perspektywy rozwoju Państwa Islamskiego w Azji Południowo-Wschodniej wydają się niezagrożone, bo oprócz

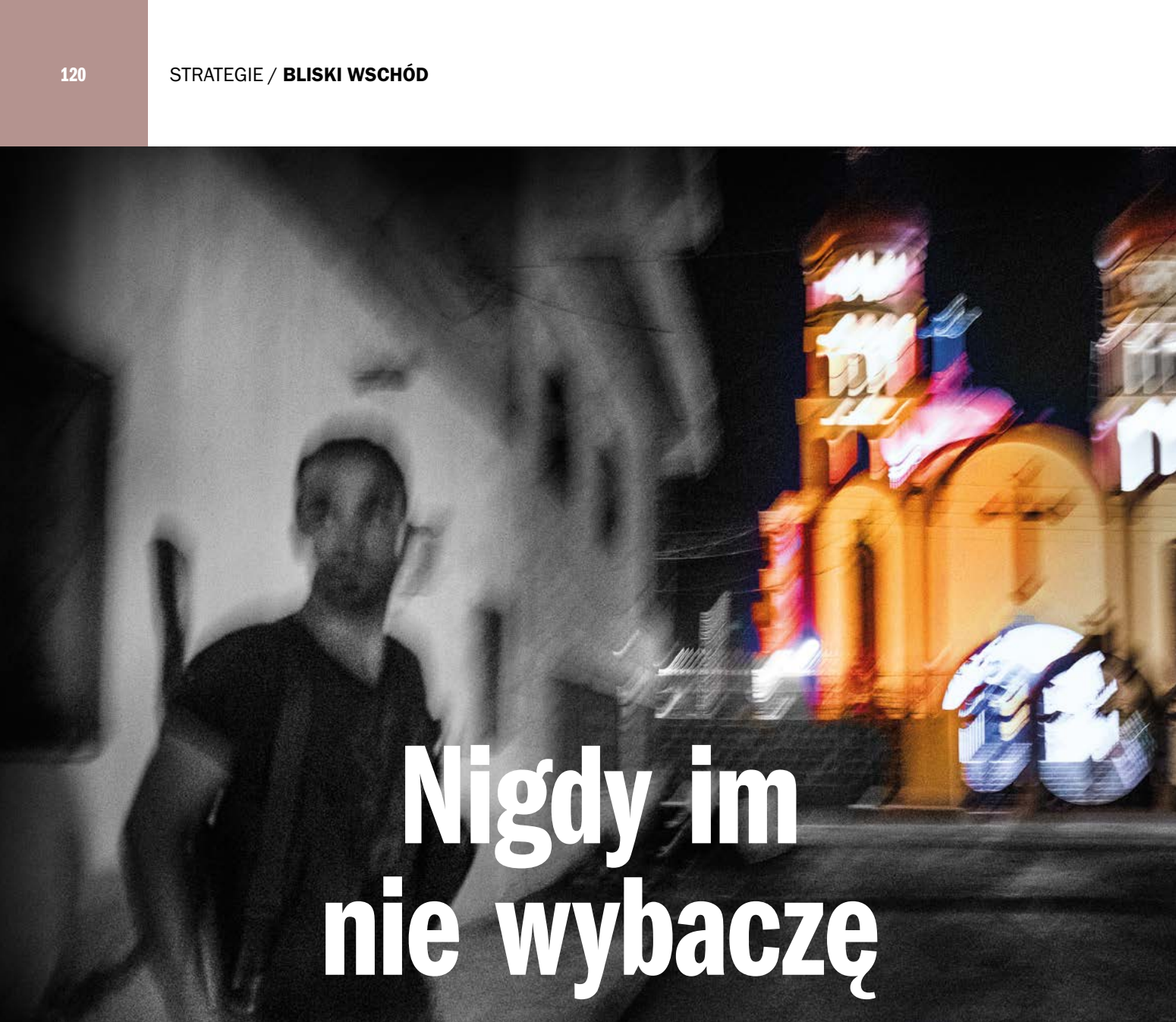
silnej pozycji na Filipinach kalifat może też liczyć na duże poparcie w Indonezji. Tamtejsza organizacja o nazwie Mudżahedini Wschodniej Indonezji już od kilku lat określa się jako „indonezyjska prowincja kalifatu”, choć chyba nie zostało to oficjalnie zaakceptowane przez władze IS. Również ugrupowanie Grupa Islamska, mające komórki w większości państw regionu Azji Południowo-Wschodniej zamieszkanym przez społeczności muzułmańskie, coraz mocniej skłania się ku związkom z IS.

PAŃSTWO ISLAMSKIE 2.0

Zauważalny w ostatnim czasie wzrost aktywności struktur Państwa Islamskiego w różnych częściach świata oznacza, że ostateczne pokonanie tego ugrupowania może nastąpić w bardzo odległej przyszłości. Zwłaszcza że kalifat to nie tylko samo ugrupowanie, lecz także idea, projekt polityczny i duchowo-religijny, rozpalający wyobraźnię i emocje milionów muzułmanów na całym świecie. Także i tych, którzy niekoniecznie popierają IS i niezbyt garną się w jego szeregi. Są jednak skłonni opowiedzieć się za działaniem na rzecz utworzenia prawdziwie islamskiego państwa. Podmiotu wolnego – ich zdaniem – od zachodnich, zatrutych naleciałości w postaci demokracji, wolności słowa i praw człowieka.

Wybierają ideę państwa kierującego się prostymi, surowymi nakazami i regułami z początków islamu. W takiej formule (zwanej coraz częściej Państwem Islamskim 2.0) kalifat jest niezwykle trudnym do pokonania przeciwnikiem. Środkami czysto militarnymi nie da się przecież walczyć z polityczną ideą o religijnej, wręcz mistycznej podbudowie. Tymczasem Zachód – a szerzej: cały wolny, cywilizowany świat – nie ma dziś równie silnego oręża ideologicznego i moralnego, które można skutecznie przeciwstawić spójnej wewnętrznie i nośnej propagandowo koncepcji prezentowanej przez radykalnych islamskich dżihadystów z IS oraz Al-Kaidy.

Sama idea demokracji oraz zachodnie kanony praw człowieka to zdecydowanie za mało, zresztą są one w istocie odrzucane przez cywilizację islamu, nie tylko przez dżihadystów. Tym samym walka z Państwem Islamskim najpewniej będzie przypominać rozpoczętą nieco wcześniej batalię z Al-Kaidą – nastąpi likwidowanie kolejnych struktur kalifatu i eliminowanie jego głównych liderów, a jednocześnie będzie zwalczane wciąż rosnące na ulicach zachodnich miast zagrożenie terrorystyczne ze strony zwolenników islamskiej „świętej wojny”. Tę wojnę na wyczerpanie wygra ostatecznie ten, kto wykaże się większą odpornością na zadawane straty oraz zdolnością adaptacji do szybko zmieniających się uwarunkowań strategicznych i politycznych. Czas pokaże, czy zachodnie demokracje zdadzą ten test. ■



Nigdy im nie wybaczę

MICHAŁ ZIELIŃSKI

We wschodniej Syrii czoła ekstremistom stawili nie tylko Kurdowie i Arabowie, lecz także mniejszość asyryjska oraz ormiańska. Stworzone przez nich bojówki niemal od początku wojny domowej chroniły chrześcijańskie społeczności.

Miejsce na pierwszy rzut oka niczym nie różni się od pozostałych ulic w tej części miasta. Pozbawione osłon żarówki rozświetlają wnętrza niewielkich sklepików oraz kilkupiętrowych, odrapanych budynków. Na ulicy krzątają się ludzie, którzy bez pośpiechu zmierzają w tylko sobie znanym kierunku. Typową dla tej części Syrii scenerię zakłóca tylko jeden element – kowboj. Starszy mężczyzna w zawadiackim kapeluszu, z fantazyjnym zarostem i w awiatorach

przypomina bliskowschodnie wcielenie Lemmy’ego Kilmistera [wokalisty zespołu Motorhead]. Jedyne zamiast elektrycznej gitary w rękach trzyma zmodyfikowanego do walk ulicznych kałasznikowa. Bojownik wskazuje miejsce, w którym trzeba zostawić samochód. Szlaban oraz resztę drogi muszą pokonać pieszo.

Wąska uliczka po kilkudziesięciu metrach ustępuje otwartej przestrzeni. W jej centralnej części znajduje się kościół. Znaczenie świątyni podkreśla nie tylko jej roz-



HURO AOUIJE:
„DWA DNI TE-
MU NASZA BA-
ZA STAŁA SIĘ
CELEM SAMO-
BÓJCZEGO
ATAKU. TERRO-
RYSTA PODJE-
CHAŁ NA MOTO-
CYKLU I WYSA-
DZIŁ SIĘ PRZY
SZLABANIE”

MICHAŁ ZIELIŃSKI (2)

miar, świadczą o nim także masywne, zakończone żeliwnymi krzyżami wieże. Mimo zabytkowej architektury budowla wydaje się nienaturalna, jakby pojawiła się w tym miejscu chwilę przede mną. Moje przemyślenia przerywa bojownik, który wychodzi ze znajdującego się obok budynku i skinieniem ręki każe do siebie podejść. Wszystkie moje rzeczy zostają dokładnie sprawdzone. Chwilę później jestem wewnątrz bazy Sutoro.

OCHRONA CHRZEŚCIJAN

Wraz z początkiem syryjskiej wojny domowej wśród lokalnych mniejszości zaczęły się formować grupy zbrojne, z założenia mające je chronić przed sunnickimi fundamentalistami. Bojówki, znane jako Komitety Ludowe, tworzyli oprócz alawitów, szyitów oraz druzów także chrześcija-

nie. Jedną z nich było asyryjskie Sutoro (Syriac Security Office – Syriackie Biuro Ochrony), które działało w leżącym na wschodzie kantonie Dżazira, stanowiącym największe skupisko Asyryjczyków w Syrii. Milicja szybko nawiązała sojusz z kurdyjskimi Powszechnymi Jednostkami Ochrony (YPG), co oznaczało nie tylko akceptację jej zbrojnej działalności, lecz także wejście w struktury autonomii Rożawy.

W kolejnych latach wojny Sutoro zwiększało swoje wpływy. Organizacji udało się w ciągu kilku lat rekrutować co najmniej 1200 członków, jednocześnie rozszerzając zakres swojej działalności. Bojownicy z roli milicji pilnującej chrześcijańskich osiedli oraz wystawiającej punkty kontrolne na lokalnych drogach przekształcili się w pełnoprawne oddziały, które ramię w ramię z Kurdami odpięrały ataki tzw. Państwa Islamskiego. Nagrania z tego okresu przedstawiają modlących się cywilów pilnowanych przez mężczyzn i kobiety z charakterystycznymi, niebieskimi emblematami na ramionach. Pomimo starań nie zawsze udawało się jednak zapobiec tragedii. W styczniu 2015 roku bojownicy tzw. Państwa Islamskiego zajęli wiele chrześcijańskich wiosek w znajdującym się na obrzeżach Al-Hasaki regionie Tall Tamir i uprowadzili około 150 Asyryjczyków.

Kilka miesięcy później to właśnie Al-Hasaka przeobraziła się w jedno z największych pól bitew, do których doszło w tej części Syrii. Latem 2015 roku miasto było pod kontrolą trzech sił – bojowników tzw. Państwa Islamskiego, Powszechnych Jednostek Obrony wspieranych przez Sutoro oraz oddziałów wiernych Baszszarowi al-Asadowi. Kiedy islamscy ekstremiści zostali pokonani, doszło do starć między dwiema ostatnimi grupami. Ostatecznie w Al-Hasaka zaczęli rządzić Kurdowie, a wraz z nimi m.in. Sutoro. Nie jest to jednak jedyna chrześcijańska bojówka w tym regionie. Największa jest Syriacka Rada Wojskowa (Mawtbo Fulhoyo Suryoyo – MFS), w której skład wchodzi m.in. Kobiece Oddziały Ochrony Betnahrain. W będącym stolicą kurdyjskiej autonomii Al-Kamisli działa także Sootoro, które powstało w wyniku rozłamu z Syriackim Biurem Ochrony. Ono jednak, mimo oficjalnie deklarowanej neutralności, opowiedziało się po stronie syryjskiego rządu i pozostaje w cichym konflikcie z resztą chrześcijańskich grup.

MAMY DO TEGO PRAWO

Mężczyzna, który przedstawił się jako Huro Aouje, wpatruje się we mnie czujnym wzrokiem. Nie wyraża przy tym żadnych emocji. „Dwa dni temu nasza baza stała się celem samobójczego ataku. Terrorysta podjechał na motocyklu i wysadził się przy szlabanie, przez który przecho-



„TO DAESZ ZAATAKOWAŁO NAS, NIE MY ICH. ZARÓWNO WE DŁUG NASZEJ RELIGII, JAK I KONWENCJI ONZ SAMOOBRONA TO PODSTAWOWE PRAWO. NIE WSZYSCY MUŻULMANIE UCINAJĄ JEDNAK GŁOWY ORAZ PALĄ LUDZI ŻYWCEM”

zostało rannych czterech bojowników Sutoro. Wszyscy przebywają w pobliskim szpitalu, ale na pytanie o możliwość wizyty otrzymuję stanowczą odmowę. „Naszym największym problemem są uśpione komórki Daesz, które staramy się zwalczać na dwa sposoby. Współpracujemy z kurdyjskimi służbami bezpieczeństwa Asaisz”, tłumaczy Huro Aouje. „Zarazem uczulamy ludzi na nietypowe zachowania. Jeżeli zauważą obcego albo podejrzany samochód, powinni nas jak najszybciej o tym poinformować”.

W bazie Sutoro panuje napięta atmosfera. Oprócz Huro Aouje w pomieszczeniu znajduje się jeszcze kilka innych osób. Bojownicy w milczeniu zaciągają się dymem z papierosów. Ich gładko ogolone twarze przez cały czas pozostają niewzruszone. Podobne jest w wypadku towarzyszącego mi mężczyzny, który kontynuuje swoją wypowiedź. „Daesz to nie tylko bojownicy, lecz także masa ludzi, którzy ich wspierają. Ani ten, ani żaden inny atak nie udałby się, gdyby nie potężne podziemne struktury”.

Teoretycznie od połowy 2016 roku w Al-Hasace nie prowadzi się działań zbrojnych. Mimo to w mieście wciąż dokonywane są zamachy bombowe, których celem są nie tylko lokalni chrześcijanie. Podczas jednego z takich ataków zginęło 16 cywilów, a kolejnych 40 zostało rannych. Do wybuchu doszło na zewnątrz piekarni, w której zebrał się zyciwi świętujący koniec ramadanu. Biorąc pod uwagę te wydarzenia, pytam Huro Aouje o jego stosunek do sunnitów. „Jako Asyryjczycy żyjemy na naszej ziemi, jednak jesteśmy partnerami dla innych grup etnicznych i religijnych w Syrii. Kiedy chwytny za broń, nie robimy tego tylko dla chrześcijan. Robimy to także dla Arabów i mużulmanów. Nasza krew miesza się na polu bitwy”.

Pomimo solidarnościowych deklaracji bojowników Sutoro organizacja w przeszłości musiała mierzyć się z poważnymi zarzutami. Wśród nich znalazły się oskarżenia o grabieże wiosek odbijanych z rąk tzw. Państwa Islamskiego. Proceder był tym bardziej kontrowersyjny, że dobra zrabowane m.in. w Tall Tamir należały właśnie do chrześcijańskich mniejszości. Nieoficjalnie mówi się, że głównym powodem rabunków był niski żołd bojowników. Kilkadziesiąt dolarów miesięcznie, nawet jak na warunki syryjskie, stanowi niewielkie pieniądze.

Niskie zarobki nie odstrasżają jednak nowych ochotników. Zarazem podczas rozmowy z mediami dowódcą organizacji, Aszur Abu Sarkun, wielokrotnie podkreślał, że Sutoro nie ma charakteru religijnego, ale kieruje się chrześcijańskimi wartościami. Chcę się dowiedzieć, czy za sło-

wami o znaczeniu dekalogu i miłosierdzia kryje się coś więcej niż pusta deklaracja. Wreszcie, czy po siedmiu latach krwawych walk bojownicy są gotowi do tego, żeby odnaleźć się w codzienności, w której nie rządzi już brutalne prawo wojny. „To Daesz zaatakowało nas, nie my ich. Zarówno według naszej świętej religii, jak i konwencji ONZ samoobrona to podstawowe prawo. Nie wszyscy mużulmanie ucinają jednak głowy oraz palą

ludzi żywcem”. Huro Aouje podkreśla, że konflikt w Syrii nie toczy się między chrześcijanami i mużulmanami. „To całkowite brednie. Z rąk Daesz najbardziej wycierpieli właśnie mużulmanie”.

MOI SĄSIEDZI

W drodze powrotnej ponownie mijam kościół, któremu tym razem przyglądam się z bliska. Jego kremowe ściany zupełnie nie przypominają bliskowschodniej, zabytkowej budowli. Na próżno szukać w niej ukruszonej elewacji czy charakterystycznych przebarwień. Czas oszczędził nawet żeliwne elementy, które wyglądają, jakby zostały odlane przed kilkoma dniami. Później na Al-Arabiji znajduję informację, że w 2015 roku budynek został wysadzony przez bojowników tzw. Państwa Islamskiego. Sutoro zaprzecza jednak, żeby ekstremiści kiedykolwiek zajęli pilnowane przez nich dzielnice.

Dochodzimy do zaparkowanego samochodu. Po charyzmatycznym kowboju nie ma śladu. Zamiast niego przejsia pilnuje lekko otyły bojownik z gęstym zarostem, który przedstawia się jako Abu George. Po chwili rozmowy okazuje się, że jest mużulmaninem. „Walczę, ponieważ chcę chronić mój kraj i ludzi z mojego miasta. Sutoro to najbliższa milicja. Poza tym łączy różnych ludzi, Arabów, chrześcijan. Moich sąsiadów”. Mimo że mężczyzna się uśmiecha, widać, że nie czuje się swobodnie. Co chwilę rzuca nerwowe spojrzenia, a jego palce przez cały czas pozostają w okolicach spustu trzymanej w rękach broni.

W drodze powrotnej myślę o przesłaniu, które na koniec rozmowy zostawił Huro Aouje. Bojownik powiedział, że każdy Syryjczyk, który dotarł do Europy, ma na imię uchodźca i właśnie dlatego powinien zostać przyjęty. I że jeżeli chcemy zapobiec takim dramatom, jakie wydarzyły się w Niemczech i we Francji, to zarazem powinniśmy bardzo dokładnie kontrolować ten ruch. W głowie najbardziej brzmi mi jednak odpowiedź na pytanie o pojednanie z ludźmi, którzy stanęli po stronie tzw. Państwa Islamskiego. Huro Aouje ani przez chwilę się nie zastanawiał: „Nigdy im nie wybaczę”.

Współczesne konflikty zbrojne charakteryzują się twórczym wykorzystywaniem znanych już od dawna technik i sposobów prowadzenia działań. Często nadaje się im przy tym nowy (lub wręcz nowatorski) wymiar, który całkowicie zmienia dotychczasowy charakter tych narzędzi. Czasem bywa jednak i tak, że po prostu wraca się – świadomie lub przypadkowo – do samych korzeni, do początkowych zamysłów i planów tkwiących u zarania wdrożenia i stosowania danego typu broni lub taktyki. Jednym z przykładów funkcjonowania takiego mechanizmu jest zastosowanie rakiet balistycznych.

STRASZAK NA CYWILA

Technologia raketowa w jej militarnym wydaniu pojawiła się w schyłkowym okresie II wojny światowej w postaci niemieckich pocisków balistycznych V-2 i była stosowana początkowo przede wszystkim jako środek walki psychologicznej i propagandowej. Celem było sterroryzowanie ludności cywilnej, znajdującej się głęboko na zapleczu toczącej się wojny, i ukazanie „technologicznej potęgi” III Rzeszy. Samo w sobie nie było to zjawisko nowe – dokładnie tak samo miał oddziaływać ostrzał powstańczej Warszawy z niesławnych „szaf” w 1944 roku czy „działo paryskie” (Kaiser Wilhelm Geschütz), ostrzeliwujące w 1918 roku stolicę Francji z odległości 120 km. Co ciekawe, pociski wystrzelwane przez tę monstrualną armatę poruszały się po krzywej balistycznej, częściowo w stratosferze – śmiało zatem można je uznać za prapoczątek przygody ludzkości z ostrzałem wrogich celów z użyciem broni balistycznej.

Po II wojnie światowej, wraz z żywiołowym rozwojem technologicznym powstawały kolejne generacje rakiet balistycznych o coraz większym zasięgu i lepszej celności. Ważnym czynnikiem, szybko umacniającym ich rolę i rangę, stało się już od lat sześćdziesiątych ubiegłego wieku ściśle powiązanie tej kategorii uzbrojenia z rozwojem arsenałów nuklearnych głównych mocarstw oraz strategicznym, atomowym wyścigiem zbrojeń między ni-

mi. Rakiety balistyczne miały (i wciąż mają) w tym wyścigu kluczową rolę – to przede wszystkim za ich pomocą są dostarczane głowice jądrowe na terytorium przeciwnika.

Równolegle rozszerzało się jednak również inne przeznaczenie tej broni. Począwszy od

lat sześćdziesiątych XX stulecia rakiety balistyczne – szczególnie te o krótkim zasięgu (Short Range Ballistic Missiles – SRBMs), zdolne razić cele do

1000 km – stały się obiektem pożądania ze strony różnej maści

satrapów, dyktatorów i jednowładców na niemal całym obszarze Trzeciego Świata. Był to efekt nieuniknionych napięć, waśni terytorialnych i wojen między państwami dopiero co powstałymi w rezultacie procesu dekolonizacji w Afryce, na Bliskim Wschodzie i w Azji Południowej. Każde z nich chciało za wszelką cenę mieć przewagę strategiczną nad sąsiadami, a mogły ją zapewnić jedynie rakiety balistyczne z konwencjonalnymi głowicami, zdolne zagrozić ośrodkom politycznym, militarnym i ekonomicznym potencjalnego przeciwnika, znajdującym się w głębi jego terytorium. A w ostateczności także

głównym skupiskom ludności, jeśli interes wojny będzie tego wymagać.

Co ciekawe, ten narastający popyt na rakiety balistyczne był zaspokajany niemal wyłącznie przez Związek Sowiecki, co szło oczywiście w parze z „eksportem” ideologii komunistycznej i przynależnością do sowieckiej strefy wpływów. Niemal każde państwo satelickie ZSRS otrzymywało zatem od ręki dostęp, jeśli nie do samej technologii produkcji rakiet balistycznych, to co najmniej do gotowych zestawów i systemów raketowych. I to w dużej ilości. Nic zatem dziwnego, że począwszy od lat sześćdziesiątych XX wieku świat zaroił się od raketowych „minimocarstw”. Sowieckie rakiety krótkiego zasięgu typu Frog, Scud, Scarab itd. intensywnie wykorzystywano w wielu lokalnych konfliktach zbrojnych w najbardziej egzotycznych miejscach świata. Co gorsza, to



TOMASZ OTŁOWSKI

ZBROJENIOWY SPONSORING

Handel raketowym know-how i gotowymi systemami balistycznymi już wkrótce może stać się jednym z najbardziej popularnych narzędzi, niezwykle pomocnych w prowadzeniu wojen.



właśnie w takich wojnach ponownie zaczęto intencjonalnie i z pełną premedytacją używać zgromadzonych zasobów pocisków balistycznych przeciwko ludności cywilnej.

I to właśnie ten aspekt – stosowanie rakiet jako środka walki de facto terrorystycznej – miał się stać u schyłku XX wieku najważniejszym przeznaczeniem szybko rosnących arsenałów balistycznych w tzw. państwach rozwijających się. Technologia rakietowa ponownie stała się zatem – jak u swego zarania kilka dekad wcześniej – narzędziem prowadzenia nieczystej i niehumanitarnej walki zbrojnej. Sztandarowym przykładem takiego wykorzystania arsenałów rakietowych była krwawa wojna między Irakiem a Iranem (1980–1988), w której (w tzw. wojnie miast, 1984–1988) obie strony intensywnie ostrzeliwały rakietami miasta przeciwnika, dążąc do zadania mu jak największych strat wśród ludności cywilnej.

Na marginesie warto odnotować, że to wtedy właśnie Irańczycy zainicjowali (przy wydatnej pomocy Korei Północnej) swój program rakietowy, który dzisiaj – po ponad trzech dekadach intensywnego rozwoju – nie ma już sobie równych w regionie pod względem nie tylko liczby pocisków będących w wyposażeniu irańskich sił zbrojnych, lecz także różnorodności ich typów i przeznaczenia.

Koniec zimnej wojny, rozpad ZSRS i jego strefy wpływów oznaczały wyciszenie wielu lokalnych konfliktów na świecie oraz niemal całkowity zanik stosowania rakiet balistycznych. Po części wynikało to jednak z faktu, że wiele spośród arsenałów balistycznych Trzeciego Świata – zbudowanych w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – właśnie kończyło swą technologiczną użyteczność. Schyłek imperium sowieckiego oznaczał zaś brak możliwości dalszej ich modernizacji, sprawiając tym samym, iż w większości przypadków stały się one kosztownymi kolekcjami przestarzałego złomu. Co więcej, pojawiły się również efektywne systemy obrony przeciw-rakietowej, jak amerykański Patriot, który dowiódł swej bojowej skuteczności w czasie pierwszej wojny w rejonie Zatoki Perskiej (1990–1991).

Nic zatem dziwnego, że wielu teoretyków wojskowości i ekspertów wieszczyło wówczas koniec ery powszechnego stosowania rakiet balistycznych, oprócz tych przeznaczonych do obsługi nuklearnych arsenałów strategicznych. I faktycznie, jeśli nie liczyć incydentalnych przypadków użycia tego typu rakiet – np. ataków Iranu na obozy irańskiej opozycji w Iraku w 2001 roku, rosyj-

TECHNOLOGIA RAKIETOWA PONOWNIE STAŁA SIĘ – JAK U SWEGO ZARANIA KILKA DEKAD WCZEŚNIEJ – NARZĘDZIEM PROWADZENIA NIECZYSTEJ I NIEHUMANITARNEJ WALKI ZBROJNEJ

skiego ostrzału celów w Gruzji w czasie wojny w 2008 roku czy intensywnego wykorzystania rakiet SRBM przez siły rządowe w pierwszym roku wojny w Syrii – praktyka zdawała się potwierdzać tezę o „naturalnej śmierci” taktycznych arsenałów balistycznych.

NARZĘDZIE TERRORU

Ostatecznie jednak ewolucja współczesnych konfliktów zbrojnych w kierunku ich hybrydowości i asymetryczności, zapoczątkowana przed kilkunastu laty, dowiodła, że oceny te były błędne. Czynnikiem, który najbardziej zaważył na nietrafności, okazała się proliferacja, czyli żywiołowe i niekontrolowane rozprzestrzenianie się technologii produkcji oraz stosowania rakiet balistycznych. To dzięki niej dysponentami pocisków tego typu stały się w ostatnich dwóch dekadach także struktury niepaństwowe, jak np. libański Hezbollah czy jemeński ruch Hutich. Oznaczało to pojawienie się całkowicie nowej rzeczywistości strategicznej, w której – po raz pierwszy w dziejach ludzkości – potężna broń, o dalekim zasięgu i dużej sile rażenia, stała się dostępna dla aktorów pozapaństwowych, a więc niebędących podmiotami prawa międzynarodowego, niezwiązanych jego normami i zasadami, niepodlegających jego jurysdykcji. Co się z tym łączy, nieponoszących żadnej odpowiedzialności prawnej (w tym karnej) i politycznej za swe działania. Taki stan rzeczy rodzi oczywiste poczucie bezkarności i przyczynia się do naturalnego w takiej sytuacji wzrostu skłonności do zastosowania posiadanej broni. Doskonale ilustruje to przypadek jemeńskich szyitów Huti, którzy nie wahają się już wykorzystywać swych rakiet balistycznych przeciwko celom cywilnym w Arabii Saudyjskiej. Huti, podobnie jak Hezbollah (a być może również iraccy szyici oraz palestyński Hamas), dostali taktyczne rakiet balistyczne z Iranu, który z proliferacji technologii balistycznej uczynił jedno z głównych narzędzi własnej polityki zagranicznej i instrument realizacji strategii międzynarodowej. Należy się zatem obawiać, że przyszłością stosowania rakiet balistycznych we współczesnych wojnach i konfliktach będzie właśnie taki nieformalny „sponsoring” ze strony zagranicznych patronów, przekazujących (aby osiągnąć ich cele geopolityczne) rakietowe know-how i gotowe systemy balistyczne różnym lokalnym „proxies”. W praktyce będzie to oznaczać częstsze ich zastosowanie „w polu”, głównie przeciwko cywilom, a więc w charakterze terrorystycznego narzędzia nacisku na przeciwnika. ■

MARCIN
RZEPKA

Obnażenie słabości



Raport dotyczący Bliskiego Wschodu przedstawiony 20 września 2018 roku na posiedzeniu Rady Bezpieczeństwa ONZ nie pozostawia złudzeń: sytuacja Palestyńczyków w Strefie Gazy oraz na Zachodnim Brzegu się pogarsza, co grozi wybuchem konfliktu, a w konsekwencji kryzysem humanitarnym oraz politycznym. Nikołaj Mladenow, koordynator ds. pokoju na Bliskim Wschodzie i autor tego dokumentu poświęconego realizacji przyjętej w grudniu 2016 roku przez Radę Bezpieczeństwa rezolucji nr 2334, nie przewiduje innej alternatywy dla rozwiązania konfliktu izraelsko-palestyńskiego niż porozumienie wynegocjowane przed ćwierćwieczem w Oslo. Otworzyło ono Palestyńczykom drogę do państwowości. Przywoływanie postanowień z 1993 roku wydaje się jednak dziś anachronizmem. Zmienił się klimat polityczny i społeczny. Podziały wśród Palestyńczyków, rywalizacja między Hamasem a Fatahem wywołują raczej wątpliwości, a nie dają nadzieję na powstanie państwa palestyńskiego. Inny jest też Izrael, który w lipcu 2018 roku, na mocy przyjętej przez Kneset ustawy stał się „państwem narodu żydowskiego”. Dyskutowane dotąd propozycje istnienia obok siebie dwóch państw – Izraela i Palestyny bądź tylko Izraela, ale z gwarancją pełnych praw dla Palestyńczyków, muszą ulec weryfikacji.

Raport dowodzi braku możliwości egzekwowania postanowień międzynarodowych. Izrael bowiem wbrew rezolucji prowadzi akcję zasiedlania Zachodniego Brzegu, Hamas zaś rozkręca spiralę przemocy. Wciąż mgliste, pomimo konkretnych danych i wskaźników zawartych w raporcie, pozostają plany rozwiązania kryzysu. Polityka wobec regionu staje się coraz bardziej niejednoznaczna. Analitycy palestyńscy – a przynajmniej ich część związana z think tankiem Al-Shabaka – sugerują powrót do idei mandatu ONZ nad Zachodnim Brzegiem i Wschodnią Jerozolimą. Nie sposób przy tym oprzeć się wrażeniu, że skuteczność instytucji międzynarodowych jest uzależniona od zaangażowania należących do niej gremiów. Sprawa palestyńska dzieli zaś członków Rady.

Polityka bliskowschodnia USA uległa reorientacji i sprawia wrażenie, że w czasie prezydentury Donalda Trumpa głównym beneficjentem działań Amerykanów jest Izrael. Mladenow pośrednio odniósł się do tej kwestii, przywołując trudności finansowe, z jakimi boryka się agencja zajmująca się pomocą dla palestyńskich uchodźców na Bliskim Wschodzie (The United Nations Relief and Works Agency – UNRWA). Stany Zjednoczone, przekazujące dotąd rocznie 350 mln dolarów na jej cele, zaprzestały finansowania. Dodatkowo krytykują rezolucje wzywające do powstrzymania działań Izraela względem Palestyńczyków. Posiedzenie Rady Bezpieczeństwa było wielce pouczające. Ukazało słabość organizacji międzynarodowych, wynikającą przede wszystkim z odmiennych i partykularnych interesów jej członków. Pewne jest jednak, że nadchodzące lata będą kluczowe dla kształtowania relacji palestyńsko-izraelskich, dwuznaczność zaś inicjowanych globalnie debat politycznych będzie wzmacniać jedynie ekstremizm i przemoc manifestowaną lokalnie.



MARCIN RZEPKA jest orientalistą, slawistą, pracownikiem Instytutu Historii Uniwersytetu Papieskiego Jana Pawła II w Krakowie.

HISTORIA

/ ROZMOWA



Józef Unrug
był człowiekiem
niezwykle poważ-
nym, by nie rzec:
wyniosłym, a przy
tym niezwykle
pryncypialnym
i sprawiedliwym.

POLAK Z WYBORU

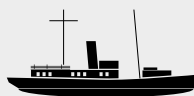
Z Władysławem Szarskim

o tym, dlaczego **admiral Józef Unrug** nagle
zapomniał języka niemieckiego i kupił okręt dla polskiej
marynarki, rozmawia Łukasz Zalesiński.



Józef Unrug, jeszcze jako kontradmirał, podobno mógł odwrócić losy wojny. We wrześniu 1939 roku do Sopotu przyjechał Adolf Hitler. Zatrzymał się w dzisiejszym hotelu Grand, który wówczas nosił nazwę Kasino-Hotel. Budynek był w zasięgu helskiej artylerii. Unrug jednak powiedział, że go nie zbombarduje, bo to niehonorowe...

Dziś trudno powiedzieć, ile w tej historii prawdy. Zaczniemy od tego, że nie ocalały żadne dokumenty związane z obroną Półwyspu Helskiego. Krótko przed kapitulacją Unrug nakazał wszystkie spalić. To co wiemy, pochodzi z relacji samych obrońców, często spisywanych na emigracji, wiele lat po wojnie. Czy do admirała dotarła informacja, że w hotelu pojawiał się Hitler? Trudno powiedzieć. Na pewno wiedział on, że rozlokowali się tam wysocy rangą Niemcy wojskowi. Ale hotel pozostawał obiektem cywilnym. Unrug uznał, że ostrzelanie go z Baterii Laskowskiego byłoby równoznaczne z pogwałceniem konwencji genewskich. Oczywiście nikt wówczas nie miał pojęcia, jak okrutna będzie wojna, która się rozpoczynała, po jakie metody sięgną Niemcy, jakich zbrodni się dopuszczą. Być może, gdyby admirał miał tego świadomość, zachowałby się inaczej. Niewykluczone też, że taka decyzja zmieniałaby bieg historii. Jednak dziś takie gdybanie, moim zdaniem, nie ma sensu.



W Polsce statek kupiony przez Unrugę został doposażony w sprzęt hydrograficzny, a nad jego pokładem załopotą biała-czerwona bandera. Otrzymał nazwę ORP „Pomorzanie”.

W życiu Józefa Unruga sporo jest historii, w których prawda miesza się z fikcją.

To prawda. Na temat admirała krążyło mnóstwo anegdot oraz często sprzecznych ze sobą opinii. Wszystko za sprawą jego charakteru. Był to człowiek niezwykle poważny, by nie rzec: wyniosły, a przy tym niezwykle pryncypialny i sprawiedliwy. Swoich pod-

władnych trzymał na dystans. Pod tym względem przypominał trochę powieściowego Hornblowera [postać z książki Cecila Scotta Forestera; fikcyjny oficer brytyjskiej Royal Navy z czasów wojen napoleońskich]. Niektórzy mieli mu to za złe, ale generalnie marynarze go szanowali. Aby dać próbkę jego charakteru, przytoczę historię, która – według mnie – nosi wszelkie znamiona prawdopodobieństwa. Otóż pewnego dnia Unrug wydał polecenie dowódcy Warsztatów Portowych Marynarki Wojennej w Gdyni, by w trybie natychmiastowym usunął ze stanowiska dyrektora technicznego stoczni. Nie uzasadnił tego nawet słowem. Oficer znalazł się w nie lada kłopotcie, bo przecież nie mógł zwolnić tak ważnej osoby bez żadnego wytłumaczenia, w dodatku z pominięciem jakichkolwiek procedur. Ostatecznie jednak polecenie wykonał. Później wyszło na jaw, że kiedy Unrug jechał w nocy samochodem, widział, jak motocyklista potrącił staruszkę i uciekł, nie udzielając jej pomocy. Admirał zdołał spisać jego numery. Zawiózł kobietę do szpitala, po czym ustalił, do kogo należy motocykl. Właścicielem okazał się dyrektor techniczny, Unrug zaś z miejsca uznał, że to osoba niegodna, by z nią współpracować. Sprawiedliwość wymierzył od ręki...

Cofnijmy się jednak do początku tej opowieści i spróbujmy odpowiedzieć na pytanie, jak to się stało, że niemiecki szlachcic, w dodatku syn pruskiego generała, poczuł się Polakiem.

Faktycznie, to niezwykła historia. Unrugowie pochodzili ze starej kalwińskiej rodziny o zdecydowanie niemieckiej tożsamości. Jej zamieszkała w Wielkopolsce część przeszła na katolicyzm i stopniowo się polonizowała. Ojciec Józefa, Tadeusz Gustaw Unrug, służył w pruskiej armii, ale w jakiej miał słu-

Kiedy wybuchła wojna, admirał dowodził obroną Wybrzeża.

Był w tym rejonie najwyższym rangą dowódcą wojskowym

żyć? Polski wówczas nie było, a on chciał włożyć mundur... Unrug senior miał majątek w Sielcu nieopodal Żnina. W domu mówił po polsku, otaczał się Polakami, ale z drugiej strony często bywał na cesarskim dworze. Cesarz Wilhelm II zwykł witać go słowami: „Przyjechał mój przyjaciel, stary Polak”. Co ciekawe, Tadeusz ożenił się z Niemką, która ponoć do końca życia nie nauczyła się mówić po polsku. Józef, dorastający w takiej atmosferze, podobnie jak ojciec, czuł się Polakiem i też chciał służyć w armii. Wstąpił więc do cesarskiej marynarki, ale kiedy tylko Polska odzyskała niepodległość, niemiecki mundur zamienił na polski. Już jako oficer w służbie Rzeczypospolitej prosił swoich współpracowników, by przeglądali przygotowane przez niego dokumenty. Nie był pewny swojej polszczyzny...

Służbę w polskiej marynarce rozpoczął naprawdę mocnym akcentem. Kupił jej okręt...

Raczej niewielki statek. Wyśluzona jednostka została kupiona w Gdańsku. Polski rząd sam nie mógł dokonać transakcji, bo pruski Gdańsk nie chciał sprzedać statku Polsce, Unrug sięgnął więc do własnej kieszeni. Czy potem otrzymał za to rekompensatę? Trudno powiedzieć. Na pewno jednak na taki wydatek było go stać. Pochodził z bardzo bogatej rodziny... Już w Polsce

statek został doposażony w sprzęt hydrograficzny, a nad jego pokładem załopotą biało-czerwona bandera. Otrzymał nazwę ORP „Pomorzanie”. Nasz pierwszy morski okręt nie był może specjalnie nowoczesny, za to potrzebowaliśmy go jak powietrza. Niemcy próbowali bowiem przekonać międzynarodową społeczność, że Polska nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa żeglugi na kontrolowanej przez siebie części Bałtyku. Tymczasem okręt hydrograficzny pozwalał na przeprowadzenie sondaży morskiego dna i opracowanie nowych map.

Unrug długo jednak miejsca w marynarce nie zagroził. Już w 1924 roku „został przeniesiony w stan nieczynny”. Dlaczego?

Stało się tak w efekcie konfliktu z szefem Kierownictwa Marynarki Wojennej wiceadm. Kazimierzem Porębskim. Unrug był wówczas szefem Sztabu Dowództwa Floty. Dziś trudno powiedzieć, o co obu panom poszło. Być może to po prostu kwestia niezgodności charakterów. Niewykluczone, że różnice zdań były pochodną różnych zawodowych doświadczeń. Porębski wywodził się z floty carskiej Rosji, brał udział w konflikcie z Japonią i I wojnie światowej. Faktem jest, że za jego rządów w Marynarce Wojennej RP ze służby odeszło więcej oficerów. Unrug wrócił do służby rok →

później, kiedy Porębskiego zastąpił Jerzy Świrski – oficer, którego niezwykle cenił. Wiceadm. Świrski miał ogromny udział w rozbudowie polskiej marynarki. Dzięki niemu przetrwała ona niemiecką inwazję 1939 roku i jako jedyny rodzaj polskich sił zbrojnych zachowała faktyczną ciągłość przez sto lat. A wszystko dzięki planowi „Peking”, w którego ramach tuż przed wybuchem wojny do Wielkiej Brytanii zostały wysłane trzy polskie niszczyciele...

Kiedy wybuchła wojna, Józef Unrug w stopniu kontradmirała dowodził obroną Wybrzeża.

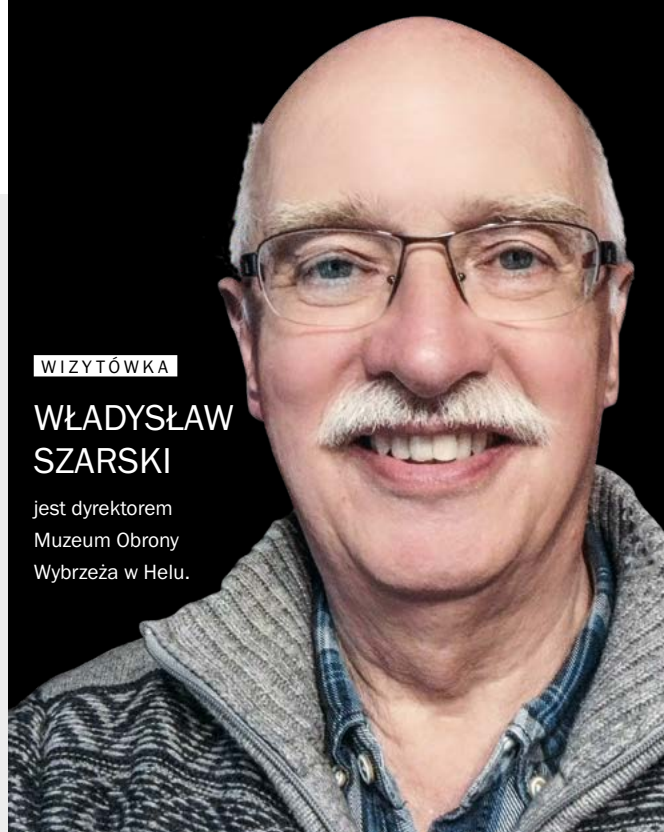
Był w tym rejonie najwyższym dowódcą wojskowym. Podlegały mu wojska lądowe, siły morskie oraz załoga Rejonu Umocnionego Hel. Koordynował ich działania, choć poszczególnym dowódcom pozostawiał wiele swobody.

Wielu historyków mówi, że popełnił wówczas sporo błędów. W pierwszych godzinach wojsko czekało na konkretne rozkazy, które nie przychodziły...

Nie zgadzam się z tym. Dziś wielu historyków ma skłonność do ferowania kategorycznych sądów, oceniania historycznych postaci wyłącznie z perspektywy naszej wiedzy, bez uwzględniania specyficznych warunków tamtych czasów. Unrug musiał wydawać rozkazy pod nieprawdopodobną presją, mając stosunkowo skąpe informacje, w dodatku ze świadomością, że każdy błąd może kosztować jego podwładnych naprawdę wiele. Oponenti zarzucają mu na przykład, że nie doprowadził do końca operacji „Rurka”, która polegała na zaminowaniu Zatoki Gdańskiej. Nie biorą pod uwagę, że nad zatoką leżało Wolne Miasto Gdańsk. Zablokowanie tamtejszego portu Niemcy mogli potraktować jako casus belli.

Czy takie wątpliwości wywoływała też decyzja o poddaniu Helu?

Tutaj akurat wątpliwości nie było. Półwsep Helski był najdłużej broniącym się skrawkiem polskiego terytorium. I choć opór mógł trwać jeszcze dłużej, 2 października kontradmirał zdecydował się podpisać akt



WIZYTÓWKA

WŁADYSŁAW SZARSKI

jest dyrektorem
Muzeum Obrony
Wybrzeża w Helu.

ARCH. WŁADYSŁAWA SZARSKIEGO

Unrug miał tak wielki autorytet, że oficerowie w naturalny sposób do niego lgnęli

kapitulacji. Przede wszystkim uznał, że dalszy opór nie ma sensu. Niemcy i Sowieci zajęli już przecież całą Polskę, alianci zaś nie kwapili się z odsieczą. Unrug chciał ocalić własnych żołnierzy. Założył, że wojna się kiedyś skończy i ktoś Polskę będzie musiał odbudować. Na jego decyzję wpłynął także zbrojny bunt na Półwyspie – część żołnierzy chciała z bronią w ręku przedrzeć się do Jastarni, przeprowić do Trójmiasta i poddać Niemcom. Buntownicy byli okolicznymi mieszkańcami, do wojska zostali wcieleni tuż przed wybuchem wojny. Przez cały czas nie brali bezpośredniego udziału w walce. Stacjonowali w lasach, nękani przez niemiecką artylerię i bombowce, w oczekiwaniu na odparcie ewentualnego desantu. Ten jednak nie nadchodził. Ze swoich stanowisk widzieli, że



Szczątki admirała przeniesiono z cmentarza we francuskim Montrésor do Kwatery Pamięci na Cmentarzu Wojskowym Marynarki Wojennej RP na gdyńskim Oksywiu.

w Gdyni i okolicach walki ustały, a oni chcieli wrócić do rodzin. Buntownicy zostali rozbrojeni i aresztowani. Czekali ich sądy polowe, a za bunt z bronią w ręku w warunkach wojennych wyrok mógł być tylko jeden: kara śmierci. Unrug jednak nie chciał do tego dopuścić. Starał się zrozumieć motywacje tych ludzi, nie chciał, by bohaterska i skutecznie prowadzona obrona kończyła się w ten sposób, że Polak strzela do Polaka. Nakazał więc buntowników wypuścić, wszelkie dokumenty spalić i poddać Półwysep.

Wtedy też zapomniał, jak się mówi po niemiecku?

Unrug nie brał udziału w rozmowach kapitulacyjnych. Do Sopotu pojechali kmdr Marian Majewski i kpt. Antoni Kasztelan. Ten drugi był oficerem kontrwywiadu. Unrug wiedział, że Niemcy mogą chcieć się na nim zemścić, ponieważ przed wojną kapitan zdemaskował kilku kluczowych dla nich agentów. Wyznaczenie go jako parlamentariusza miało roztoczyć nad nim parasol ochronny. Na niewiele się to jednak zdało. Ostatecznie Niemcy poddali Kasztelana brutalnemu śledztwu, wytoczyli sfinansowany proces i ścięli w Królewcu. Wracając jednak do admirała – kiedy Niemcy wkroczyli na Półwysep, zażądali rozmowy z głównym dowódcą. Unrug przyszedł na spotkanie z tłumaczem i rzucił: „1 września zapomniałem jak się mówi po niemiecku”. Dodał też, że chce, by jego oficerowie wiedzieli, o czym rozmawia z Niemcami. Ci zaś usiłowali go za wszelką cenę namówić do przejścia na ich stronę. Do oflagu przysłali nawet krewnych admirała, wśród których był gen. Walter von Unruh. „Podpisz tylko dokument, że jesteś Niemcem, bo przecież jesteś, i natychmiast wyjdiesz z obozu. Otrzymasz też dowódcze stanowisko w Kriegsmarine”. Dla nazistów taki werbunek miałby ogromne znaczenie propagandowe. Unrug nie dał się złamać.

Czy potem jego życie było zagrożone?

Nie. Niemcy dobrze go traktowali w niewoli. Miał swojego ordynansa i warunki trochę lepsze niż oficerowie niższej rangi. Był jednak stosunkowo często przenoszony z miejsca na miejsce, gdyż miał tak wielki autorytet, że oficerowie w naturalny sposób do niego lgnęli. Zdawali mu relację z obozowego życia, informowali o zamiarach, planach ucieczek. Niemcy bali się, że admirał może się stać przywódcą buntu. Unrug pozostał jeńcem do końca wojny.

Rozważał później powrót do kraju?

Nigdzie nie spotkałem się z informacją, by miał takie plany. Admirał doskonale wiedział, co się w Polsce

działo. Wiedział o procesie i zamordowaniu trzech najlepszych oficerów: Przybyszewskiego, Mieszkowskiego i Staniewicza. Jego zapewne czekałby podobny los. Przy okazji należałoby obalić pewien mit. W wielu publikacjach powtarza się twierdzenie, jakoby przedwojenni oficerowie decydujący się na powrót do Polski nie do końca wiedzieli, czego oczekiwać po ZSRR. Kompletna bzdura. To byli wykształceni i odcytani ludzie. Przed wojną w Polsce wydano mnóstwo publikacji, zarówno cywilnych, jak i wojskowych, na temat sowieckiej Rosji, gułagów, policji politycznej, okrutnych przesłuchań. Z drugiej jednak strony oficerowie ci nadal widzieli w Polsce swoją ojczyznę, chcieli ją odbudowywać, no i mieli tutaj rodziny, którym nie było wolno wyjechać na Zachód. Przez pięć lat ci, którzy wrócili, postawili na nogi polską marynarkę. A kiedy już komuniści wychowywali pierwsze pokolenie swoich oficerów, tych przedwojennych uznano za wrogów ludu. Trafiali do więzień, byli mordowani, prześladowani.

Ale los Unruga, który został na Zachodzie, również wesoły nie był. W Maroku admirał doglądał kutrów, we Francji pracował jako kierowca, zmarł w domu spokojnej starości.

Niestety, taki los spotkał większość polskich oficerów. Oczywiście były wyjątki, jak choćby kontradm. Romuald Nałęcz-Tymiński, który po wojnie dowodził flotą niszczycieli w marynarce niepodległego Pakistanu. Po wojnie polska armia na Zachodzie została rozwiązana, także Brytyjczycy drastycznie odchudzili swoje wojska. I nagle okazało się, że brakuje instytucji, które pomogłyby znaleźć weteranom jakieś sensowne zajęcie. Musieli radzić sobie sami. Zresztą to odwieczny problem. W podobnej sytuacji znaleźli się na przykład weterani Napoleona. Oni jednak dostawali koncesje na prowadzenie sklepików z tytoniem, który był obłożony państwowym monopolem.

Teraz, po latach, smutny los zostanie admirałowi w symboliczny sposób wynagrodzony...

Jego szczątki przeniesiono z cmentarza we francuskim Montrésor do Kwatery Pamięci na Cmentarzu Wojskowym Marynarki Wojennej RP na gdyńskim Oksywiu. W ten sposób wypełniony został testament Unruga, w którym admirał zapisał, że chciałby spocząć w Polsce, ale dopiero wówczas, kiedy godnego pochówku doczekają się jego podwładni pomordowani w czasach stalinowskich. I tak właśnie się stało. Kilka miesięcy temu w kwaterze pamięci zostali uroczystie pochowani trzej komandorzy – Przybyszewski, Mieszkowski i Staniewicz. Teraz przyszedł czas na dowódcę. ■

Rodzina Wilków, Piotr i Anna z domu Góra wraz z czwórką dzieci, sprowadziła się do Biecza w 1936 roku. Pochodzili z Jodłówki koło Bochni, ale Piotr, jako pracownik Dyrekcji Okręgu Poczty i Telegrafów w Krakowie, wciąż był delegowany do różnych placówek w całym województwie. Kiedy trafiał do Szczawnicy, Krynicy czy Nowego Sącza, wynajmował mieszkanie i sprowadzał do siebie żonę.

KONSPIRACYJNY LISTONOSZ

W Bieczu, urokliwym miasteczku ze starówką pamiętającą średniowiecze, Wilkowie osiedli na stałe. Piotr otrzymał posadę listonosza i spedytora w tamtejszym urzędzie pocztowym. Wraz z rodziną zamieszkał w budynku Kasy Chorych przy ul. Tumidajskiego 3/1. Ten piętrowy murowany dom jak na standardy przedwojennego Biecza był nowoczesny, miał m.in. instalację elektryczną, co w czasie wojny okazało się bardzo istotne.

Szczęście rodziny nie trwało jednak długo. Po wybuchu wojny i zajęciu Biecza przez Niemców we wrześniu 1939 roku Piotr zrezygnował z pracy na poczcie. Jak wspomina jego córka, Hilda Augustowska: „Ojciec nie chciał służyć wrogowi, a pracownicy poczty, wraz z policjantami byli na to szczególnie narażeni”. Były już listonosz zatrudnił się w majątku miejscowego dziedzica, Jana Długosza, jako dozorca mienia.

Piotr Wilk, chociaż zdjął mundur listonosza, nie przestał roznosić wiadomości. W konspiracji przekazywał meldunki bieckiego podziemia. Jako były żołnierz marynarki wojennej w Świeciu nad Wisłą od razu po powstaniu Armii Krajowej wstąpił w jej szeregi. Służył pod pseudonimem „Znicz” i jego rola nie ograniczała się tylko do rozwożenia meldunków do poszczególnych komórek konspiracyjnych.

Dramatyczne chwile Wilkowie przeżyli już na początku działalności konspiracyjnej Piotra, w 1942 roku. Postanowił on pomagać ukrywającej się w okolicy rodzinie żydowskiej. Gdy zaczęli znosić rzeczy do mieszkania przy ul. Tumidajskiego, ktoś doniósł o tym gestapo. Piotr Wilk został aresztowany i osadzony w więzieniu w Jasle. Niemcy jednak nie znaleźli w jego domu Żydów, którzy nie zdążyli się tam jeszcze wprowadzić. Dzięki temu po pewnym czasie został on zwolniony za kaucją. Hilda Augustowska wspomina, że kiedy ojciec wrócił w zimie 1942 roku do domu, był brudny i zaszokowany, ale z uśmiechem powiedział: „To nic, grunt, że żyjemy”. „Donosiciel był zbyt niecierpliwy, gdyby złożył donos po ukryciu Żydów w mieszkaniu, wszyscy wraz z ojcem zo-

PIOTR KORCZYŃSKI

Bibuła w warkoczykach

Piotr Wilk po wybuchu wojny zrezygnował z pracy na poczcie. Nie chciał roznosić Niemcom listów. Nie przestał być jednak listonoszem. Wstąpił do Armii Krajowej i został łącznikiem.



**CÓRKA PIOTRA WILKA,
HILDA JAKO MAŁA DZIEW-
CZYŃKA ROZNOŚIŁA AKOWSKIE
MELDUNKI WPLECIONE W WAR-
KOCZYKI. NA ZDJĘCIU:
ANNA, CÓRKA HILDA
I PIOTR.**

stalibyśmy wywiezieni do Auschwitz. Można powiedzieć, że przeżyliśmy dzięki nadgorliwości konfidenta”, stwierdziła pani Hilda.

U państwa Wilków nie mogli się już ukrywać Żydzi, ale w domu zainstalowano podręczny skład broni dla partyzantów oraz drukarnię, co było możliwe dzięki temu, że budynek został zelektryfikowany. Do tworzenia gazetek i ulotek AK Piotr Wilk zaangażował najstarszego syna Kazimierza, który całymi godzinami przepisywał je na maszynie, ukryty w specjalnie przygotowanym pomieszczeniu w komórce na węgiel. Pani Hilda wspomina, że i ona, najmłodsza z rodzeństwa, wtedy jedenastoletnia dziewczynka, często biegała po Bieczu z akowskimi meldunkami... wplecionymi w długie warkocze.

Wiosną 1944 roku cała rodzina została jednak wysiedlona z mieszkania. Musieli je oddać Niemcom, którzy urządzili tam swoje kwatery. Na szczęście wcześniej udało się przenieść w inne miejsce magazyn z bronią i drukarnię. Schronienia udzielił Wilkom kolega z konspiracji, Stefan Stec. W jego domu w centrum przeżyli bombardowanie miasta przez lotnictwo sowieckie. Pani Hilda, wskazując stojącą za nią statuetkę Matki Boskiej, podkreśla: „To przedwojenna figura, którą Niemcy pozwolili nam wziąć ze sobą po wyrzuceniu nas z mieszkania. Ona od wybuchów bomb popękała i prawie się rozsypała w proch w suterenie, w której się ukrywaliśmy, ale wierzyliśmy, że

uchroniła nas od śmierci. Po wojnie odrestaurowaliśmy ją i jest moją najważniejszą pamiątką z tamtych lat”.

SYBERYJSKA KATORGA

W styczniu 1945 roku Biecz zajęli Sowieci. Piotr Wilk wrócił do pracy na poczcie, ale nie na długo. Tym razem został zadenuncjowany jako żołnierz AK przez konfidenta na usługach NKWD. Nad ranem 28 lutego 1945 roku enkawudziści zakłatali do drzwi domu przy ul. Tumidajskiego, do którego Wilkowie wrócili po ucieczce Niemców. „Pamiętam, że jak wyprowadzali ojca, zdążył do nas powiedzieć: »Chyba wywiozł mnie na Syberię«. Wtedy widziałam go ostatni raz. Nas pozostawili w mieszkaniu, ale ogołocili je z wszystkiego. Zabrali wszystkie ubrania i buty, które zdjęliśmy z siebie na noc, a innych nie mieliśmy... Wzięli nawet moje kredki i nożyczki. Zarekwirowali również resztki chleba i sacharyny, którą słodził kawe z żołądź. Ja z powodu braku ubrania przez rok nie chodziłam do szkoły... O losie ojca dowiedzieliśmy się od dwóch bieczan, którzy razem z nim zostali aresztowani i wywiezieni w głąb Rosji”, wspomina pani Hilda.

Byli to Franciszek Cetnarowicz i Józef Lignar. Prawie dwa miesiące wieziono ich w bydłych wagonach do obozu w Prokopiewsku pod Krasnojarskiem w obwodzie nowosybirskim. Tam pracowali przy ścinie drzew. Następnie przeniesiono ich do obozu w Tyrganach, gdzie podobnie jak w poprzednim miejscu panował straszliwy głód. „Tego już mój ojciec nie przetrzymał. Zmarł z wycieńczenia 14 stycznia 1946 roku i został pochowany niedaleko obozu. Jego współtowarzysze zostali zwolnieni i wrócili do Polski w 1947 roku. Okoliczności śmierci ojca potwierdzili pod przysięgą w Sądzie Grodzkim w Bieczu. Oczywiście od razu dostaliśmy zakaz rozpowiadania tego na zewnątrz...”, opowiada córka Piotra Wilka, a na pytanie, czy się dowiedziała, kto był donosicielem, przez którego ojciec zmarł na Syberii, odpowiada krótko: „Tak, ale nie chcę o tym mówić. To był miejscowy. Zresztą nie był jeden, ale nie zamierzam rozdrapywać starych ran. Mój ojciec był tylko skromnym listonoszem, pocztynionem – jak wtedy mówiono, prawym człowiekiem i patriotą”.

ARCH. HILDY AUGUSTOWSKIEJ



GDYBYŚMY WIEDZIELI, ŻE TO LEGIONERY...

ROBERT SENDEK

Starcie pod Rarańczą z lutego 1918 roku to w dziejach Legionów Piłsudskiego moment przełomowy. Ironią losu jest to, że tę bitwę żołnierze stoczyli nie z Austriakami czy Niemcami, lecz z Chorwatami.

W dziejach kontaktów polsko-chorwackich nie ma wielu trudnych momentów. Wynika to w dużej mierze z faktu, że nasze kraje i narody nie sąsiadują ze sobą, co oznacza, że nie miały też wielu okazji, by wadzić się o sprawy ważne lub stawać po przeciwnych stronach barykady. Jest jednak jeden epizod w historii wzajemnych stosunków, kiedy Polacy stanęli przeciwko Chorwatom i ich pokonali. To bitwa pod Rarańczą. Jak do niej doszło?

CZWARTY ROZBIÓR

Podpisanie w Brześciu Litewskim 9 lutego 1918 roku traktatu pokojowego między państwami centralnymi a Ukrainą było jednym z akordów kończącej się wielkiej wojny. W zamian za obiecane dostawy miliona ton zboża państwa centralne uznawały niepodległość Ukrainy. Traktat wskazywał także przyszłe granice niezawisłego pań-

stwa ukraińskiego, m.in. z Królestwem Polskim. Ustalono przy tym, że w jego ramach znajdują się także ziemie chełmska i podlaska, a więc tereny uważane za etnicznie polskie. Wywołało to ogromne wzburzenie w polskim społeczeństwie.

Wincenty Witos w płomiennym artykule zamieszczonym na łamach „Piasta” nazwał traktat czwartym rozbiorem Polski. Rozgoryczeni rodacy organizowali w proteście strajki i demonstracje, wielu pozostających w służbie austro-węgierskiej składało w proteście dymisje, wojskowi odsyłali cesarskiej kancelarii w Wiedniu przyznane im ordery i odznaczenia. Wyrazem protestu było też ustąpienie w Królestwie Polskim rządu Jana Kucharzewskiego.

Więść o postanowieniach traktatu oburzyła również polskich żołnierzy służących w armii austro-węgierskiej. Z tego względu oficerowie II Brygady Legionów Polskich pod dowództwem płk. Józefa Hallera zdecydowali się wy-

WIELE
ŻOŁNIERZOM UDAŁO
SIĘ PRZEDRZEĆ NA DRUGĄ
STRONĘ LINII FRONTU, GDZIE
DOŁĄCZYLI DO **WOJSK KORPU-
SU POLSKIEGO**. NA ZDJĘCIU:
ŻOŁNIERZE POLSKIEGO KORPU-
SU POŚILKOWEGO
W OKOPACH POD RARAŃ-
CZĄ, 1918 ROK

WIEŚĆ O POSTANOWIE- NIACH TRAKTA- TU POKOJOWEGO

OBURZYŁA
POLSKICH ŻOŁNIE-
RZY SŁUŻĄCYCH
W ARMII AUSTRO-
-WĘGERSKIEJ.
Z TEGO WZGLĘDU
OFICEROWIE II BRY-
GADY LEGIONÓW
POLSKICH POD DO-
WÓDZTWEM PŁK.
JÓZEFA HALLERA
ZDECYDOWALI SIĘ
WYPOWIEDZIEĆ
POSŁUSZEŃSTWO
DOWÓDZTWU
AUSTRIACKIEMU

powiedzieć posłuszeństwo dowództwu austriackiemu, przejść na stronę rosyjską i tam przyłączyć się do Korpusu Polskiego dowodzonego przez gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego.

Żołnierze II Brygady stacjonowali wówczas na Bukowinie. Pod pretekstem nocnych ćwiczeń wieczorem 15 lutego poszczególne oddziały ruszyły w kierunku frontu, żeby przekroczyć go pod miejscowością Rarańcza, gdzie obsadzenie przez jednostki austriackie było najsłabsze. Leguni dotarli do linii frontu późną nocą. Udało się im wprowadzić w błąd niektórych spotkanych po drodze dowódców austriackich, dzięki czemu dotarli w pobliże frontu. Cała operacja trwała jednak kilka godzin, więc wieść o buncie Polaków zdążyła się już rozejść i dotrzeć do dowództwa austriackiego. Przeciwko nim skierowano zatem rozlokowany właśnie pod Rarańczą 53 Pułk Piechoty, w którym większość żołnierzy stanowili Chorwaci.

CHORWACI U AUSTRIAKÓW

W armii austro-węgierskiej służyli przedstawiciele wszystkich narodowości zamieszkujących imperium Habsburgów. Poza niemieckojęzycznymi poddanymi cesarza oraz Węgrami byli to m.in. Polacy, Czesi, Słowacy, Ukraińcy, Żydzi, a także Chorwaci. Żołnierz Legionów, kpt.

Tadeusz Król, w swych wspomnieniach z czasu bitwy pod Rarańczą tak pisze o oddziale, w którym wówczas służył: „Pod względem fasunków i wyżywienia należeliśmy do austriackiego batalionu Chorwatów [...]. Skład narodowościowy, jak zwyczajnie w austriackim wojsku najrozmaitszy o dużej przewadze Chorwatów wśród szeregowych, elementu z natury bitnego i odważnego, korpus oficerski to mieszanina Niemców austriackich, Tyrolczyków, Chorwatów, Węgrów, Czechów i jeden Polak, Benedykt Jacórzyński, instruktor karabinów maszynowych”.

Tadeusz Król w swych wspomnieniach barwnie opisuje współistnienie wielu narodowości w jednej jednostce: „W obszernej sali jadalnej ustawione były stoły w podkowę, przy których na środku prezydialne miejsce zajmował oberst, komendant obozu, reszta oficerów grupami narodowościowymi, co zresztą także nie było już wówczas rzeczą przypadku, lokowała się na obu skrzydłach. Grupa legionowa [tj. polska] miała przy stole za sąsiadów Chorwatów i po drugiej stronie sympatycznych Słowaków, żrących się ustawicznie z Czechami. Rozmowy przy stole dotyczyły przeważnie tematów z wyszkolenia wojskowego, nieraz jednak, gdy wino pobudziło krew do szybszego krążenia, wchodziło na zawile w konglomeracie austriackim zagadnienia narodowościowe. Wówczas grupy narodowo-



DOWÓDZTWO AUSTRIACKIE POINFORMOWAŁO OFICERÓW 53 PUŁKU PIECHOTY, ŻE MAJĄ ZATRZYMAĆ NIE UZBROJONYCH PO ZĘBY ZBUNTOWANYCH POLAKÓW, ALE ZBIEGŁYCH ROSYJSKICH JEŃCÓW



MIECZYŚLAW BORUTA-SPIECHOWICZ, uczestnik wydarzeń: „Uderzenie nasze jest krótkie, szybkie jak piorun. Widzę migające postacie, idziemy niepoohamowanie w przód [...]”.

ściowe, każda dla siebie, żądały od nieszczęśliwych muzykantów grania wyłącznie swojskich melodii. Z tego powodu dochodziło do scysji, a nawet doszłoby nieraz do szabel i pistoletów”.

Chorwacki 53 Pułk Piechoty, z którym legionistom przyszło się bić pod Rarańczą, był jednostką zasłużoną i doświadczoną. W jego skład wchodziły cztery bataliony, walczące początkowo na froncie bałkańskim. W 1915 roku jeden z nich skierowano na front włoski, trzy zaś na wschodni, gdzie wzięły udział w zaciętych walkach w Galicji i na Bukowinie. W starciu z armią carską brały udział także inne oddziały chorwackie, m.in. pułki piechoty 16 i 97, które razem z 53 Pułkiem wchodziły w skład 36 Dywizji Piechoty. Na przełomie 1917 i 1918 roku 53 Pułk stacjonował na terenie Bukowiny, w okolicach wsi Rarańcza.

BITWA W ŚRODKU NOCY

Ze względu na zaskoczenie, ciemności i dezinformację sytuacja w pobliżu linii frontu koło Rarańczy była w nocy 15 lutego 1918 roku bardzo trudna. Nikt, oprócz samych legionistów, nie wiedział, co tak naprawdę się dzieje. Na drodze maszerujących legunów stanęli oficerowie 53 Pułku Piechoty i próbowali wysondować, z kim mają do czynienia. Polacy jednak nie podjęli rozmów. Rozpoczęła się bitwa.

Mieczysław Boruta-Spiechowicz, uczestnik tych wydarzeń, opisał ją w ten sposób: „Z pierwszej czwórki Honkisz wali kogoś kolbą w łeb, Michalecki i Mierzwiński chcą strzelać z rewolwerów systemu Frommer, ale te podłże Frommery właśnie w tej chwili się zacinają, wtem czyjś bagnet, bagnet któregoś z mojej jedenastki, błyska na chwilę, aby zagłębić się w tym, co Michaleckiemu grozi. Wszystko krzyczy »hurra«. Słysząc jęki i krzyki, wszystko strzela beładnie, słysząc wybuchy granatów ręcznych, rzucanych przez naszych chłopaków. Austriacy ledwie zdołali dać krótką serię ze swoich ckmów, gdy już stały się naszym łupem, ogień tyralierów austriackich milknie równie

szybko, jak powstał. Uderzenie nasze jest krótkie, szybkie jak piorun. Widzę migające postacie, idziemy niepoohamowanie w przód, wpadamy na drugą tyralierę Austriaków, niespodziewających się Polaków. Przecież mieli przed sobą swoich. Żal nam mordować tych oślupiałych, zresztą Bogu ducha winnych, żołnierzy. Mścimy się za to na ich karabinach i niszczymy, łamiąc i rozbijając je w kawałki”.

Kolejne grupy legionistów po dotarciu na linię frontu natknęły się już na rozbite oddziały 53 Pułku. „Z kierunku Rarańczy rowem przydrożnym idą jacyś ludzie – ręce wzniesione do góry – a jest ich duża kupa”, tak zapamiętał to Zygmunt Trzaska Durski. „Jeńcy Chorwaci – odebrano im broń, mają iść do Czerniowiec, są strasznie przygnębieni; podobno powiedziano im, że będą mieli do czynienia z bandą uzbrojonych jeńców rosyjskich, a tymczasem w nocnym boju doświadczyli na sobie ducha i bagnetów legionowych”.

Okazało się, że dowództwo austriackie, niepewne co do ogólnego obrazu sytuacji, wprowadziło oficerów 53 Pułku Piechoty w błąd. Otóż poinformowało ich, że mają zatrzymać nie uzbrojonych po zęby zbuntowanych Polaków, ale zbiegłych rosyjskich jeńców, którzy będą próbować przedrzeć się za kordon. Chor. Marian Kantor-Mirski miał okazję porozmawiać z jednym z rannych Chorwatów. Wspominał: „Biedak ciężko ranny, ostatnim wysiłkiem, kiepską niemiecką zakonkludował: »Gdybyśmy wiedzieli, że to legionery, byłibyśmy nie strzelali«”.

Wielu legionistom udało się przedrzeć na drugą stronę linii frontu, gdzie dołączyli do wojsk Korpusu Polskiego. Z kolei dla Chorwatów z 53 Pułku Rarańcza była jedną z ostatnich, jeśli nie ostatnią bitwą na froncie wschodnim. W związku z zawarciem na początku marca 1918 roku traktatu pokojowego między państwami centralnymi a Rosją, oddziały austro-węgierskie zostały wycofane z Bukowiny. Wraz z nimi także chorwaccy żołnierze, których skierowano następnie na front włoski. ■

Skazani na Dulfalva



ARCH. PIOTRA KORCZYŃSKIEGO

**HISTORIA
PEWNEGO
ZDJĘCIA**

Świadczenie
codzienności w obozie
dla oficerów

Golenie w obozie stawało się
czynnością publiczną, której asystowała
warta austriackich żołnierzy.

To zdjęcie na odwrocie podpisano jedynie enigmatycznym zdaniem: „Golenie pod strażą w Dulfalva”, a przedstawia jednego z oficerów II Brygady Legionów, któremu nie udało się przedrzeć w nocy z 15 na 16 lutego 1918 roku przez front pod Rarańczą. Zresztą powiodło się w tym przypadku tylko niewielkiej części brygady – połowie 2 Pułku Piechoty i połowie 3 Pułku Piechoty. Resztę – 5500 oficerów i żołnierzy Austriacy internowali w obozach na terenie Węgier i Galicji.

Najgorzej mieli ci, którzy trafili do „bratanków Węgrów”, jak właśnie ten oficer ze zdjęcia. W obozie Dulfalva,

gdzie przetrzymywano stu oficerów, całe wyposażenie baraku stanowiły mały żelazny piecyk i jedna miednica. Oprócz tego stały tam dwa rzędy piętrowych nar pozbawionych sienników czy choćby podściółki ze słomy lub wiórów. Lecz i tych legowisk nie wystarczyło dla wszystkich – oficerowie spali w nich po dwóch. Jeden z osadzonych, por. Bertold Merwin wspominał: „Jesteśmy jak śledzie w beczce. Nie ma gdzie rzeczy podziąć; pod pryczą błoto, na pryczy się leży, nad pryczą druga kondygnacja, na której znów dwóch kolegów leży [...]. Zaduch okropny. [...] W baraku może się zmieścić co najwyżej 30 ludzi, a jest 100 oficerów oraz ordynansi”.

W barakach nie było światła, a świec nie wydawano, tak więc od godziny 16.00 do 8.00 rano dnia następnego panowały tam ciemności. Nie dziwi więc, że golenie stawało się czynnością publiczną, której asystowała warta austriackich żołnierzy. „Kto wie, co ci sprytni Polacy mogą jeszcze wymyśleć”, sądzą z pewnością przedstawiciele obozowych władz, nie zauważając jak bardzo ośmieszają się takimi posunięciami. I tak właśnie było w ostatnich miesiącach monarchii austro-węgierskiej – strasznie i śmiesznie, co trafnie oddali Janusz Majewski w „C.K. Dezerterach” i Jarosław Hašek „W dobrym wojaku Szwejku”. PK ■

B R U N O N J A N K O W S K I

#RycerzeBialoCzerwonej

Choć był Polakiem, w niemieckim mundurze trafił w samo centrum walk o Monte Cassino. Gdy tylko nadarzyła się okazja, zbiegł i wstąpił do II Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa. Jako polski żołnierz znów ruszył do walki, by móc wrócić do wolnej Polski. Za tę postawę zasługuje na miano rycerza biało-czerwonej.

My też możemy do nich dołączyć!

WRESZCIE JESTEM WŚRÓD SWOICH

Z Brunonem Jankowskim

**o piekle, które przeszedł pod Monte Cassino w szeregach
Luftwaffe, i służbie w 3 Dywizji Strzelców Karpackich,
rozmawia Piotr Korczyński.**

Po wybuchu II wojny światowej znalazł się Pan wśród Polaków wcielonych do niemieckiej armii. Do jakiej jednostki Pan trafił?

To była formacja przeciwlotnicza Luftwaffe. Ale zaczniemy od początku. Urodziłem się 14 października 1925 roku w Rumi. Tutaj też chodziłem do szkoły podstawowej. Kiedy wybuchła wojna, uciekliśmy do Wejherowa, ale szybko wróciliśmy do domu. Mój ojciec miał konie i furmanił. Szybko i ja wprawilem się w tym fachu. W Rumi było lotnisko, które Niemcy zaadaptowali do swoich potrzeb. Tam do 1943 roku byłem furmanem – woziłem węgiel i materiały budowlane. Dostałem jednak powołanie na komisję wojskową. Najpierw trafiłem do koszar w Wejherowie, gdzie dali nam po bochenku chleba i wywieźli pod szwajcarską granicę do obsługi samolotów na tamtejszym lotnisku. Po trzech dniach uznali jednak, że my się do tej pracy nie nadajemy, bo słabo mówiliśmy po niemiecku. Załadowali nas do pociągu towarowego i przywieźli do Wrocławia. Tam zaczęły się ćwiczenia obsługi ciężkich dział przeciwlotniczych, słynnych osiemdziesiątekósemek. Po miesiącu wyjechaliśmy do Norymbergii. Tam uczyliśmy się obsługi lekkich dział przeciwpancernych. Po dwóch miesiącach otrzymaliśmy przydział na front włoski.

WIZYTÓWKA

BRUNON JANKOWSKI

Jako osiemnastolatek został wcielony do jednostki przeciwlotniczej Luftwaffe, z którą trafił na front włoski. W bitwie pod Monte Cassino dostał się do amerykańskiej niewoli i wstąpił do II Korpusu Polskiego. Po wojnie wrócił do rodzinnej Rumi, gdzie mieszka do dziś.

Jak trafił Pan na odcinek frontu zachodniego, który zaciętością walk przypominał boje w Rosji?

Z kilkoma kolegami dostaliśmy przydział do brygady przeciwlotniczej Luftwaffe i po dotarciu do Włoch musieliśmy ją znaleźć na własną rękę. Na początku zakwaterowano nas w koszarach, w których niewiele robiliśmy. Myślałem wtedy, że jak tak ma to wyglądać, to ja tę wojnę jakoś przetrzymam. Ale po dwóch tygodniach podoficer przyniósł listę i zaczął wyczytywać nazwiska: ten, ten, ten i między nimi ja. Następnie polecił wyczytanym pobrać suchy prowiant i zakończył złowieszczco: „Jutro będziecie już mieć gorąco”... Na drugi dzień załadowali nas do pociągu i, z przerwami na alarmy przeciwlotnicze, dojechaliśmy do Florencji. Tam była zbiórka, wyszedł do nas major i znowu zaczęła się selekcja. Znalazłem się w grupie, która miała być uzupełnieniem dla oddziałów walczących pod Monte Cassino. Wtedy ta nazwa jeszcze niewiele mi mówiła...

Kolejnego dnia przewieziono nas w góry. W pewnym momencie oznajmiono nam, że dalej musimy iść pieszo i każdy ma szukać swojego oddziału na własną rękę. To nie było bezpieczne – na dekonników na każdym kroku czyhała żandarmeria polowa. Mimo wszystko ja z kolegą – też Polakiem, z Chojnic – nie spieszyliśmy się zbyt na front. W jednej ze stodół spędziliśmy dwa dni. Kolega chciał jeszcze dłużej, ale przekonałem go, że jak złapią nas żandarmi, to się



nie wykaraskamy. Pieszo i okazami dotarliśmy wreszcie do Rzymu, gdzie był sztab naszej brygady. Tam z innymi żołnierzami zostaliśmy rozdzieleni na baterie i ruszyliśmy w dalszą drogę – w kierunku Cassino.

W kierunku piekła pod Cassino...

Dokładnie tak. Jak jechaliśmy coraz wyżej, w góry, widzieliśmy coraz większe błyski ognia artyleryjskiego i nalotów. Już na ten widok skóra cierpła na karku. Kiedy wreszcie dotarliśmy do wyznaczonej jednostki, po dwóch dniach zostaliśmy przydzieleni do działek przeciwlotniczych – zmieniliśmy przy nich stare obsługi. Wtedy zostałem ładowniczym. Nasza jednostka broniła mostu na rzece Liri, który bez przerwy był bombardowany przez alianckie lotnictwo. Po kilku ciężkich nalotach w nasze pozycje wstrzelała się nieprzyjacielska artyleria. Zapadła decyzja o odwrocie. Po kilku dniach dotarliśmy do Sangro. To wielka rzeka z porywistym nurtem, na której były pozrywane wszystkie mosty. Amerykanie już nas oskrzydłali, więc w szeregach zaczęto panikować. Wszyscy za wszelką cenę chcieli przepłynąć na drugą stronę. A nasz dowódca wtedy mówi: „Mamy jeszcze amunicję, więc musimy się poświęcić i bronić do końca!”. I kazał wystąpić ochotnikom. Zgłosili się przeważnie podoficerowie, a reszta miała przepłynąć na drugi brzeg po wkopaniu dział. Kiedy wkopywałem swoje działko, razem z dwoma podoficerami – kapralem i rusznikarzem – podsłuchiłem, że oni wcale nie palą się do tego, żeby zostać bohaterami. Jeden mówi do drugiego: „Ty, zgłoś staremu, że te działa są brudne, a jak się je wyczyści, to tommies [Anglicy] będą już tutaj i nas zagarną”.

Ten argument przekonał waszego oficera, żeby jednak nie podejmować walki?

Tak, szczęśliwie wszyscy przepłynęliśmy się na drugi brzeg, ale tam nasza jednostka, pozbawiona benzyny, amunicji i rozproszona, praktycznie przestała istnieć. Mnie po kilku dniach złapała żandarmeria. Szczęśliwie byłem z rozbitej jednostki, bo oni mieli specjalną listę. Zamiast mnie aresztować czy nawet rozstrzelać, skierowali do kompanii piechoty, sformowanej z podobnych rozbitków, i wysłali z powrotem na front. Jako że byłem młody, bez żony i dzieci, feldfebel [odpowiednik polskiego sierżanta] od

Alianci we Włoszech zaczęli podejrzewać, że II Korpus szkoli się przeciwko Jugosławii, aby przez ten kraj przedrzeć się do Polski

razu wyznaczył mnie na czujkę. A ja już wtedy postanowiłem uciec do Amerykanów. Miałem nawet w jednej kieszeni ulotkę, którą alianci rozrzucali z samolotów, z niemieckim, angielskim i polskim tekstem, że można z nią bezpiecznie się poddać, a w drugiej kieszeni białą chusteczkę. W nocy poszedłem więc na tę czujkę. Pamiętam, jak w ogrodzie pełnym trupów obserwowałem, co się dzieje po drugiej stronie frontu. Po pewnym czasie zauważyłem nagle, że jakieś 200 m ode mnie w jednej z chałup zapaliło się światło. Podeszedłem do tego domu, w środku zastałem przerażonego Włocha. Uspokoiłem go i spytałem, jak daleko są Amerykanie. A on mi odpowiedział: „Jutro już tu będą”. I on w tym momencie zorientował się, o co mi chodzi i zapytał: „Chcesz uciec?”. Odpowiedziałem: „Ja, jo Polone”. Mężczyzna ukrył mnie w piwnicy, ale przez cały dzień żaden amerykański żołnierz się nie pojawił. Obawiałem się, że jak mnie tutaj nakryją moi byli towarzysze broni, to będzie już koniec. Włoch zaczął mnie uspokajać, że Amerykanie w końcu przyjdą.

I pojawili się?

Następnego dnia rano po tej rozmowie drzwi piwnicy się otworzyły. Zobaczyłem najpierw lufy thomsonów i usłyszałem: „Come on! Come on!”. Ściągnąłem pas, rzuciłem broń i granaty na ziemię, i zacząłem wychodzić po schodach z ulotką w jednej ręce, a chusteczką w drugiej. Kiedy znalazłem się na zewnątrz, zobaczyłem

dwóch Amerykanów. Jeden przystawił mi automat do piersi, a drugi zaczął rewidować. Następnie zaprowadzili mnie za stodołę, gdzie stał ich willys. Kazali siadać na maskę i mocno się trzymać. Przywieźli mnie do jakiegoś zamku i zamknęli w piwnicy pełnej niemieckich jeńców. Oczywiście tam nie przyszedłem się, że jestem Polakiem, bo by mnie zakatrupili gołymi rękami. Po dwóch dniach wsadzono mnie z innymi jeńcami do pociągu i wywieziono gdzieś w głąb wyzwolonych już Włoch. Zaprowadzono nas na jakieś lotnisko, na którym czekali dwaj oficerowie – amerykański i niemiecki. Niemiec rozkazał nam: „Inne narodowości niż niemiecka przejść na lewą stronę”. Tam potworzyły się grupy – Francuzi, Czesi i w końcu Polacy. Na drugi dzień zajęchały amerykańskie ciężarówki, którymi zabrano nas na kolejne lotnisko.

Pan oczywiście trafił do polskiej grupy?

Tak, a po pewnym czasie przyszedł do nas oficer z polskimi naszywkami na mundurze, z II Korpusu gen. Andersa, i zapytał: „Jesteście Polakami? Chcecie walczyć?”. Dwa razy padła odpowiedź: „Tak!”. „To chodźcie ze mną”. Poszliśmy do kancelarii, w której „pestka”, znaczy dziewczyna z Pomocniczej Służby Kobiet, zapisała w zeszycie nasze nazwiska. Na drugi dzień znowu pojechaliśmy do obozu II Korpusu Polskiego. Pamiętam jak dziś, kiedy wyskoczyłem z ciężarówki i zobaczyłem biało-czerwoną flagę na długim maszcie. Pomyślałem wtedy: „Wreszcie jestem wśród swoich!”.

Trafił Pan do słynnej 3 Dywizji Strzelców Karpackich?

Zanim tam trafiłem, musiałem jeszcze wdrożyć się w służbę w polskim wojsku. W obozie w kancelarii znowu spisywano nasze personalia i życiorysy, tym razem znacznie dokładniej niż za pierwszym razem. Kazano nam też zmienić mundury – włożyliśmy brytyjskie z naszywkami „Poland”, a niemieckie kazano zrzucić na stertę, którą oblano benzyną i podpalono. Zrobiłem przy tym jeden wyjątek – zachowałem bardzo ciepły sweter. Wreszcie nastał dzień, w którym wyczytano moje nazwisko. Załadowano mnie na ciężarówkę i zawieziono do innego obozu, w którym stacjonowali karpaczczyki. Pamiętam, że to była niedziela i nie było szefa kompanii, więc przespaliśmy cały dzień w stodole. W poniedziałek o szóstej rano meldowaliśmy się przed szefem kompanii – st. sierż. Matyką. Jego przywitanie było krótkie: „Pobrać wyposażenie, zjeść śniadanie i wyp...ać na ćwiczenia!”. Tam trochę się z nas śmiano, bo dla karpaczczyków podstawą była walka na bagnety, a tego nas w armii niemieckiej nie uczono. Dziwili się więc: „Jak to, frontowi żołnierze, a nie potrafią bić się na bagnety!”. Tym, którzy przyszli z wojsk niemieckich, początkowo zmieniano też nazwi-

ska. Ja do końca wojny byłem „Jonatowskim”. To na wypadek dostania się do niewoli lub represji wobec rodziny pozostającej w kraju.

Wziął Pan udział w walkach II Korpusu we Włoszech?

Nie, już nie zdążyłem. Pamiętam paradę zwycięstwa w zdobytej przez naszych żołnierzy Bolonii. Maszerowaliśmy przed gen. Andersem. W lipcu 1945 roku przeniesiono nas do Grottammare pod Ankoną. Tam dotarła do nas wiadomość o uznaniu komunistycznego rządu przez aliantów. Zwołano wtedy apel, przyszedł dowódca kompanii i powiedział tak: „Inne państwa uznały lubelski rząd tymczasowy. Kto chce, może jechać do kraju”. Popatrzyliśmy jeden na drugiego. Pomyślałem: „Jestem młody, wcale mi się nie spieszy do kraju”. Było jednak wśród nas czterech starszych żołnierzy, którzy się na to zdecydowali. Zabrano ich do kancelarii, przyszedł oficer, odpruł im naszywki „Poland”, zdjął orzelki. Kiedy ich odprowadzono, porucznik powiedział nam: „Nie chcieli służyć w Wojsku Polskim, to będą w sowieckim!”.

Co stało się z resztą żołnierzy?

W tymże lipcu 1945 roku do żołnierzy II Korpusu przemówił też gen. Anders: „My chcemy Polski z Wilnem, Lwowem, ze Śląskiem i z Gdańskiem, a nie 17. republiki! Ja was zaprowadzę do wolnej i niepodległej Polski, tylko trwajcie przy mnie”. I tak dotrwaliliśmy do września 1946 roku, kiedy gruchnęła wieść, że alianty we Włoszech zaczęli podejrzewać II Korpus o to, że szkoli się przeciwko Jugosławii, aby przez ten kraj przedrzeć się do Polski. Wobec tego postanowiono przerzucić nas do Wielkiej Brytanii. We Włoszech zdaliśmy cały ciężki sprzęt i amunicję. Gdy dotarliśmy do Anglii, rozmieszczono nas w blaszanych barakach. Musieliśmy zdać broń i rozpoczęło się szukanie zajęcia. Pewnego razu nasza kompania pomaszerowała do zbierania ziemniaków. Było zimno, mokro i taplaliśmy się w błocie. Rzędy ziemniaków na polu rozkopywał traktor prowadzony przez niemieckiego jeńca. I on śmiał się z nas: „Oto jak wygląda zwycięska armia”. Nigdy jednak nie żałowałem, że zostałem polskim żołnierzem. Pamiętam jeszcze zdarzenie z Włoch, kiedy wyznaczono mnie do pilnowania zdobycznych armat niemieckich. W jednym z jeńców pracujących przy nich rozpoznałem mojego byłego dowódcę baterii. Powiedział do mnie: „Będziesz żałował, że przyłączyłeś się do Polaków”. „Nigdy”, odpowiedziałem. I nie żałowałem nawet wtedy, kiedy po powrocie do Polski spotkały mnie szykany za to, że byłem andersowcem. Ubowcy uważali to za większą zbrodnię niż służbę w armii niemieckiej. Przypomnę tylko, że do tej pierwszej zostałem zmuszony, tę drugą – w II Korpusie – wybrałem świadomie i z własnej woli. ■

JÓZEF FRANCZAK

Kim jest dla mnie bohater?“, zastanawia się st. szer. Dawid Nowak, strzelec wyborowy z 3 Batalionu Zmechanizowanego 7 Brygady Obrony Wybrzeża. „Bohater to dla mnie osoba, która odznacza się szczególnym męstwem, przedkłada dobro ogółu nad dobro osobiste. Niejednokrotnie za swoją postawę płaci najwyższą cenę, tracąc zdrowie lub życie“, stwierdza żołnierz. Szeregowy zauważa, że w opracowaniach historycznych, m.in. tych dotyczących bohaterskich walk z września 1939 roku, dużo uwagi poświęca się heroicznym czynom oficerów. Tymczasem, jak mówi, za sukcesem każdej operacji stoi wielu podoficerów i szeregowych. „Dla mnie, szeregowego, wzorem do naśladowania powinien być podoficer. Nie oficer, któremu przypisuje się wielkie zasługi. Bo to właśnie podoficerowie wraz ze swoimi żołnierzami stanowili pierwszą linię obrony. To ich niezłomna postawa stała się fundamentem wielu zwycięstw. Jednym z takich podoficerów jest dla mnie sierż. Józef Franczak“, przekonuje st. szer. Nowak. „Cenię go za heroizm, upór i oddanie sprawie. Był żołnierzem walczącym w imię ojczyzny i wolności narodu polskiego. Gotowy był ponieść największą ofiarę i oddać własne życie. Czy każdy byłby zdolny do takiego poświęcenia? Obyśmy nigdy nie zostali poddani takiej próbie“.

SIERŻANT „LALEK”

Józef Franczak urodził się 17 marca 1918 roku na Lubelszczyźnie. Z powodu nienaganej prezencji nazywany był „Lalkiem”. Skończył Szkołę Podoficerską w Centrum Wyszkożenia Żandarmerii w Grudziądzu i zaczął służbę w Równem. Walczył w 1939 roku na Kresach, potem działał w podziemiu, m.in. jako dowódca plutonu w lubelskim obwodzie Armii Krajowej. W 1944 roku został przymusowo wcielony do 2 Armii Wojska Polskiego. Ponieważ był świadkiem skazywania na śmierć żołnierzy AK, zdezerterował, bo bał się, że



St. szer. Dawid Nowak:
„Sierż. Józef Franczak gotowy był ponieść największą ofiarę i oddać własne życie. Czy każdy byłby zdolny do takiego poświęcenia?“.



MAGDALENA
KOWALSKA-SENDEK

OSTATNI NIEZŁOMNY

Był ostatnim żołnierzem walczącym z władzą komunistyczną – przez 18 lat od zakończenia II wojny wymykał się zasadzkom i obławom Służby Bezpieczeństwa. Sierż. Józef Franczak „Lalek” do końca swojego życia wierzył w niepodległą Polskę.

podzieli ich los. Powrócił w rodzinne strony, gdzie dołączył do oddziału Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” kpt. Zdzisława Brońskiego „Uskoka”. Dowodził tam patrolami, który zbierał informacje o operacjach prowadzonych przez Urząd Bezpieczeństwa i organizował zasadzki na funkcjonariuszy milicji, wykonywał wyroki na konfidentach. Był kilka razy ranny. Został także aresztowany, ale udało mu się uciec z transportu.

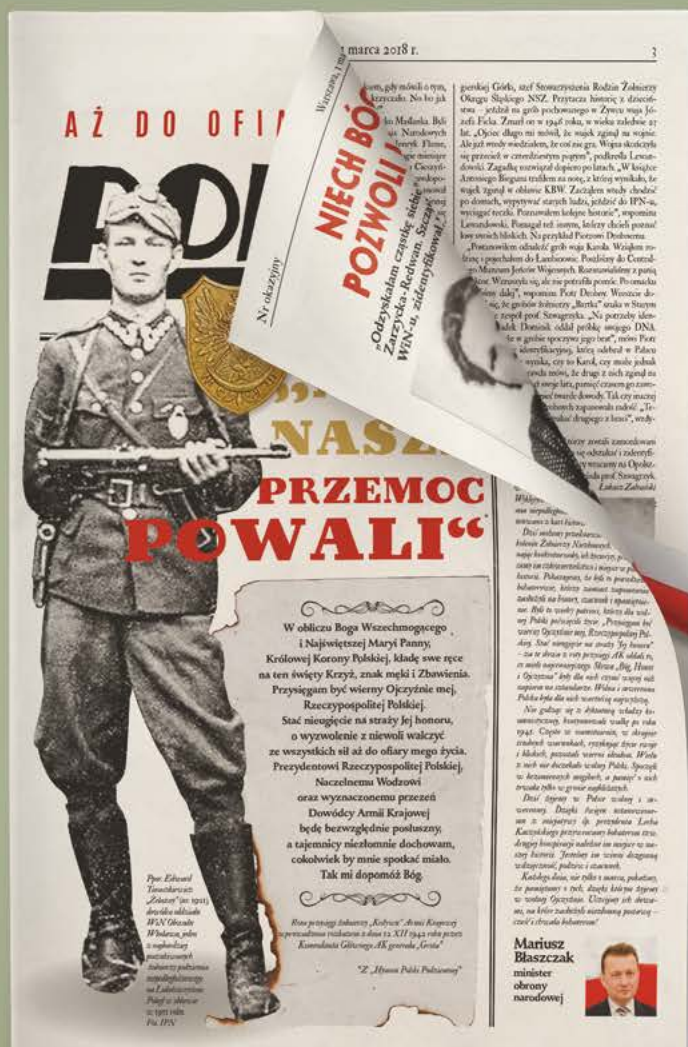
Mimo ogłoszonej na początku 1947 roku amnestii, Franczak pozostał w konspiracji. W maju 1948 roku patrol „Lalka” wpadł w zasadzkę, ale udało mu się uciec. Rok później w obławie zginął „Uskok”. Od tego czasu Franczak ukrywał się samotnie, głównie w okolicy Chełma, Lublina i Krasnegostawu. Stał się szybko jedną z najbardziej poszukiwanych osób w PRL-u. Funkcjonariusze UB w 1961 roku rozestali za nim list gończy, pisząc, że jest bandytą siejącym postrach wśród mieszkańców podlubelskich wsi. Nieuchwytny pozostał do 21 października 1963 roku. SB odnalazło jego kryjówkę w miejscowości Majdan. Podczas obławy „Lalek” został śmiertelnie ranny. Partyzanta pochowano w anonimowym grobie na lubelskim cmentarzu

komunalnym. Dopiero po 20 latach rodzina mogła przemieścić ciało do rodzinnego grobowca w Piaskach.

W 2007 roku wzniesiono tam pomnik poświęcony niezłomnemu, a w 2008 roku prezydent Lech Kaczyński za walkę z reżimem komunistycznym przyznał mu pośmiertnie Krzyż Komandorski z Gwiazdą Orderu Odrodzenia Polski. ■

Na łamach „Polski Zbrojnej” publikujemy krótkie historie o podoficerach. Nie chcemy jednak tego cyklu tworzyć sami. Zależy nam na tym, by o bohaterskich poprzednikach opowiadali współcześni podoficerowie. Zapraszamy do lektury i kontaktu z redakcją pod adresem: podoficerowie@zbrojni.pl





JEDNODNIÓWKI HISTORYCZNE

stylizowana seria edukacyjna



TADEUSZ WRÓBEL

Bojowe monitory

Marynarka wojenna Wielkiej Brytanii dysponowała w czasie wojen światowych dużymi okrętami, specjalnie zaprojektowanymi do udzielania wsparcia ogniowego wojskom lądowym.

Podczas amerykańskiej wojny secesyjnej w marynarce wojennej Unii służył silnie opancerzony USS „Monitor”, uzbrojony w dwa 279-milimetrowe działa umieszczone w obracanej opancerzonej wieży. Jednostkę zaprojektował w 1861 roku John Ericsson, który nadał jej też imię. Ze względu na niskie burtę okręt został przeznaczony do działań na wodach przybrzeżnych. Utracono go 31 grudnia 1862 roku w czasie sztormu. Jednak w pobliżu wybrzeży zbuntowanego południa Stanów Zjednoczonych i na tamtejszych rzekach operowały jeszcze dziesiątki innych jednostek określanych jako monitory. Wzorowane na USS „Monitor” okręty zaczęto też budować w innych państwach.

WIELKIE DNI

Pod koniec 1914 roku na froncie zachodnim zaczęła się wojna pozycyjna. Za sektor, którego północny kraniec kończył się wybrzeżem kanału La Manche,

BRYTYJCZYCY
OPRACOWALI SWÓJ
PROJEKT **MONITORÓW**,
NIEDUŻYCH JEDNOSTEK,
ALE UZBROJONYCH W POTĘŻNE
DZIAŁA ZDEMONTOWANE
Z WYCOFANYCH ZE SŁUŻBY
PANCERNIKÓW I KRAŻOWNI-
KÓW. NA ZDJĘCIU
HMS „ROBERTS”.

odpowiadali Brytyjczycy. Gdy pojawiła się potrzeba zapewnienia walczącym na lądzie żołnierzom wsparcia ogniowego z morza, nie chciano wysyłać do tych zadań najpotężniejszych okrętów Royal Navy, krążowników liniowych i drednotów, przygotowywanych na walną bitwę z flotą Cesarstwa Niemiec. Brytyjczycy opracowali projekt niedużych jednostek, stosunkowo tanich, wolnych, o małym zanurzeniu, ale uzbrojonych w potężne działa zdekontowane z wycofanych ze służby pancerników i krążowników. Nazwali je monitorami.

Jako pierwsze przystosowano do tych misji trzy duże kanonierki budowane w brytyjskich stocznjach dla Brazylii. Okręty te stały się typem Humber. Jednostki o wyporności pełnej 1540 t uzbrojono w wieżę z dwoma działami kalibru 152 mm oraz dwie haubice kalibru 119 mm, pięć armat 47-milimetrowych (jedną przeciwlotniczą) i sześć karabinów maszynowych.

Kolejnym typem brytyjskiego monitora był Abercrombie, powstały cztery takie jednostki. Ich cechą charakterystyczną była duża szerokość (taka jak pancerników) w stosunku do długości (szerokość 27,5 m, długość 102 m). Abercrombie miały dwa 356-milimetrowe działa w pojedynczej wieży, wyprodukowane w USA dla greckiego pancernika Salamis. Z kolei osiem monitorów typu Lord Clive, które zwodowano między 20 maja a 30 września 1915 roku, uzbrojono w pojedyncze wieże z dwoma działami kalibru 305 mm, zdekontowane ze starych pancerników (predrednotów) typu Majestic. Dwa z nich, HMS „Lord Clive” i HMS „General Wolfe”, dozbrowiono w 1918 roku w działa kalibru 457 mm, pochodzące z nieukończonego krążownika liniowego HMS „Furious”. Na trzecim z monitorów, HMS „Prince Eugene”, prace montażowych nie ukończono przed 11 listopada 1918 roku.

Bardzo silne uzbrojenie miały też dwa monitory typu Marshal Ney, którym nadano imiona historycznych przeciwników Brytyjczyków, francuskich marszałków z czasów wojen napoleońskich, Michela Ney'a i Nicolasa Jeana de Dieu Soulta. Każdy z tych okrętów wyposażono w nowoczesną wieżę z dwoma działami kalibru 381 mm.

Wieże pochodziły z HMS „Renown” i HMS „Repulse”, które zaczęto budować jako pancerniki, a postanowiono ukończyć jako krążowniki liniowe, co wiązało się ze zmniejszeniem liczby ich dział głównej artylerii z ośmiu do sześciu. Najwięcej, aż 14, zbudowano w Wielkiej Brytanii podczas I wojny światowej małych monitorów, 550-tonowych typu M15, których główną bronią było pojedyncze dział kalibru 234 mm. Natomiast pięć podobnej wielkości jednostek typu M29 otrzymało jako główne uzbrojenie dwa działa kalibru 152 mm, pierwotnie przewidziane dla pancerników typu Queen Elizabeth.

Największymi brytyjskimi monitorami z czasów I wojny światowej były dwa typu Erebus o wyporności pełnej 8450 t. Ich główną broń stanowiły dwa działa kalibru 381 mm. Z kolei w części jednostek typu Gorgon, które miały być okrętami obrony wybrzeża dla Norwegii, zamontowano po dwa działa kalibru 234 mm, pochodzące ze starych krążowników typów Cressy, Drake i Edgar.

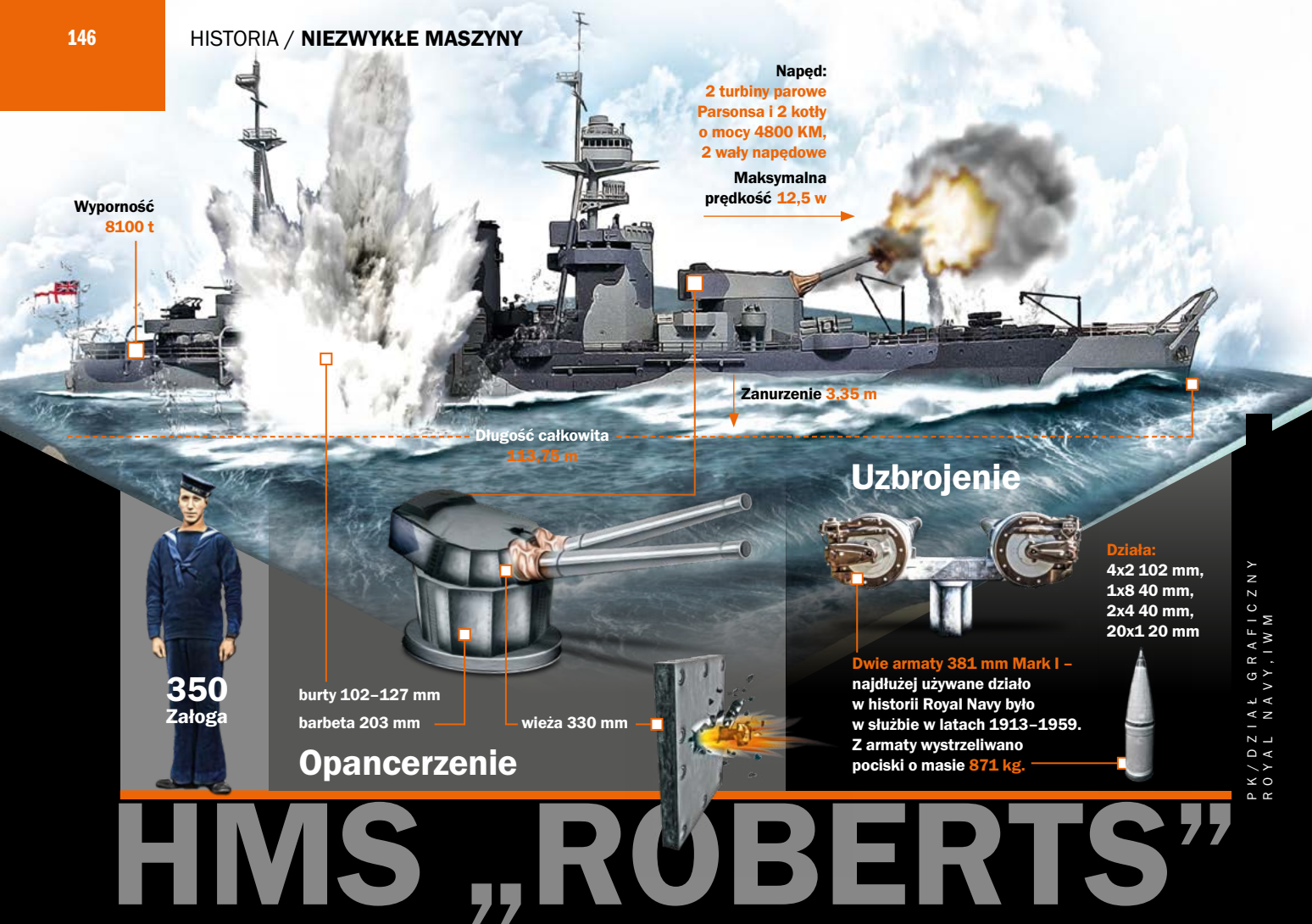
NA RÓŻNYCH MORZACH

Większość z monitorów operowała u wybrzeży Belgii, wspierając ogniem brytyjskie wojska lądowe. 457-milimetrowego działa HMS „General Wolfe” użyto 28 września 1918 roku do ostrzału mostu kolejowego w pobliżu Ostendy. Część okrętów uczestniczyła w walkach w basenie Morza Śródziemnego z Turkami i ich sojusznikami. Na tym akwenie Royal Navy utraciła cztery monitory.

Podczas blokady zatoki Smyrna 14 maja 1916 roku wspierający Turków austro-węgierscy artylerzyści zatopili HMS M30. 11 listopada 1917 roku, w trakcie bitwy o Gazę, został storpedowany przez niemiecki okręt podwodny UC-38 monitor HMS M15. Dwie jednostki, HMS „Raglan” i HMS M28, poszły na dno 20 stycznia 1918 roku w czasie starcia koło wyspy Imroz. Jednak po bitwie, wskutek wejścia na miny Turcy utracili dwa krążowniki – liniowy „Yavuz Sultan Selim” i lekki „Midilli”.

Jedynym monitorem utraconym na froncie zachodnim, a zarazem ostatnim w tej wojnie, był HMS M21. Okręt wszedł na minę 20 października 1918 roku w pobliżu





Ostendy. 28 października 1918 roku w HMS „Erebus”, który znajdował się pomiędzy portami Ostenda i Zeebrugge, uderzyła wypełniona kilkuset kilogramami materiałów wybuchowych, zdalnie sterowana niemiecka motorówka. Wybuch zniszczył część osłony przeciwtorpedowej, tzw. bąbli (bulges).

Spośród 40 monitorów, które służyły pod brytyjską banderą podczas wielkiej wojny, utracono sześć. Przy czym HMS „Glatton”, na którym 16 września 1918 roku w Dover doszło do eksplozji i pożaru, zatopili sami Brytyjczycy. Monitorów użyto w trakcie interwencji ententy w Rosji. Dwa z nich, HMS M25 i HMS M27, utracono 16 września 1919 roku na Dżwinie. Obniżenie poziomu rzeki spowodowało, że okręty weszły na mieliznę. Unieruchomione monitory zatopiono. Większość pozostałych jednostek sprzedano w okresie międzywojennym na złom. Niektóre marynarka wojenna wykorzystywała do innych zadań lub utrzymywała w rezerwie.

NOWA WOJNA

Po wybuchu we wrześniu 1939 roku wojny z Niemcami do służby przywrócono dwa znajdujące się w rezerwie

Royal Navy monitory, HMS „Erebus” i HMS „Terror”. Okręty wysłano na Morze Śródziemne, gdzie wspierały wojska brytyjskie walczące z Włochami, a potem również Niemcami w Afryce Północnej. Jednostki tej klasy były bardzo przydatne, gdyż walki toczyły się głównie w pasie nadmorskim. HMS „Terror”, który wcześniej poważnie uszkodziły niemieckie bombowce Ju-88, zatonął 23 lutego 1941 roku koło Darny.

Jeszcze w kwietniu 1940 roku rozpoczęła się budowa nowego monitora, HMS „Roberts”, który wszedł do służby 27 października 1941 roku. Na okręcie zamontowano wieżę zdjętą ze starego monitora HMS „Marshal Slouth”. Wzrost zagrożenia ze strony samolotów spowodował, że nowa jednostka otrzymała silne uzbrojenie przeciwlotnicze. HMS „Roberts” wspierał desanty alianckie we Francuskiej Afryce Północnej, a potem na Sycylii i pod Salerno na południu Półwyspu Apenińskiego. U wybrzeży Włoch działał też jego bliźniak HMS „Abercrombie”, który wszedł do służby na początku maja 1943 roku.

Ostatnią misją bojową HMS „Erebus” było przeprowadzone w listopadzie 1944 roku wsparcie ogniowe desantu alianckich na holenderską wyspę Walcheren.

KRZYSZTOF
KUBIAK

Podwójna blokada



Zablokowanie dostępu do portu lub kotwiczowiska poprzez zatopienie w jego wejściu albo na podejściowym torze wodnym statku czy też okrętu to element działań taktycznych podejmowanych przez całą historię morskiej sztuki wojennej. Przeprowadzono je w dwóch sytuacjach: by uniemożliwić przeciwnikowi wejście na bronię akwatoria lub zablokować wrogą flotę w bazie. O ile użycie jednostek blokadowych w pierwszym przypadku było stosunkowo łatwe, gdyż obrońcy mieli czas na ich przygotowanie, o tyle sposób drugi przysparzał już na ogół niebagatelnych problemów.

Przekonali się o tym Amerykanie, którzy usiłowali „zakorkować” 3 czerwca 1898 roku flotę hiszpańską w porcie Santiago de Cuba. Zadanie to miał wykonać transportowiec węgla „Merrimack” obsadzony przez ośmiu ochotników, którymi dowodził por. Richmond P. Hobson. Hiszpanie byli jednak czujni i nie dali się zaskoczyć. „Merrimack” nie dotarł do miejsca przeznaczenia, zatopiony ogniem prowadzonym z lądu przez baterię haubic, do której szybko dołączyły krążowniki „Vizcaya” i „Reina Mercedes” oraz niszczyciel „Plutón”. Mimo nawały ognia wszyscy członkowie załogi blokadowca przeżyli, choć dostali się do niewoli. Po uwolnieniu odznaczono ich Medalem Honoru.

Z kolei podjęty w czasie I wojny światowej brytyjski zamysł zablokowania w podobny sposób belgijskich portów w Zeebrugge i Ostendzie przybrał finalnie kształt operacji połączonej o dużym rozmachu. Jednakże mimo zaangażowania 165 jednostek pływających (od ciężkich monitorów po ścigacze) oraz prawie 1800 żołnierzy i marynarzy „atak w dniu św. Jerzego”, jak historiografia brytyjska nazywa przeprowadzone 23 kwietnia 1918 roku przedsięwzięcie, zakończył się fiaskiem. Desant wysadzony na molo w Zeebrugge (Royal Marines i ochotniczy pododdział marynarzy) został odparty, a trzy zdeklasowane krążowniki („Thetis”, „Intrepid”, „Iphigenia”), mimo że wdarły się do kanału portowego, zostały zatopione w taki sposób, że pozostały między nimi luki, którymi okręty podwodne bez specjalnych problemów wychodziły w morze. W Ostendzie sprawy potoczyły się jeszcze gorzej – dwa krążowniki przewidziane do zatopienia w charakterze blokadowców („Brilliant” i „Sirius”) błędnie określiły swoją pozycję, zeszły o ponad kilometr z kursu i ostatecznie nie dotarły do celu. Zatopiono je na płycznach leżących w oddaleniu od wejścia do portu. Straty w zabitych były bardzo poważne: 225 poległych i zaginionych brytyjskich żołnierzy oraz marynarzy. Uczestnikom akcji nadano aż osiem Krzyży Wiktorii, co w dziejach owego najwyższego brytyjskiego odznaczenia bojowego było wydarzeniem bez precedensu.

Skutecznie natomiast posłużyli się jednostkami blokadowymi podczas agresji na Krym wiosną 2014 roku Rosjanie. 5 marca w sztucznym przekopie łączącym jezioro Donuzław z Morzem Czarnym zatopiono na głębokości około 11 m kadłub przejętego w Sewastopolu, złomowanego krążownika „Oczakow”. Wrak został ustawiony prostopadłe do osi toru wodnego, a następnie zdetonowano ładunki wybuchowe umieszczone na podwodnej części kadłuba. Dwa dni później taki sam los spotkał wycofany ze służby okręt nurkowy WM 416. W obu przypadkach załogi ukraińskich jednostek zagrożonych zablokowaniem nie podjęły żadnych działań zaradczych i w rezultacie wpadły w ręce agresorów. ■



Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

HORYZONTY

/ ROZMOWA

LOTNICTWO ALBO NIC

Z Wojciechem Panasem
o krętej drodze do spełnienia marzeń
o lataniu i sukcesach **polskiej**
motoparalotniowej kadry narodowej
rozmawia Ewa Korsak.

ARCH. WOJCIECHA PANASA





Wojciech Panas
od lat trenuje moto-
paralotniarstwo,
ale na sukces w tym
sporcie długo praco-
wał. Zanim został
mistrzem, musiał
uporać się z kilkoma
porażkami.



P

odobno jesteś bardzo upartym człowiekiem i łatwo nie odpuszczasz...

Jeśli chodzi o lotnictwo, to na pewno. Od samego początku wiedziałem, czego chcę. Jako dzieciak ciągle patrzyłem w niebo. Rodzice wspominają, że zawsze miałem głowę w chmurach. Mój pokój był wytapetowany wyciętymi z gazet zdjęciami samolotów. Ciągnęło mnie do wszystkiego, co latało.

Wybór liceum w Dęblinie był zatem oczywisty?

Tak, nie było innej opcji. Po liceum bardzo chciałem iść do Wyższej Szkoły Oficerskiej Sił Powietrznych, ale mam niewielką wadę wzroku, która nie pozwalała mi na studia na kierunku pilot odrzutowców, a wówczas tylko taki nabór był prowadzony. Poszedłem więc do Wojskowej Akademii Technicznej na kierunek lotnictwo i kosmonautyka. Po studiach trafiłem wprawdzie do 25 Brygady Kawalerii Powietrznej, ale do... batalionu logistycznego. A ja marzyłem o lotnictwie, samolotach, śmigłowcach...

Źle ci było w logistyce?

Nie, ale uparłem się na lotnictwo. Wiedziałem, że nie mogę stracić łączności z tym, co jest moją pasją. Służyłem zatem w logistyce, ale poszedłem też na kurs obsługi śmigłowców Mi-17, potem na praktyki w Powietrznej Jednostce Ewakuacji Medycznej w Nowym Glinniku. Pamiętam, że każde doświadczenie lotnicze by-



ło dla mnie na wagę złota. Największym przeżyciem był udział w locie śmigłowcem W-3 Sokół po zakończonych praktykach. Dla całej załogi to była codzienność, a dla mnie – coś niezwykłego. Ciągle starałem się przenieść do 7 Dywizjonu Lotniczego. Wtedy przyszedł czas na nowe wyzwania. Wyjechałem na XII zmianę PKW Afganistan i służyłem w kluczu obsługi śmigłowców Mi-17. Rok później trafiłem do dywizjonu. Wreszcie.

Ktoś cię do tego motywował?

Miałem obok siebie wielu ludzi, którzy pewnie wspieraliby mnie, gdybym ich o to prosił. Ale, szczerze mówiąc, nie potrzebowa-



Motoparalotniowe mistrzostwa rozgrywane są w pięknych miejscach na całym świecie, również w Polsce – na przykład nad Jeziorem Międzybrodzkim u podnóża góry Żar.

*Najważniejsze jest doświadczenie,
które wyniosę z zawodów.
Choćbym zajął ostatnie miejsce,
i tak czegoś się nauczę*

łem tego. Wiedziałem bardzo dobrze, co chcę robić i że w końcu będę to robić. Tylko droga do celu była nieco dłuższa niż standardowa.

Nie funkcjonowałeś jednak w lotniczej próżni, bo w tym czasie rozwijała się twoja kariera paralotniowa.

Tak. I tu też nie było łatwo. Wszystko zaczęło się przypadkiem, od podróży autostopem. Kiedy byłem w liceum lotniczym w Dęblinie, często w taki sposób wracałem do domu rodzinnego pod Zamościem. Pewnego dnia wsiadłem do samochodu, który prowadził Adam Chodorowski. Był wówczas znaną postacią w świecie paralotniowym, ale ja nie miałem pojęcia, kim on jest. Jechał w okolice Szczepieszyna, by polatać. Po drodze opowiadał o tym, co robi. Był zdziwio-

ny, że nie mam pojęcia, o jakim sporcie mówi. Pamiętam jego słowa: „Ty tu mieszkasz i naprawdę nie wiesz, co to jest paralotnia?”. Potem zabrał mnie ze sobą na loty. I zaraził pasją.

Kupiłeś sprzęt, zrobiłeś licencję...

O, nie tak szybko! Byłem wtedy uczniem liceum i nie miałem pieniędzy. Ale jak to zwykle u mnie bywa, uparłem się i postanowiłem zarobić na kurs paralotniowy. Całe wakacje pracowałem w tartaku, codziennie dźwigałem wielkie dębowe deski. Ciężka robota. Wszystko, co zarobiłem, wydałem na kursy. Pojechałem do Międzybrodzia Żywieckiego, gdzie odbywał się pierwszy etap szkolenia, a na drugi – do Szczyrku. W Bieszczadach natomiast zdobyłem świadectwo kwalifikacji. →

Mogłem już samodzielnie pilotować paralołnię. Wtedy pojawiły się jednak kolejne przeszkody...

Jakie?

Dla chłopaka, który właśnie zaczął studia, i to w Wojskowej Akademii Technicznej, nie było łatwo polatać paralołnią. Nie mogłem przecież wystartować z ogródka za domem, a wypadki w góry były i czasochłonne, i kosztowne. Doku-piłem więc silnik i zrobiłem kolejny kurs, który dał mi uprawnienia do lotów z napędem. Wtedy wystarczyło już wyjść na łąkę i latać!

I odnosić sukcesy!

Najpierw było kilka porażek. W 2010 roku pojechałem do Piły na zawody motoparalołniowe. Wiele razy je obserwowałem, ale długo brakowało mi śmiałości, żeby wystartować. Miałem za mało pewności siebie, by konkurować z zawodnikami, których podziwiałem. W końcu jednak trzeba było zrobić krok do przodu. To miało nastąpić właśnie w Pile. Ale cóż, zająłem tam jedno z ostatnich miejsc. Potem przyszły kolejne zawody, kolejna porażka i przedostatnie miejsce. Nie od razu człowiek staje się mistrzem.

Nie kusiło cię, żeby rzucić to wszystko?

Wręcz przeciwnie. Zawsze wiedziałem, że najważniejsze jest doświadczenie, które wyniosę z zawodów. Choćbym zajął ostatnie miejsce, to przecież czegoś się nauczę. A druga kwestia to poznawanie ludzi ze środowiska. Na przykład na mistrzostwach Polski w Chełmie poniosłem porażkę i musiałem wypożyczyć rejestrator GPS. Dostałem go od Adama Paski, trenera motoparalołniowej kadry narodowej. Po zawodach chciałem zapłacić za pożyczkę, ale usłyszałem tylko: „Nie musisz nic płacić, ale umówmy się tak: widzę cię na następnych mistrzostwach. Masz tam być!”. Takie spotkania dodawały mi powera.

Kluczowy dla twojej kariery sportowca był rok 2013.

Tak. W 2012 roku wyleciałem do Afganistanu. To była zimowa zmiana, więc niewiele mnie ominęło, jeśli chodzi o motoparalołniarstwo w kraju. Po powrocie

WIZYTÓWKA

WOJCIECH PANAS

Jest dowódcą klucza eksploatacji śmigłowców W-3 Sokół w 7 Dywizjonie Lotniczym 25 Brygady Kawalerii Powietrznej. W armii służy od 2006 roku. Ma za sobą jedną misję w Afganistanie podczas XII zmiany. W dywizjonie jest odpowiedzialny za przygotowywanie śmigłowców do lotu oraz za ich sprawność. Planuje również, która z maszyn polecą na lot szkoleniowy z konkretną załogą następnego dnia. Łata także w składzie załogi jako technik pokładowy.



ARCH. WOJCIECHA PANASA

z misji w 2013 roku wystartowałem w Polskiej Lidze Motoparalołniowej i zająłem drugie miejsce. Po zawodach podszedł do mnie trener Paska i zapytał, czy nie zechciałbym latać w kadrze narodowej. Okazało się, że mnie obserwował i uznał, że mam potencjał, potrzebuję tylko treningów. Nie wiem, czym można było mnie bardziej zaskoczyć!

Co na to Twoi przełożeni w wojsku?

Bardzo przychylnie patrzyli i patrzą na moją pasję. W 2014 roku, kiedy po raz pierwszy w historii drużyna kadry narodowej wywalczyła złoty medal na VIII Motoparalołniowych Mistrzostwach Świata na Węgrzech, chyba udowodniłem, że warto we mnie wierzyć. To wydarzenie było spełnieniem marzeń i początkiem naprawdę dużego pasma sukcesów. W 2015 roku zdobyliśmy złoto drużynowe w II Motoparalołniowych Słalomowych Mistrzostwach Świata, w 2016 roku – złoto i brąz druży-

nowe oraz ósme miejsce indywidualnie w IX Motoparalołniowych Mistrzostwach Świata. Kilka miesięcy temu w X Motoparalołniowych Mistrzostwach Świata w Tajlandii obroniliśmy wszystkie tytuły, wywalczyliśmy kolejne.

Który z sukcesów był najważniejszy?

Kiedy startujemy w mistrzostwach świata, działamy drużynowo, wspieramy się, pomagamy sobie. Najtrudniej natomiast jest na mistrzostwach w Polsce, bo wtedy konkurujemy ze sobą, czyli z mistrzami świata. Największym sukcesem jest więc dla mnie złoty medal mistrzostw Polski z zeszłego roku. Żeby nie było tak różowo, na ostatnich mistrzostwach Polski już nie znalazłem się na podium. Awaria silnika sprawiła, że zająłem czwarte miejsce. Ale fajne było to, że mogłem liczyć na pomoc kolegi, który pożyczył mi swój wózek. Dzięki temu, mogłem walczyć w zawodach do końca.

Myslałeś kiedyś o tym, co robiłbyś w życiu, gdyby nie siły powietrzne, motoparalołniarstwo?

Nie. Skupiam się na tym, by dać jak najwięcej z siebie lotnictwu.

KWARTALNIK
BELLONA

PISMO NAUKOWE
100 LAT POLSKIEJ MYŚLI WOJSKOWEJ

1918-2018



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

|WOJSKO|
|POLSKIE|

*Nasza interpretacja –
Wasze źródła*



ANNA DĄBROWSKA

ANNA DĄBROWSKA

NA WŁOSKIEJ ZIEMI

**Polscy żołnierze spoczęli niedaleko
Bazyliki Loretańskiej.**

Jako Naczelnny Wódz Wojsk Polskich mam zaszczyt podziękować Waszej Ekszelencji za ofiarowanie terenu na urządzenie cmentarza tak blisko sanktuarium”, napisał 23 sierpnia 1944 roku gen. Kazimierz Sosnkowski, naczelnny wódz Polskich Sił Zbrojnych, do biskupa Gaetana Malchiodiego, papieskiego wikariusza w Loreto. Duchowny przeznaczył część watykańskich posiadłości u stóp włoskiej Bazyliki Loretańskiej pod budowę Polskiego Cmentarza Wojennego. Mieli na nim spocząć żołnierze 2 Korpusu Polskiego polegli od czerwca do września 1944 roku w walkach o wyzwolenie regionu Marche w bitwach o Ankony i Loreto, nad rzeką Metauro oraz w starciach o przełamanie linii Gotów, systemu umocnień niemieckich osłaniających dolinę Padu.

KAMPANIA ADRIATYCKA

Żołnierze gen. Władysława Andersa po zdobyciu w maju 1944 roku Monte Cassino ruszyli

w pościg za wycofującymi się wzdłuż wybrzeża Adriatyku wojskami niemieckimi. Otrzymali zadanie zdobycia Ankony, portowego miasta w środkowych Włoszech, które miało strategiczne znaczenie dla dalszego natarcia wojsk alianckich na północ kraju.

Podczas trwającej blisko miesiąc samodzielnej polskiej operacji żołnierze zdobyli Loreto, następnie zajęli miejscowości Osimo, Montoro i Palazzo del Cannone. Kolejne natarcie rozpoczęło się 17 lipca – 5 Kresowa Dywizja Piechoty opanowała Monte della Crescia, a 2 Brygada Pancerna – Monte Toro. Następnego dnia po południu 3 Dywizja Strzelców Karpackich wkroczyła do wyzwolonego miasta.

W kampanii adriatyckiej poległo ponad tysiąc polskich żołnierzy. Spoczęli w Loreto, na jednym z czterech założonych we Włoszech polskich cmentarzy wojennych. Pozostałe ulokowano na Monte Cassino, w Bolonii i Cassamassima koło Bari na południu Italii.

**Cmentarz usytu-
owano na trzech
amfiteatralnych ta-
rasach, wznoszą-
cych się od morza
w kierunku bazyliki.**

Miasteczko Loreto nad Adriatykiem, położone około 30 km na południe od Ankony, słynie z XV-wiecznej Bazyliki Santa Casa, która mieści wewnątrz tzw. Święty Domek. Według tradycji, jest to część domu rodzinnego Maryi z Nazaretu. Aby ochronić budynek przez zniszczeniem przez Turków, w 1291 roku kupiecka rodzina przenieśli go do Włoch. Polscy żołnierze nie tylko wyzwolili miasto 1 lipca 1944 roku, lecz także kilka dni później uchronili przed spalaniem sanktuarium. Podczas niemieckiego bombardowania 6 lipca na Bazylikę Loretańską spadły bomby, wywołując pożar kopuły świątyni. Żołnierze 3 Dywizji Ułanów Karpaccich weszli na dach i ugasili pożar, za co otrzymali specjalne podziękowanie od papieża Piusa XII. O tym wydarzeniu przypomina też witraż włoskiego artysty Artura Gattiego, odsłonięty w polskiej kaplicy w świątyni w 1954 roku.

KAMIENNA BRAMA

Budowa polskiej nekropoli według projektu mjr. inż. Mariana Hernika trwała dwa lata. Nadzorował ją por. rez. inż. Roman Wajda. Jako saper służył w 3 Dywizji Strzelców Karpaccich, biorąc udział w walkach nad rzeką Arno, pod Monte Cassino, Ankoną i pod Bolonią, a po wojnie nadzorował budowę cmentarzy na Monte Cassino, w Loreto i Bolonii. Nekropolię usytuowano na zboczu, na trzech amfiteatralnych tarasach otoczonych murem i wznoszących się od morza w kierunku bazyliki. Zbudowano go z trawertynu, takiego samego kamienia, z jakiego wykonano cmentarze w Bolonii i na Monte Cassino.

Ułożoną na dole, od strony morza monumentalną bramę wejściową w kształcie łuku wieńczy figura Chrystusa dźwigającego krzyż. W centralnym punkcie dolnego tarasu posadowiono kamienny cokół z nazwami miejsc, w których polegli pochowani tutaj żołnierze: Loreto, Ankona, Metauro, Linia Gotów. Nad cokołem na maszcie powiewa polska flaga.

Na najwyższym tarasie od strony bazyliki usytuowano kamienny ołtarz. Umieszczono na nim wykuta w marmurze kopię obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej. Symbolizuje ona więź pochowanych tutaj żołnierzy ze wschodnimi terenami przedwojennej Polski, z których większość z nich pochodziła. Ołtarz ozdobiło pasami białego i czerwonego marmuru, układającymi się w polskie barwy narodowe, i zwieńczono Krzyżem Virtuti Militari.

Rozmieszczone w równych szeregach mogiły otoczone są przez cyprysy, palmy i krzewy oleandrów. Nekropolię poświęcił 6 maja 1946 roku arcybiskup Józef Gawlina, w uroczystości uczestniczyli żołnierze z gen. Andersem na czele i przedstawiciele lokalnych władz.

Złożono tutaj prochy około 1100 polskich żołnierzy – różne źródła podają liczbę od 1080 do 1132 pochowanych.

W większości są to osoby wyznania katolickiego, ale swoje groby mają również Żydzi, ewangelicy, prawosławni i jeden muzułmanin. W czterech grobach spoczywa ośmiu nieznanych żołnierzy.

KAWALERZYSTA I PISARZ

Wśród pochowanych w Loreto jest pisarz i publicysta Adolf Maria Bocheński, który publikował np. w piśmie „Bunt Młodych” i „Polityce”. Podczas wojny w szeregach 22 Pułku Ułanów Podkarpackich walczył w kampanii wrześniowej. Po agresji ZSRR na Polskę wraz z pułkiem przedostał się na Węgry i do Francji, wziął też udział z Brygadą Podhalańską w bitwie o Narwik. Potem wstąpił do Pułku Ułanów Karpaccich, z którym bronił Tobruku. Walczył także pod Monte Cassino.

Dwa miesiące później, podczas starć o Ankonę, został ranny w pachwinę i prawą rękę. Jednak zamiast jechać do szpitala, wrócił na własną prośbę do pułku i rozbrajał miny lewą ręką. „W chwili, kiedy wojska polskie 18 lipca zajmują zwycięsko Anconę, porucznik Bocheński zginie przy rozbrajaniu dwudziestej trzeciej miny”, napisał Józef Czapski 23 lipca 1944 roku w piśmie 2 Korpusu Polskiego „Orzeł Biały”.

W Loreto spoczywa także kawalerzysta ppłk Emil Gruszecki. W czasie I wojny służył w 1 Pułku Ułanów Legionów Polskich. Potem był m.in. szefem Wydziału Wyszczolenia w Departamencie Kawalerii Ministerstwa Spraw Wojskowych i zastępcą dowódcy 26 Pułku Ułanów Wielkopolskich w Baranowiczach. Podczas wojny dotarł do Szkocji, a w 1942 roku wyjechał do ZSRR, aby zasilić kadrę oficerską Polskich Sił Zbrojnych. Dowodził 5 Kresowym Pułkiem Artylerii Przeciwpancernej i zginął w Loreto 6 lipca 1944 roku w trakcie bombardowania.

Niedaleko znajduje się także grób ppor. Zbigniewa Okulickiego, syna ostatniego komendanta Armii Krajowej. Służył on w 1 Pułku Artylerii Lekkiej w 3 Dywizji Strzelców Karpaccich i wraz z 2 Korpusem Polskim walczył m.in. pod Monte Cassino oraz nad Adriatykiem. Poległ 8 lipca 1944 roku pod Osimo. Pośmiertnie został odznaczony srebrnym krzyżem Orderu Virtuti Militari.

Dziś polski cmentarz znajduje się pod opieką urzędu miasta Loreto, a jego duchowymi strażnikami są polskie siostry zakonne ze Zgromadzenia Sióstr Najświętszej Rodziny z Nazaretu.

W przeddzień rocznicy zdobycia Ankony 17 lipca 2018 roku podczas uroczystości w Loreto polska delegacja oddała hołd spoczywającym tam żołnierzom. „Wiele krwi polskiej wsiąknęło w tę ziemię, aby Europa była wolna”, mówił wówczas szef UdSKiOR. „My nie jesteśmy bohaterami, są nimi nasi koledzy, którzy zginęli i tutaj spoczywają”, podkreślali przybyli do Loreto polscy kombataneci. ■

**Panu płk. Arkadiuszowi Grelowi
oraz Jego Rodzinie**

wyrazy szczerego żalu oraz głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają żołnierze i pracownicy
Zarządu Obrony przed Bronią Masowego Rażenia
Inspektoratu Rodzajów Wojsk DGRSZ.

Pani Sylwii Adamiuk

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają dyrektor oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Budżetowego MON.

Słowa wsparcia oraz głębokiego współczucia

Panu kpt. Adamowi Marchwińskiemu

z powodu śmierci

Teściowej

składają wojskowy komendant uzupełnień,
żołnierze i pracownicy
Wojskowej Komendy Uzupełnień
w Lidzbarku Warmińskim.

Pani Danucie Wenskiej

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Brata

składa dowództwo i pracownicy RON
1 Brygady Lotnictwa Wojsk Lądowych.

„Nie umiera ten, kto pozostaje w sercu
i pamięci bliskich”.

Panu ppłk. Pawłowi Chedzie

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają szef, kadra i pracownicy
Szefostwa Służby Hydrometeorologicznej SZRP.

„Śmierć przychodzi bardzo cicho.

Niezapowiedziana, nieproszona, jest zawsze
gościem nie na czas”.

**Pani ppor. Wioletcie Godlewskiej
oraz Jej Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Taty

składa komendant oraz koleżanki i koledzy
z 1 Wojskowego Szpitala Polowego.

**Panu szer. Witoldowi Grymuzie
oraz Jego Najbliższym**

wyrazy głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Matki

składa komendant oraz koleżanki i koledzy
z 1 Wojskowego Szpitala Polowego.

Panu ppłk. Andrzejowi Sroce

wyrazy głębokiego współczucia
oraz szczerze kondolencje z powodu śmierci

Teścia

składają koleżanki i koledzy
z Oddziału Planowania Inwestycji,
Zarządu Planowania Rzeczowego – P8
Sztabu Generalnego WP.

Naszemu koledze

kpt. pil. Bartłomiejowi Krygowskiemu

wyrazy głębokiego współczucia,
szczerze kondolencje i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po stracie

Mamy

składają żołnierze i pracownicy cywilni
Pionu Bezpieczeństwa Lotów i Grupy Działania
Lotniczych 32 BLT.

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

Pani Małgorzacie Butkiewicz

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
w trudnych chwilach z powodu śmierci

Mamy

składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
9 BBKPanc.

Wyrazy szczerego żalu, głębokiego współczucia
oraz wsparcia i otuchy

mjr. Mariuszowi Warcie

w trudnych chwilach z powodu śmierci

Taty

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Batalionu Ochrony Bazy w Redzikowie.

Wyrazy współczucia, szczerze kondolencje
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Ojca**Panu ppłk. Robertowi Czocharze**

składają żołnierze i pracownicy RON
Oddziału Wsparcia Dowodzenia
Inspektoratu Wsparcia Sił Zbrojnych.

Wyrazy współczucia i szczerze kondolencje
dla **Pana ppor. mar. Pawła Warty**
z powodu śmierci

Ojca

składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu płk. w st. spocz. Marianowi Chłasiakowi

wyrazy głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Córki

składają koledzy z dęblińskiego oddziału
Stowarzyszenia Seniorów Lotnictwa Wojskowego RP.

Panu płk. pil. Piotrowi Kowalskiemu

wyrazy żalu i współczucia z powodu śmierci

Teścia

składają żołnierze i pracownicy RON
Zarządu Działań Lotniczych
Inspektoratu Sił Powietrznych Dowództwa
Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.



Pamiętamy

sierż. sztab. Bogusław Gibas

5 października 2002 roku,
UNIFIL Liban

szer. Dariusz Sorokopas

15 października 1992 roku,
UNPROFOR Jugosławia

kpr. Radosław Szyszkiewicz

9 października 2009 roku,
PKW Afganistan

sierż. Mariusz Deptuła

23 października 2011 roku,
PKW Afganistan

kpr. Szymon Graczyk

9 października 2009 roku,
PKW Afganistan

st. chor. sztab. Eugeniusz Lewandowski

26 października 1992 roku,
UNTAC Kambodża

sierż. Rafał Nowakowski

4 października 2011 roku,
PKW Afganistan

sierż. Adam Szada-Borzyszkowski

14 października 2010,
PKW Afganistan

st. chor. sztab. Andrzej Wydrzyński

26 października 1992 roku,
UNTAC Kambodża

Pani Annie Prass

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia i otuchy
z powodu śmierci

Taty

składają kadra i pracownicy
Wojskowej Komendy Transportu Olsztyn.

Pani ppor. Annie Zięcinie

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia i otuchy
z powodu śmierci

Babci

składają kadra i pracownicy
Wojskowej Komendy Transportu Olsztyn.

Panu Mieczysławowi Zięcinie

wyrazy współczucia oraz słowa wsparcia i otuchy
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy
Wojskowej Komendy Transportu Olsztyn.

Panu płk. Stanisławowi Pilhulowi

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają dyrekcja oraz koleżanki i koledzy
z Centrum Operacyjnego
Ministra Obrony Narodowej.

**Panu płk. Mirosławowi Szwedowi
oraz Jego Rodzinie i Najbliższym**

wyrazy szczerego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
11 Lubuskiej Dywizji Kawalerii Pancernej.

Dowódcy**płk. dr. Mirosławowi Szwedowi**

wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
4 Zielonogórskiego Pułku Przeciwlotniczego.

Panu płk. dr. Mirosławowi Szwedowi,

dowódcy 4 Zielonogórskiego

Pułku Przeciwlotniczego,

oraz Jego Rodzinie

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu tragicznej śmierci

Żony

składają członkowie Wojskowego Stowarzyszenia
Sportowego GROT w Lesznie.

Panu płk. Mirosławowi Szwedowi,

dowódcy 4 Zielonogórskiego

Pułku Przeciwlotniczego

im. gen. dyw. Stefana Roweckiego „Grota”,

wyrazy głębokiego współczucia

oraz najszczerze kondolencje

z powodu śmierci

Żony

składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej

44 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Krośnie Odrzańskim.

Panu mł. chor. Wojciechowi Modrzejewskiemu

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dowódca, żołnierze, pracownicy RON
34 Chojnickiego Batalionu Radiotechnicznego.

Panu płk. dr. Mirosławowi Szwedowi

wyrazy głębokiego współczucia

i szczerze kondolencje

z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, żołnierze i pracownicy RON
23 Śląskiego Pułku Artylerii.

Panu płk. Mirosławowi Szwedowi

wyrazy współczucia, szczerze kondolencje

i słowa wsparcia w trudnych chwilach

po śmierci

Żony

składają przeciwlotnicy
12 Szczecińskiej Dywizji Zmechanizowanej.

Panu ppłk. Tomaszowi Kostrzewie

wyraży głębokiego współczucia
oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci

Matki

składają komendant oraz żołnierze i pracownicy
Regionalnego Centrum Informatyki Wrocław.

Panu płk. dr. Mirosławowi Szwedowi,

dowódcy 4 Zielonogórskiego Pułku
Przeciwlotniczego,
wyraży głębokiego współczucia i żalu
z powodu tragicznej śmierci

Żony

składają pracownicy
Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA.

Panu płk. Mirosławowi Szwedowi

słowa wsparcia oraz głębokiego żalu
i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Żony

składają komendant, kadra i pracownicy
Regionalnego Centrum Informatyki Wrocław.

Panu mjr. dr. inż. Dariuszowi Rodzikowi

wyraży głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Taty

składają koledzy z Zespołu Radioelektroniki
Katedry Mechatroniki
Wojskowej Akademii Technicznej.

Panu płk. dr. Mirosławowi Szwedowi

wyraży głębokiego współczucia
i szczerze kondolencje z powodu śmierci

Żony

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
VIII zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego
w Afganistanie.

Panu płk. Mirosławowi Szwedowi

wyraży głębokiego współczucia i żalu
z powodu tragicznej śmierci

Żony

składają szef, żołnierze i pracownicy wojska
Rejonowego Zarządu Infrastruktury
w Zielonej Górze.

Panu płk. dr. Mirosławowi Szwedowi

wraz z Rodziną

wyraży współczucia, szczerze kondolencje
i słowa wsparcia w trudnych chwilach po stracie

Żony

składają dowódca, żołnierze oraz pracownicy RON
34 Brygady Kawalerii Pancernej z Żagania.

Wyraży współczucia i szczerze kondolencje dla

Pana st. chor. mar. Jarosława Kupicha

z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
Komendy Portu Wojennego Gdynia.

Panu Dyrektorowi Wojciechowi Netkowskiemu

wyraży głębokiego współczucia i żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają zarząd i pracownicy
Polskiej Grupy Zbrojeniowej SA.

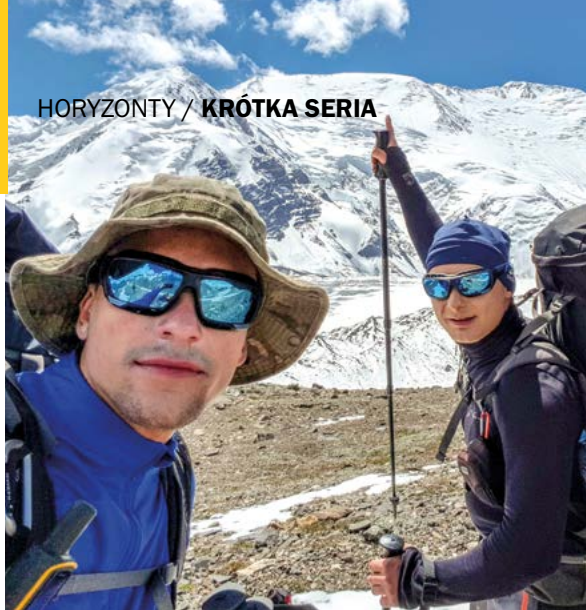
Panu st. chor. sztab. Romanowi Dalkemu

oraz Jego Rodzinie i Bliskim

szczerze wyraży współczucia i kondolencje
z powodu śmierci

Mamy

składają kadra i pracownicy
Zarządu Rozpoznania i Walki Elektronicznej
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.



DROGA NA SZCZYT

Studenci z Akademii Wojsk Lądowych
zdobyli Pik Lenina.

Podchorążowie sierż. Andrzej Turkowski i sierż. Karol Najdyhor są na piątym roku Akademii Wojsk Lądowych we Wrocławiu. Działają także w uczelnianej Sekcji Szkoleń Wysokogórskich. W zeszłym roku zdobyli Grossglockner, najwyższy szczyt Austrii, a potem Mont Blanc, Kazbek i Elbrus. Do wyprawy w góry Pamiru przygotowywali

się przeszło pół roku. Udało się im tam zdobyć drugą najwyższą górę – Pik Lenina, który ma 7134 m wysokości i leży na granicy pomiędzy Tadżykistanem i Kirgistanem. Teraz podchorążowie marzą o ośmiotysięczniku. „Jesteśmy pewni, że lekcje wyniesione z wypraw w góry przydadzą się nam podczas służby”, mówią. PZ, MKS ■

Lot w głowie

Piloci będą sterować samolotami
za pomocą myśli.



Szef DARPA
Biological
Technologies
Office

JUSTIN
SANCHEZ

„Sygnały z mózgu
mogą być wyko-
rzystane do kon-
trolowania i pilo-
towania nawet
trzech jednostek
jednocześnie”.

Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności (DARPA) od kilku lat pracuje nad pomysłem kontrolowania wojskowych samolotów za pomocą umysłu. Już dwa lata temu znalazł się ochotnik, którego wyposażono w interfejs mózg-komputer. Człowiek ten mógł za sprawą myśli pilotować samolot w symulatorze, utrzymując jednocześnie dwa inne w powietrzu. Jak podaje portal GeekWeek, dotychczasowe testy przeprowadzono na osobach dotkniętych częściowym paraliżem, wykorzystując już wcześniej wszczepione im elektrody. Teraz, aby uniknąć ryzyka związanego z chirurgicznym wszczepianiem elektrod ochotnikom, powstał program „Next-Generation Nonsurgical Neurotechnology”, którego celem jest stworzenie specjalnego czepka EEG. Ma on działać tak samo jak elektrody, ale po zakończeniu zadania pilot będzie mógł go zdjąć. AD ■

PANCERNE STARCIA

Z okazji wprowadzenia mapy „Studzianki” oraz polskiej linii czołgów do popularnej gry komputerowej World of Tanks poświęconej bitwom pancernym XX-wieku, Muzeum

Wojska Polskiego w Warszawie zorganizowało spotkanie dla miłośników gry i militariów. Jeśli chodzi o grę, to jej uczestnicy mają do dyspozycji arsenał ponad 550 czołgów wyprodukowanych m.in. w USA, Niemczech, ZSRR, Wielkiej Brytanii, we Francji, a teraz również w Polsce. Wśród naszych wozów zna-

lazły się lekkie czołgi 4TP i 7TP, maszyny średnie, czyli 25 TP KSUST II, a także projekty inżyniera Edwarda Habicha – 40TP oraz 45TP. Grać można też ciężkimi pojazdami: 53TP Antoniego Markowskiego, 50 TP Tadeusza Tyszkiewicza czy 60TP Ryszarda Lewandow-



skiego. Jak podaje MWP, są to projekty czołgów odnalezione w archiwach polskich instytutów naukowych, badawczych i technicznych. AD ■



Karin Bojs,
„Moja europejska
rodzina.
Pierwsze
54 000 lat”,
Insignis, 2018.



KSIĄŻKA

W POSZUKIWANIU PRZODKÓW

Mój praprapradziadek neandertalczyk.

Karin Bojs pochodzi od żyjącej 40 tys. lat temu, w epoce lodowcowej, kobiety, którą na potrzeby nauki nazwano Ursulą. Przodkami Karin byli też Helena, jedna z osób, która przed 10 tys. lat sprowadziła do Europy rolnictwo, oraz Ragnar, który pojawił się w Jutlandii w epoce brązu. Dziennikarka, od dwóch dekad zajmująca się genetyką, szukała swoich korzeni znacznie dalej niż kilka pokoleń wstecz. W ten sposób udowodniła, że jako społeczeństwo jesteśmy jedną rodziną. Karin Bojs poddała się wielu różnego rodzaju badaniom genetycznym, a ich wyniki konsultowała ze specjalistami w tej dziedzinie. Nie dość, że dowiedziała się o tym, jaki ślad w jej kodzie genetycznym zostawili przodkowie sprzed tysięcy lat, to jeszcze znalazła kilka osób na świecie, z którymi łączy ją tak odległe pokrewieństwo.

Nie skupiła się jednak tylko na historii człowieka, chociażby tego z czasów rysunków naskalnych

z Lascaux. Niemniej jednak ta część książki „Moja europejska rodzina” jest fascynująca, szczególnie gdy autorka opisuje krainy sprzed tysiącleci, takie jak Doggerland czy Beringia, które dziś są pod wodą, to, jak doszło do skrzyżowania człowieka neandertalskiego ze współczesnym w rejonie dzisiejszej Galilei, czy to, w jaki sposób przemieszczano się wyschniętymi cieśninami na lądy wcześniej niedostępne.

Karin Bojs pokazała też swoje poszukiwania przodków żyjących na przestrzeni 300 lat. W jej książce nakładają się zatem niejako dwie warstwy – naukowa i bardzo osobista, co czyni z niej fantastyczną lekturę. Czyta się ją jak powieść, choć przenosi nas w świat nauki. Dziennikarka przez wiele lat zgłębiała literaturę fachową, odwiedziła mnóstwo miejsc i korzystała z wiedzy genetyków, antropologów, historyków, archeologów oraz genealogów.

ANETA WIŚNIEWSKA



Wydział Bezpieczeństwa
Narodowego i Logistyki
Lotniczej Akademii Wojskowej
oraz Wydział Wojskowy
Akademii Sztuki Wojennej
zapraszają na:

II OGÓLNOPOLSKĄ
KONFERENCJĘ NAUKOWĄ

„Wyzwania i rozwój
obrony powietrznej
Rzeczypospolitej
Polskiej.
Obronność RP
XXI wieku”.

Konferencja odbędzie się
28-29 listopada 2018 roku
w Lotniczej Akademii Wojskowej
w Dęblinie (dawniej Wyższa Szkoła
Oficerska Sił Powietrznych).

Problematyka konferencji koncentruje się na organizacyjnych, technicznych, doktrynalnych i społecznych zagadnieniach związanych z rozwojem obrony powietrznej w Polsce oraz procesem jej modernizacji w aspekcie zmian zachodzących w środowisku bezpieczeństwa powietrznego. Niniejsza formuła debaty naukowej zyskała poparcie i aprobatę najwyższych władz państwowych, czego wyrazem jest objęcie konferencji patronatem honorowym przez Ministra Obrony Narodowej i Szefa Biura Bezpieczeństwa Narodowego.

Szczegółowe informacje na temat konferencji znajdują się na stronie internetowej Wydziału Bezpieczeństwa Narodowego i Logistyki Lotniczej Akademii Wojskowej w zakładce konferencje i seminaria.



ANDRZEJ
FĄFARA

Halny wolności



Setna rocznica odzyskania przez Polskę niepodległości wypada oficjalnie za miesiąc (11 listopada), ale jak ktoś by się bardzo uparł, mógłby świętować już w październiku. Dochodzenie do wolności można bowiem nazwać procesem stopniowym i konia z rzędem temu, kto precyzyjnie ustaliłby, że tego i tego dnia byliśmy zniewoleni, a następnego niepodlegli.

11 listopada 1918 roku doszło niewątpliwie do kilku istotnych wydarzeń, z których najważniejsze było podpisanie pokoju w Compiègne, kończącego I wojnę światową. Tego samego dnia brygadier Józef Piłsudski przejął zwierzchnictwo nad wojskiem oraz nastąpiło rozbrojenie niemieckiego garnizonu stacjonującego w Warszawie.

Co ciekawe, świętowanie tej daty przez długie lata było wewnętrzną sprawą wojska. Dopiero w 1937 roku uroczystościom nadano rangę święta państwowego. Do wybuchu wojny obchody odbyły się tylko dwa razy, a potem komuniści uznali, że ważniejsze niż odzyskanie niepodległości było ogłoszenie „Manifestu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego” w 1944 roku.

Ale wróćmy do 1918 roku i tego, co wydarzyło się przed 11 listopada. Najciekawsza historia z tego okresu dotyczy Zakopanego, które 30 października ogłosiło niepodległość i tym samym stało się pierwszym skrawkiem Polski niezależnym od zaborców. Dwa tygodnie wcześniej powstała Rzeczpospolita Zakopiańska, której współzałożycielem, a zarazem prezydentem był wybitny pisarz Stefan Żeromski. Współpracował z nim ściśle Wincenty Szymborski, ojciec Wisławy, późniejszej noblistki, a także Mariusz Zaruski, słynny taternik i artysta.

Swoje stanowisko zakopiańczycy ogłosili w rezolucji następującej treści: „Wobec przyjęcia zasad pokojowych prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona przez państwa rozbiorowe uważamy się odtąd za obywateli wolnej i zjednoczonej Polski. Tej Polsce winniśmy wierność i posłuszeństwo, mienie i krew naszą. Nie uznajemy żadnych więzów tym najświętszym obowiązkom przeciwnych”.

Rezolucja nie była gołosłowna. Przedstawiciele Rzeczypospolitej Zakopiańskiej rozbroili żołnierzy austriackich stacjonujących w mieście i 30 października przejęli realną władzę pod Tatrami. Prezydent Stefan Żeromski odebrał przysięgę na wierność ze strony wojska i urzędników. Na ulicach pojawiły się patrole straży obywatelskiej. Dzień później do podobnych wydarzeń doszło w Krakowie.

Rzeczpospolita Zakopiańska przetrwała do 16 listopada. Tego dnia prezydent Żeromski abdykował, a władzę przejął Kraków. ■



PRZEGLĄD SIŁ ZBROJNYCH

ŹRÓDŁO WIEDZY O UZBROJENIU,
TAKTYCE POLA WALKI I SZKOLENIACH



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Wasza siła – Nasze bezpieczeństwo

Polecam!

Krzysztof Wilewski, redaktor wydawniczy

HISTORIA PolskaZbrojna

JUŻ
W SPRZEDAŻY
POCZTA POLSKA
SALONY EMPIK

NOWY MAGAZYN

O TRADYCJI I CHWALE POLSKIEGO ORĘŻA



ZAMÓW PRENUMERATĘ
TEL. +48 261 840 400

WOJSKO
POLSKIE

Twoja historia – Twoje życie!

Polecam!

Anna Putkiewicz, redaktor naczelna